

Barbara Constantine

i jeszcze
Paulette



Barbara Constantine

i jeszcze Paulette

Z języka francuskiego przełożyła
Bożena Sęk



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
ET PUIS, PAULETTE...

Copyright © Calmann-Lévy, 2012

Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Piosenka cytowana na str. 214 to *Nuits de Chine*,
słowa napisał Ernest Dumont.

Piosenka cytowana na str. 234 to *Arrêter les aiguilles*,
słowa Paul Briollet / Paul Dalbret.

Projekt graficzny okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Magdalena Bargłowska, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7999-348-2

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo.Sp.z.o.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

1. Historia z gazem

2. Pięć minut później już lepiej

3. Poranny prezent

4. Ferdinand się nudzi, potem mu przechodzi

5. Muriel szuka pokoju i roboty

6. Rodzice pracują, dzieci jeżdżą na rowerze

7. Lulki u dziadka

8. Lulki chichoczą pod pierzyną

9. Mireille ma dość

10. Dziurawy dach

11. Ferdinand odwozi chłopców

12. Lutek woli ochranod Mireille

13. Ferdinanda opadają wątpliwości

14. Ferdinand powtarza swój tekst

15. Zaproszenie

16. Herbata na śniadanie

17. Marceline nie pojmuję

18. Przeprowadzka, urządzenie się

19. Guy i Gaby

20. Gaby pachnie fiołkami

21. List Lutka do Gaby (bez błędów ortograficznych)

22. Simone i Hortense czekają

- [23. W domu u Guya potem](#)
- [24. Odwiedziny u Guya](#)
- [25. Roland rozmawia przez telefon](#)
- [26. Mireille przybywa z prośbą](#)
- [27. Mikstura](#)
- [28. Guy lżejszy o piętnaście kilo](#)
- [29. Dwa + jeden](#)
- [30. Może grypa](#)
- [31. Diagnoza](#)
- [32. Terapeutyczna groźba](#)
- [33. Napar z tymianku](#)
- [34. Wybór Guya](#)
- [35. Cukierki, guma do żucia i kocie języczki](#)
- [36. Błady strach siostr Lumière](#)
- [37. Trzy + dwa](#)
- [38. Sen o wodzie](#)
- [39. Serce Hortense jest zmęczone](#)
- [40. Muriel jest wypompowana](#)
- [41. Po zajęciach przed szkołą](#)
- [42. Pierwszy zastrzyk](#)
- [43. Kocie imiona](#)
- [44. Lulki kucharza](#)
- [45. Zatrzymać wskazówki](#)
- [46. Rzęchy](#)
- [47. Przypomnienie](#)
- [48. Separacja](#)
- [49. Ululanie na smutno](#)
- [50. Solidaramol](#)

51. Zdaniem Muriel...

52. Łupanie orzechów

53. Laska w powtórce z rozrywki

54. Marceline opowiada

55. Czyhanie pod liceum

56. Szybki Kim

57. Prace polowe, plany i informatyka

58. Lekki przypływ tęsknoty

59. Nagrobne tablice Ferdinanda

60. Żurawie

61. Simone udaje się po forse

62. Szczерze mówiąc, niedosolony!

63. Długa noc (cz. 1)

64. Długa noc (cz. 2)

65. Jak można się było spodziewać...

66. Gospodarstwo Yvona

67. W sobotni wieczór przy pełni księżyca

68. Niedziela

69. Nocny strażnik

70. Poniedziałek rano itd.

Podziękowania

*Dla Renée i Roberta,
moich poprzednich sąsiadów.*

*I dla Alaina,
mojego obecnego sąsiada.*

Mahault, 5 lat i dziewięć miesięcy, wręcza koledze z sąsiedztwa bukiet zebranych właśnie kwiatków.

*– Masz, schowaj sobie. Jak rodzice ci umrą, będziesz mógł zanieść na ich grób.
(Mahault, moja wnuczka, lubi dzielić się wiedzą).*

Jedna mucha w zupie to błąd, dwie to przepis

Franz Bartelt, *Nadada*,

La Branche 2008,

cytowane w *Pas mieux*

Arnauda Le Guilchera,

Stéphane Million Éditeur.

1

Historia z gazem

Z bruchem mocno wspartym na kierownicy i z nosem przy przedniej szybie Ferdinand skupia się na prowadzeniu. Wskazówka szybkościomierza zastygła na pięćdziesiątce. Idealna prędkość. Nie dość, że oszczędza paliwo, to jeszcze ma czas rozglądać się po okolicy, podziwiać krajobrazy. A przede wszystkim zatrzymać się w razie czego, nie ryzykując, że spowoduje wypadek.

O proszę, właśnie tuż przed nim przebiega pies. Orientuj się! Ferdinand wgniata pedał hamulca. Pisk opon. Kamyki strzelają spod kół. Jęk amortyzatorów. Samochodem zarzuca. Ostatecznie pojazd nieruchomieje na środku drogi.

Ferdinand wychyla się przez okno.

– A dokąd to się wybierasz, chłopie? Założę się, że na baby, co?

Pies usuwa się jeszcze bardziej na bok, mija samochód galopem i kawałek dalej przypada w rowie wśród traw. Ferdinand gramoli się z auta.

– Ależ ty jesteś od sąsiadki. Co tu robisz sam?

Podchodzi, wolno wyciąga rękę, głaszcze mu łeb. Pies drży.

Po chwili uspokojony posłusznie drepcze za Ferdinandem, który wpuszcza go na tylne siedzenie i rusza dalej.

Dotarliszy do początku polnej drogi, otwiera drzwi. Pies wyskakuje, lecz przypada do jego nóg, skowyczy, jakby się bał. Ferdinand popycha drewnianą barierkę, zachęca go, by wszedł. Zwierzak podskakuje koło niego, cały czas skomląc. Idą dróżką porośniętą po bokach krzakami, dochodzą do niedużego domku. Drzwi są uchylone. Ferdinand woła: „Hej, jest tam kto?...”. Bez odpowiedzi. Rozgląda się dokoła. Nikogo. Popycha drzwi. W mrocznym wnętrzu dostrzega w głębi postać leżącą na łóżku. Zagaduje. Bez efektu. Wciąga nosem powietrze. Coś śmierdzi... Wącha raz jeszcze. Ajajaj, to gaz! Czym prędzej podchodzi do kuchenki, zamyka zawór butli z gazem, zbliża się do łóżka. Proszę pani, proszę pani! Zaczyna ją poklepywać po policzkach. Najpierw delikatnie, ponieważ jednak pani nie reaguje, klepie coraz mocniej. Pies ujada, skacząc koło łóżka. Ferdinanda także ogarnia strach, zaczyna z całych sił policzkować panią na łóżku. Głośno woła, że ma się przebudzić. Krzyki mieszają się ze szczekaniem. Pani Marceline! Trzask-prask!

Niech pani otworzy oczy, natrzask-prask! Proszę się obudzić, protrzask-prask!

W końcu pani Marceline wydaje cichutki jęk.

Ferdinand i pies zgodnie wzdychają z ulgą.

2

Pięć minut później już lepiej

Marceline odzyskała kolory i koniecznie chce go czymś poczęstować. Nie co dzień przyjmuje gości. Mieszkają po sąsiedzku, lecz u niej zjawił się po raz pierwszy. Trzeba to uczcić. Ferdinand na próżno powtarza, że nie chce mu się pić, że wpadł tylko, by odprowadzić jej psa – Marceline wstaje, chwiejnie podchodzi do barku, wyjmując butelkę wina śliwkowego, pragnie bowiem, aby ocenił, jak wyszło. Pierwszy raz je zrobiła. Powie pan, jak smakuje? Ferdinand kiwa głową. Marceline zaczyna nalewać, wtem nieruchomieje i z niepokojem pyta, czy potem będzie jeszcze gdzieś jechał. W odpowiedzi słyszy, że nie, wraca już do domu. To pięćset metrów stąd, trafilby z zawiązanymi oczami! Uspokojona kończy nalewanie. Ledwie zamoczył usta w winie, ją ogarnia zawrót głowy. Trzymając się za nią oburącz, ciężko opada na krzesło. Zakłopotany Ferdinand skupia się na ceracie na stole, przesuwając kieliszek wzdłuż linii wyznaczających kratkę. Nie śmie teraz ani pić, ani mówić. Po długiej chwili ciszy pyta niemal szeptem, czy chciałaby, aby ją zawiózł do szpitala.

- A po co?
- Żeby panią zbadali.
- To tylko ból głowy.
- No tak, ale... przez ten gaz.
- Ano...
- To niezdrowe.
- No nie.
- Mogą być skutki uboczne.
- Tak?
- Wymioty, zdaje się.
- Naprawdę? Nie wiedziałam.

Znowu na dość długo zapada cisza. Marceline siedzi z zamkniętymi oczami, z czego Ferdinand korzysta, aby rozejrzeć się wokół. Pomieszczenie jest małe, ciemne i niewiarygodnie zagracone. Co natychmiast mu uświadamia, że u niego jest wręcz przeciwnie. Dom ma taki pusty, że dosłownie echo się niesie. Ta myśl działa na niego przygnębiająco, wraca zatem do studiowania ceraty. W końcu się odzywa:

– Zazwyczaj, jak pani wie, nie obchodzą mnie sprawy innych. Ale czy... czy może przez jakieś kłopoty zrobiła pani... no... zrobiła pani...

– Co zrobiłam?

– Z gazem...

– Co z gazem?

– Hm, no...

Trudne to dla Ferdinanda. Taki wstydlivy temat. Za którym nie przepada. Ale czuje, że powinien teraz coś powiedzieć. Zaczyna więc mówić ogródkami, gadać ogólnikowo, dawać do zrozumienia. (Bardzo lubi wyrażenie „czytać między wierszami”). Jest tak przekonany, że słowa zdradzają myśli, iż wolałby polegać wyłącznie na instynkcie i jemu zostawić całą robotę. Aczkolwiek w pełni jest świadom, że drań często wycinał mu paskudne numery! Boi się, że od słowa do słowa niechcący wzbudzi zbyt wielkie emocje, doprowadzi drugą stronę do łez lub do wyjawienia jakiegoś sekretu. Wcale mu się to nie podoba. Gdyby każdy próbował radzić sobie sam, życie byłoby prostsze! Na żonę miał sposób, by uniknąć zbyt osobistych rozmów: kiedy wyczuł, że Henriette wekluje w tym kierunku, wspominał przeszłość. Wystarczyło jedno słowo rzucone od niechcienia i hop! już mógł tylko słuchać jednym uchem. Ależ ona lubiła gadać, biedaczka! O wszystkim, o niczym, o banałach. Istna kumoszka. Ale nade wszystko kochała rozprawiać o przeszłości. O swoich młodych latach. O tym, o ile lepiej było dawniej. O ile było piękniej. Zwłaszcza zanim się poznali! Zawsze kończyło się na tym, że z urazą wyliczała, co mogłaby przeżyć gdzie indziej, w Ameryce, Australii czy może w Kanadzie. Ano, czemu nie, mogło być i tak! Gdyby tylko nie zaprosił jej do tańca, nie szeptał czułych słówek, nie przyciskał tak mocno na tej przeklętej zabawie z okazji święta 14 Lipca. Jaka szkoda.

Nie miał jej tego za złe. On także marzył. O miłych rzeczach. Szybko jednak pojął, że marzenia i miłość tym razem nie pójdą w parze. Może nie był do tego stworzony. Albo nie tym razem mu było pisane. Albo uda się to w innym życiu. Właśnie, w innym życiu, jak u kotów!

Dobra. Wracamy do terażniejszości.

Jest u sąsiadki. Coś ją trapi, lecz wyraźnie nie bardzo ma ochotę mówić o tym mimo pytań, które Ferdinand dyskretnie jej zadaje. Niewiele o niej wie. Tylko że na imię ma Marceline. Sprzedaje na targu miód, owoce i warzywa. Jest cudzoziemką. Tak jakby. Rosjanką, może Węgierką? W każdym razie pochodzi skądś ze wschodu. Nie tak dawno wprowadziła się tutaj. Parę lat temu. Sześć? Siedem?... No tak, ale mimo wszystko...

Znowu Ferdinand rozgląda się wokół. Zauważa tym razem, że nie ma tu ani termy do wody nad zlewem, ani lodówki, ani zmywarki, ani telewizora. Żadnych współczesnych urządzeń ułatwiających życie. Tak było w czasach jego dzieciństwa. Tylko radio, by wiedzieć, co się dzieje w świecie, i do mycia zimna woda w zlewie. Zimą, pamięta dobrze, stale szukał sposobu, jak by

się od mycia wywinąć. I jeszcze od mordęgi przy praniu sztywnym po wyjęciu z zimnej wody w balii – musiał pomagać w wykręcaniu, aż tracił czucie w palcach. Kurde, ależ to była katorka! Mówi sobie w duchu, że biedna pani Marceline może ma dość takiego życia. Tego jarzma i wszelkich strapień. Pewnie się zniechęciła. A przy tym jest z dala od ojczyzny, od rodziny... Bardzo możliwe, że właśnie dlatego...

Ferdinand czuje, że nie ma rady. Musi to wziąć na siebie, zmusić się do mówienia. O innych rzeczach niż łupanie w krzyżu czy pogoda. Choćby o jej psie. Bystrzak z niego, że ho, ho! Taki pies to naprawdę szczęście. Ostatni, jakiego miałem, był głupi, ale przylepka, że szkoda słów. A ten... To suczka? Na pewno? Nie zwróciłem uwagi.

Zbiera się na odwagę. I przechodzi do rzeczy. Ni stąd, ni zowąd mówi, że rozumie. Że on także raz czy dwa miał na to ochotę. Właściwie trzy razy. A mówiąc z ręką na sercu, cztery. Tak, tak, ale... zawsze przedtem przemyślał to sobie. I znajdował bardzo dobre powody, aby tego nie zrobić. Jak na przykład... Hm, tak na gorąco nic mu nie przychodzi na myśl. A, głupiec z niego: wnuki! Cudowne. Niezwykłe. A jakie odmienne od jego dzieci! Tak, tak, naprawdę. Są miłsze, żywsze i dużo inteligentniejsze. Może to zależy od epoki, czasu bardzo się zmieniły. Choć niewykluczone, że to my, kiedy się starzejemy, stajemy się cierpliwi. Możliwe... Nie ma pani wnuków? Ani jednego? Psiakostka. Szkoda. Ale można się innych rzeczy uczepić. Zaraz, niech pomyślę.

Marceline podnosi oczy, wpatruje się w sufit.

Ferdinand drapie się po głowie. Zastanawia się gorączkowo.

– Wie pani, ważne też, by przypomnieć sobie czasem, że są ludzie bardziej nieszczęśliwi. To stawia mocno na nogi. Pomaga ogarnąć sprawy, jeśli pani woli. Człowiek niekiedy tego potrzebuje, nie uważa pani?

Sąsiadka wygląda, jakby myślami była gdzie indziej. Ferdinand próbuje wykombinować coś śmiesznego.

– Skoro dotąd nikt stamtąd nie wrócił, by powiedzieć, czy tam jest lepiej, może nie warto tak się wrywać, co? Lepiej po prostu zaczekać – sugeruje i chichocze.

Czeka na jej reakcję.

Reakcji brak.

Na dobre ogarnia go strach. Nachyla się do niej. Rozumie pani, co mówię? Może jakieś słowa nie są...

Marceline wyciąga rękę w stronę przewodu kuchenki gazowej i lekko drżącym głosem mówi, że już wie, cały czas szukała i właśnie znalazła. Wszystko przez jej starego kota. Zniknął kilka dni temu. Może umarł? Oby nie. Tak by ją to zabolowało... No i dlatego nastąpiło tu bezholowie. Myszy robią, co chcą. Kota nie ma, to i harcują. Dzień i noc. W szafach, pod łóżkiem, w spiżarni.

Gryzą, gryzą bez przerwy. Wydaje się jej, że od tego oszaleje! Jak tak dalej pójdzie, zaczną się ganiać po stole i jeść z jej talerza, tak się rozzuchwalily bestie jedne.

Ferdinand się wyłączył. Ledwie jej słucha. Biedaczka, gada od rzeczy. Pewnie przez ten gaz. Ta historia z umarłym kotem i harcującymi myszami nie trzyma się kupy. Patrzy na mówiącą sąsiadkę, spuszcza wzrok na jej ręce. Ładne i zniszczone. Tak skutkuje praca na roli, pani Marceline powinna o siebie zadbać, wcierać w dłonie krem, dobrze by im to zrobiło. W sumie wygląda na młodszą, niż sądził. Sześćdziesiąt...

Wtem Marceline się podnosi. Zaskoczony Ferdinand wzdryga się i także wstaje. Słyszy, że dziwnie wkurzające jest gadanie w próżnię. No, ona już czuje się lepiej. Dziękuje za wszystko, sąsiad może sobie iść, a ona się położy i odpocznie. Ten gaz dał jej popalić. Ferdinand spogląda na zegar na ścianie: wpół do piątej, za wcześnie, by iść spać. Dziwi się. A ona mówi, że nie odprowadzi go do drzwi, sam na pewno trafi. Ferdinand przytakuje, skrywając uśmiešek. Trudno by się zgubić w domu, w którym jest tylko jedno pomieszczenie! Głaszcząc suczkę po łbie. No to do widzenia pani. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić. Dziękuje, nie omieszka. I Marceline wzrusza ramionami, mamrocąc pod nosem: Jak tylko założę sobie telefon, rzecz jasna...

Wracając do samochodu, Ferdinand próbuje sobie poukładać to, co się stało: o mało się nie zatrula gazem osoba, która od lat mieszka w tym maciupkim domku o dwa kroki od niego, setki razy spotykał ją na drodze, poczcie, targu, ledwie do niej zagadywał a to o pogodzie, a to o zbiorach miodu... I nagle łup! natyka się na jej psa... znaczy na suczkę... Ale gdyby nie przystanął na drodze, aby odstawić psinę do domu, ta pani Marceline już by teraz nie żyła! I nikogo by to nie obeszło.

Cholera.

Niewesoło.

Wsiada do auta, rusza. Żałuje, że nie odpowiedział na pytanie, które mu zadała. Trudno, zajrzy do niej jutro albo innego dnia. Aby szczerze powiedzieć, co sądzi o jej winie śliwkowym. Że słowo daję, jest nad podziw udane jak na pierwszy raz. Swego czasu robiła je Henriette, jego żona nieboszczka. Ale nigdy nie wyszło takie dobre. Tak, tak, naprawdę szczerze mówię.

W maciupkim domku Marceline kładzie się na łóżku.

Głowa trochę mniej ją boli. Jest w stanie zebrać myśli.

Śmieszny chłopak z tego Ferdinanda. A jaki gaduła! Przez cały czas, gdy tu był, usta mu się nie zamykały, co było trochę otumaniające. Nie wszystko zrozumiała. Na przykład o tym ogarnianiu spraw – czemu wtedy o tym powiedział, nie zgadła. Pewnie ma dużego doła, wyglądało na to, że potrzebuje się wygadać. Takie wysłuchiwanie kogoś jest ciut męczące, ale przynajmniej tyle

mogła dla niego zrobić. W każdym razie miło, że przyprowadził sunię. Musi pomyśleć, jak by mu się odwdzińczyć. Może słoikiem miodu, jeśli lubi? Wtem wracają do niej wspomnienia. Przypomina sobie żonę tego jegomościa. Ho, ho!... Bardzo niemiła! Wręcz okropna. To było na początku, nie wiedziała, gdzie co jest, nikogo nie знаła. Zwierzaki były głodne, ona również. Skorzystała więc z ogródka. A potem oczywiście zaczęła go uprawiać. Żeby mieć co jeść i może nawet zarobić parę groszy. Póki nie wymyśli, co począć dalej. No. Mimo starań w pierwszym roku zrobiła klapę na całej linii. Zebrała marchewki nie większe od rzodkiewek i cebulę jak groch! I co tydzień ta paniusia, ta Henriette, przystawała przed jej straganem na targu i ze zniesmaczoną miną obrzucała wzrokiem jej towary. Następnego roku było trochę lepiej. Marchewki już przypominały marchewki, a pory były dłuższe niż długopis. I Henriette zaczęła kupować u niej raz tego troszkę, raz tamtego, zawsze jednak sprawiała wrażenie, jakby jej dawała jałmużnę. Marceline najchętniej by ją pogoniła. Tyle że nie mogła sobie na to pozwolić. Tak, naprawdę nie cierpiała tej baby.

I mówi sobie w duchu, że małżeństwo to zawsze tajemnica. Jej małżeństwo również, rzecz jasna. Niespecjalnie ma ochotę o nim myśleć. Takie to odległe, trochę jakby było w innym życiu. Niemniej Henriette i Ferdinand... Właściwie ich nie znała, lecz zastanawia ją, jak mogli tyle czasu żyć razem, skoro tak bardzo nie pasowali do siebie. Co sprawiło, że nie rozbiegli się każde w swoją stronę, ledwie przygasł ogień namiętności? Hm, zasadniczo to nie ma większego znaczenia. W każdym razie on sprawia wrażenie innego. Z wyglądu jest dość drętwy, trzyma się raczej z rezerwą, nie wygląda na złego. I nawet dosyć rozbijający z tym szerokim rozcięciem w piersi, które tak bardzo stara się ukrywać. Kiedy mówi o wnukach, widać wyraźnie, że mu ich brakuje, nie zdążył jeszcze przywyknąć, że wyjechały. Pewnie przeżył szok, gdy znalazł się sam w wielkim pustym domu.

Biedny staruszek.

Nie ma wesoło.

Kiedy zrobiło się ciemno, Marceline wstała z łóżka. Ból głowy minął. Najpierw sprawdziła przewód gazowy pogryziony przez myszy. Kawalek bez uszkodzeń był wystarczająco długi. Mogła go naprawić i nastawić zupe.

3

Poranny prezent

Nazajutrz po przebudzeniu Ferdinand zawołał: „O psiakostka!”. Od jakiegoś czasu ogromnie się stara panować nad językiem. Żeby Mireille, swoją synową, pozbawić pretekstu do zakazywania mu spotkań z wnukami. Tak że zawołał: „O psiakostka!”, aby nie użyć słowa „cholera”, kiedy zdał sobie sprawę, że pościel ma zmoczoną. Najwyraźniej śniło mu się to samo co w trzy poprzednie noce. Mianowicie że pływał jak ryba w ciepłych błękitnych wodach z grupą kumpli delfinów. Nigdy ich nie widział na żywo, tylko w telewizji, w programach dokumentalnych o zwierzętach w rodzaju *Thalassa!*. Mało tego. Jeszcze trochę zaspany jak co rano spuścił z łóżka lewą nogę, po omacku szukając bambosza. Kiedy pod palcami w końcu wyczuł coś miękkiego i ciepłego, automatycznie postawił nogę, aby to coś wzuć. I krzyknął: „Kurwa mać!”. Ale tu poniekąd miał prawo, albowiem stanął na zwłokach! Na codziennym trupku myszy, prezencie od kota. A konkretnie od kociaka swoich ukochanych wnucząt. Mireille dostała alergii na jego sierść dosłownie dwa dni przed przeprowadzką, musiał zatem się zgodzić, by u niego został. Tak, tak, wszystko ustalone, dziadek Ferdinand zajmie się waszym koteczkim. Nic się nie bójcie, zajmę się nim. I będziecie mogli go odwiedzać, kiedy tylko zechcecie, tak? No, Lulki, nie płaczcie już, proszę...

Gdyby miał wybór, wolałby psa. Mimo że pół roku wcześniej poprzysiągł sobie, że po Rzepie nigdy już nie weźmie żadnego. Głupi jak but, nieposłuszny, do pilnowania średnio się nadawał, ale jaka była z niego przylepka! Jego przymilność równoważyła wszystko inne. Ojej, ależ mu go brakowało. Kotów zwyczajnie nie lubił. Podstępne przebiegłe bestie. Nadają się tylko do łapania myszy i szczurów. A i to jak się dobrze trafi. Jeśli idzie o posłuszeństwo, z góry wiadomo, że zerowe. A na pieszcoty pozwolą, jak im się zachce. Może być i tak, że nigdy.

Efekt: już w dniu wyprowadzki wieczorem kulka sierści ulokowała się na jego łóżku i nie śmiał jej przegonić, takie toto było małe... Drugiego wieczoru kocię wlaźło pod pierzynę i przytuliło się do niego, następnie pyszczek wetknęło mu za ucho, naprawdę było to przyjemne, a czwartego ostrzyło pazurki na nogach fotela, co w ogóle nie ruszało Ferdinanda, nie wzbudziło w nim żadnych emocji, po tygodniu zaś jadło na stole z miski opatrzonej swoim imieniem. Do kompletu brakowało tylko serwetki!

Niedługo dwa miesiące miną, jak jego syn Roland, Mireille i dwoje ich dzieci wyjechali.

Wyprowadzili się z domu i odtąd Ferdinand mieszka tu sam z kotem. I czasem się zastanawia – mimo wszystko z niejakim zdziwieniem – czy zdołałby tak dobrze znieść całe to pomieszanie z poplątaniem, wszelkie troski, gdyby go nie miał przy sobie. Gdyby nie było małego Szamala.

Inny powód do zdziwienia: zmiany w jego charakterze. Faceta raczej oschłego, twardego jak glaz, którego nic nie ruszało. Koniec z tym. Z dnia na dzień zrobił się wrażliwy. Zdolny rozplakać się bez powodu, wzruszać byle czym. Na jego skorupie pojawiła się rysa. A raczej pęknięcie. Które Ferdinand wszelkimi sposobami próbuje załatać.

O tym wszystkim, ma się rozumieć, nikomu nie mówi. Nigdy nie potrafił gładko się wysławiać, a tym bardziej gadać o swoich uczuciach. Miałby wtedy wrażenie, że rozbiera się do naga na rynku w dzień targowy. To nie dla niego. Woli wszystko trzymać głęboko ukryte w sobie, to prostsze.

Nikt zatem nie wie, że wyjazd dzieci i pustka, która po nich została, jakby go rozcięły na pół. Trach! Powstało szerokie rozcięcie w piersi. Trzeba będzie czasu, aby się zrosło. Miesiące albo lat. Niewykluczone, że nigdy się nie zagoi. Może być i tak.

Po mysich zwłokach znalazł bambosz pod komodą, trupka wziął za ogon i poszedł go wyrzucić na dwór, na stertę gnoju.

I stojąc na podwórku w piżamie, w wilgotnych jeszcze spodniach, zastanowił się poważnie, jak wytłumaczyć kociakowi, że znacznie lepiej by było – tak, zdecydowanie lepiej – gdyby zjadał to, co upoluje. Zabijanie bez powodu to czyste marnotrawstwo. Dość przypomina to, co robią ludzie. Jaka z tego korzyść? Nie bierz z nich przykładu, kiciu.

Tylko jak coś takiego wytłumaczyć kotu? W dodatku małemu. Ledwie czteromiesięcznemu. W przeliczeniu na wiek ludzki – siedmioletniemu.

I jak można liczyć, że zrozumie?

Nie, nie, ostatnimi czasy Ferdinand doprawdy sam siebie nie poznawał. Musi koniecznie wziąć się w garść.

Blżej południa niebo się przejaśniło. Skorzystał z tego, by nastawić pranie.

Sprawa zrobiła się pilna.

Trzy noce z rzędu miał ten sam sen, skończyła mu się czysta pościel. I spodnie od piżamy.

Otóż tak. Gdyby kiedyś miał opowiedzieć komuś, co poczuł po wyjeździe dzieci, z pewnością rzekłby, że gdy zapakowano ostatnią walizkę, gdy po raz ostatni uściskał chłopców i zamknął drzwi samochodu, pod nogami rozwarła mu się wielka dziura, ciemny dół głębszy niż studnia. I że zawrót głowy, którego doświadczył w tamtej chwili, odtąd go nie odstępuje. Będzie teraz nieodłączną częścią jego życia. To Ferdinand jasno rozumiał.

Ale niewielkie są szanse, żeby kiedyś o tym opowiadał.

Nie ma mowy, by obnażał się przed kimkolwiek.

Ferdinand się nudzi, potem mu przechodzi

Po obiedzie rozwiesił pranie na dworze. Później poszedł się powalać w okolicy stodoły. Mijając traktor, nie mógł się powstrzymać i wspiął się do kabiny. Uruchomił maszynę, by sprawdzić, czy silnik działa. Następnie wszedł do warsztatu. Na stole zobaczył w połowie wygrawerowaną tabliczkę nagrobną dla Alfreda, od tygodni leżącą odłogiem. Niedokończoną. Z ukłuciem w sercu zerknął na narzędzia, machinalnie zaczął sortować stare gwoździe. Nie chciało mu się zabierać do tabliczki. Wobec tego trudno, wszedł do auta. Zwolnił, gdy przejeżdżał przed drogą prowadzącą do Marceline, zawahał się, czyby nie wstąpić po świeże wieści, ostatecznie postanowił, że zajrzy do niej może później, pod wieczór. I pojechał do miasteczka. Zaparkował dość daleko od placu targowego, z bagażnika wyjął łaskę i ruszył główną ulicą, przesadnie utykając. Nikogo nie spotkał. Co sprawiło mu lekki zawód. Dotarwszy do kawiarni przy placu, zamówił lampkę białego wina i usadowił się przy stoliku w ogródku. Jak zwykle od blisko dwóch miesięcy.

Zegar na merostwie wskazywał wpół do czwartej.

Pozostała mu godzina do zabicia, nim w szkole skończą się lekcje. Tylko wtedy mógł zobaczyć swoje wnuki. Swoich Lulków. Ośmioletniego Ludovica i sześćioletniego Luciena. Mógł każdemu dać całuska. Zanim zjawi się Mireille, by czym prędzej ich zabrać. I raz-dwa odstawić do nowego domu pod pretekstem – wyrażanym z lekkim smutkiem, aby to było bardziej wiarygodne – nawału obowiązków!

W gardle go ścisnęło na samo wspomnienie tego.

Upił nieco białego wina, aby czas szybciej mijał.

Po czym rozejrzał się dokoła. Nie było na co patrzeć.

Przeszedł go dreszcz.

Na niebie promyk słońca próbował się przesmyknąć między dwiema szarymi chmurami. Aby się rozgrzać, Ferdinand zamknął oczy i wystawił się na jego pieśczołę. Ale niedługo tak posiedział. Na chodniku rozległo się suche stukanie. Tup, tup, tup, tup. Nadchodziła młoda kobieta w garsonce i butach na wysokich obcasach. Rzadkość w tej okolicy. Wyliczył, że minie siedem sekund, zanim przejdzie koło kawiarnianego ogródka... sześć, pięć... przesunął łaskę...

cztery, trzy... wzdłuż krzesła... dwie, jedna. Trafiony. Dziewczyna uskokczyła, wykręciła sobie kostkę, krzycząc: „Aj!”. Już się szykowała, by wygłosić zgrabne, dobrze wyważone zdanko pod adresem „gnojka, którego laska się tu poniewiera”, gdy jej wzrok padł na Ferdinanda. Udało mu się przybrać tak żałośliwą minę, taką skruszoną, że dziewczyna się uśmiechnęła. Szybko się jednak opanowała. Ze ściągniętą brwią rzuciła mu ponure spojrzenie i pogroziła palcem, dając do zrozumienia, że nie z nią takie numery biednego niewiniątka. Na pamięć zna sztuczki staruszków. Dziadków ma czworo! A staż w ostatniej klasie odbyła w domu starców, więc wiadomo... Dokładnie w tej chwili Ferdinand spuścił głowę. Muriel zaś z satysfakcją pomyślała, że zrozumiał, o co jej chodzi. Zadowolona poprawiła garderobę. Wyglądziła zmarszczki na spódnicy – szczególnie na tylnej części, bo „zmarszczki na tyłku, kurwa, naprawdę nie uchodzą osobie z klasą” – otrzepała torebkę, stukając nią kilkakrotnie o łydki, poprawiła wysunięty kosmyk upiętych włosów i nie oglądając się więcej na Ferdinanda, ruszyła dalej, nagle wystraszona, że spóźni się na spotkanie (z facetem z agencji nieruchomości w związku z pokojem do wynajęcia, ale będzie musiała mu nawijać cuda-wianki, skoro nie ma na kaucję i w ogóle, o rany...).

Ferdinand był zadowolony. Udało mu się wywołać uśmiech na ładnej buzi młodej kobiety. Coś takiego nie co dzień się zdarza. No owszem, nie był to jakiś szczególnie szeroki uśmiech. Zresztą i kobieta nie taka znowu piękna. Gwoli uczciwości przyznać trzeba, że wyglądała dość frywolnie w tych niebotycznie wysokich obcasach i obcisłej spódnicy, która mocno opinała jej niezbyt szczupłe biodra. To jednak nie miało znaczenia, zdobył swój uśmiech dnia.

Zegar pokazywał teraz czwartą za piętnaście. Przeszło trzy kwadranse do wyjścia ze szkoły. Podniósłszy oczy ku niebu, Ferdinand zdał sobie sprawę, że dwie szare chmury skorzystały i zlały się w jedną zwartą masę niebezpiecznie ciemną. Wspomnił rozwieszzone pranie, pomyślał, że jeszcze jest czas wrócić do domu, nim zaczną padać. Na Boga, lunie jak z cebra! Żeby zdążyć, będzie musiał ostro jechać.

Oczywiście zły był na siebie, że tak długo siedział w kawiarnianym ogródku. Nogi mu zdrętwiały. Trochę zeszło, nim je rozprostował, a kiedy wreszcie zdołał się podnieść, zjawił się Roland, jego syn, i stanął przed nim, wypinając brzuch.

– A skąd się tu wziąłeś?

– Bez przesady, mieszkam niedaleko, przecież wiesz.

Skoro Roland pofatygował się aż tutaj, znaczy, że chciał mu zakomunikować coś ważnego. Tyle że jak zwykle nie wiedział, jak się do tego zabrać i od czego zacząć. I aby zyskać na czasie, przestępował z nogi na nogę, pochrząkując. Bardzo irytujące.

– No?...

– Hm, uważam, że przez te wygłupy z laską w końcu spowodujesz jakiś wypadek.

Ferdinand z westchnieniem na powrót usiadł, wyjął fajkę i kapciuch z tytoniem.

– To wszystko?

– Nie.

– No więc?

– No więc uważamy z Mireille, że skoro nie chcesz wchodzić do środka, niech ci będzie, można zrozumieć powody, ale mimo wszystko lepiej by było, gdybyś na kielicha wpadał na taras naszej knajpy. Tak by było normalniej po prostu.

– Nie, no, wygląda mi to na zaproszenie. – Ferdinand niespiesznie pyknął parę razy z fajki. Żeby się z nim jeszcze trochę podrażnić. Roland nie cierpiał jego palenia. – To miłe, do licha. Doceniam. Tylko widzisz, bez owijania w bawełnę powiem, że ten kieliszek białego winka... sam nie wiem, dlaczego tu smakuje lepiej.

Roland przyjął cios. Znowu poczuł silne palenie w lewej części klatki piersiowej – ale nic, co by można uznać za podejrzanę albo odbiegającą od normy (dowadywał się, doktor Lubina powiedział, że to tachykardia, nic więcej) – odruchowo kilka razy odchrząknął, po czym obrócił się na pięcie i ruszył do siebie. Do swojej restauracji. Po drugiej stronie placu, w odległości najwyżej pięćdziesięciu metrów. Z tarasem dla pałaczy. Starał się kroczyć godnie i naturalnie. Z głową wysoko podniesioną, wyprostowany, z zawieszonym na sznurku korkociągiem uderzającym w udo w rytm kroków. Perfekt. Tylko że szybko coś mu zaczęło przeszkadzać. Coś, co jakby utkwilo w samym środku płców, dokładnie między łopatkami. I... coraz mocniej go grzało. Gdyby uległ własnym ciągotkom, zawróciłby i poszedł dać w pysk cymbałowi, który stał za firanką! Wepchnąłby mu do gardła tę szyderczą minę i kretyński uśmiech! Kurde, zdenerwował się. A obiecywał żonie, że utrzyma nerwy na wodzy. Szybko. Uspokój się. Zastanów. Spróbuj... No nic, nie da się ukryć, że gdyby na taras jego restauracji przychodził na kielicha pieprznęty ojciec kolegi kawiarniarza, on też kretyńsko by się uśmiechał. Choćby po to, żeby go wkurzyć.

Cóż, taka w sumie jest prawda. Uspokoił się trochę. Ta myśl dodała mu pewności siebie.

Ale w progu restauracji wzrok żony patrzącej z głębi sali trafił go jak obuchem. I Roland apiać poczuł się malutki. W miejscach publicznych, Rolandzie, nie załatwiamy spraw rodzinnych, rozmawialiśmy o tym. Tak, ale sama widzisz, moja droga, ojciec mnie prowokuje... Pchnął drzwi. Zadzwijał dzwonek. Mireille bez słowa odwróciła się tyłem. Nie musiała nic mówić, wiedział, co myśli. Że gdyby stary Ferdinand padł teraz zaraz na zawał albo jeszcze lepiej dostał wylewu, bardzo by jej ulżyło.

Ponieważ Rolandowi nie bardzo się podobało, że jego żonie coś takiego chodzi po głowie, wołał patrzeć gdzie indziej.

O, pozamiata salę. Oderwie się od tych spraw.

Tymczasem Ferdinand, który nie chciał wiedzieć, jakie uczucia wzbudził w synu – i siłą rzeczy w synowej – wracał do samochodu, zapomniawszy tym razem o utykaniu. Spieszył się bowiem. Naprawdę zanosilo się na deszcz.

Muriel szuka pokoju i roboty

Znowu Muriel przyszła na próżno, miała więc wielką ochotę dać popalić temu złamasowi pośrednikowi. Zwłaszcza że musiała się urwać z zajęć, by zdążyć. Nie mówiąc o wysztafiowaniu się specjalnie na tę okazję: kostium, obcisła spódnica, wysokie obcasy. Nie przywykła do takich ciuchów. Przytyła trochę, więc spódnica pije ją w pasie, a buty tak jej obtarły nogi, że ma bąble. W dodatku spuchła jej trochę kostka po tym, jak się potknęła na lasce tego dziadka w ogródku kawiarnianym. Krótko mówiąc, przez to wszystko ma pieski humor. Atakowany pośrednik słabo się bronił. Rozumie pani, nie jest łatwo, właściciele zmieniają zdanie jak rękawiczki, więc w tych warunkach trudno nam pracować efektywnie. Jeśli chodzi o panią, owszem, powinniśmy byli zadzwonić i uprzedzić panią o wycofaniu oferty, ma pani słuszość, ale mamy pełne ręce roboty, brakło nam czasu. Nie patrzyła na niego, kiedy tak bałakał, zdążyła się uspokoić, dzięki czemu nie strzeliła w niego dokumentami w teczce. Przed odejściem zmusiła się do uśmiechu, gdy ścisłała mu rękę, prosząc, aby zadzwonił, jeśli tylko będzie coś miał. I dla pewności, że wbije mu się to w ten jego ptasi mózdzek, przypomniała, czego szuka: pokoju umeblowanego albo nie, z prysznicem i ubikacją niekoniecznie tuż obok, to mało ważne, w miasteczku bądź w okolicy, oczywiście niedrogiego. Sprawa była superpilna, z końcem miesiąca wyląduje na bruku, jeżeli nie znajdzie niczego. Powiedział: „Sprzęż się, może pani na mnie liczyć”. Wychodząc, mocno chlastnęła przeszklonymi drzwiami i zaraz się obróciła, podnosząc rękę do ust i szeroko otwierając oczy z miną „ups, sorry, nie chciałam”. Udał, że to normalne, zdarza się stale, pozdrowił ją gestem, któremu towarzyszyło mrugnięcie. Zemdlilo ją.

Zegar na merostwie wskazywał czwartą. Miała czterdzieści pięć minut do następnego ważnego spotkania tego dnia. Pogrzebała w torebce i znalazła trochę drobnych, które wpadły za podszewkę, w sam raz na kawę, weszła więc do baru przy placu, siadła przy kontuarze. Zaraz zjawiała się Louise. Wybuchły śmiechem, kiedy stwierdziły, że obydwie odstały się ekstra. W szkole nikt ich nie widział ubranych inaczej niż w spodnie i tenisówki. Teraz Louise nawet się pomalowała. Muriel była zdania, że wygląda trochę jak tania dziwka, ale powstrzymała się od komentarza. Nie ma co jej złościć, laska jest całkiem w porzo. Wypiły kawę, lecz tak je nosiło, że za dwadzieścia piąta przeszły na drugą stronę placu i wparowały do restauracji. Dzieci właśnie wróciły ze szkoły, rozsiadały się przy stole, by przy podwieczorku odrobić zadania. Na widok

wchodzących dziewczyn Lutek przeżył taki wstrząs, aż przestał żuć. Pewny siebie krok, rozmiar biustu naprawdę niesamowity, oszołamiający zapach perfum, który uderzał do głowy, i wiśniowe usta Louise – czegoś takiego w życiu nie widział... Mireille zauważyła jego poruszenie, dała mu znak, że ma się zająć robotą, a dziewczyny zaprosiła do stolika trochę dalej i zaproponowała kawę. Nie śmiały odmówić. A miała być piąta tego dnia, tak że narażały się na pobudzenie, zgagę, dygotki, bezsenność i tak dalej. Szczególnie Muriel. Od jakiegoś czasu męczyły ją wszystkie te objawy naraz. Aż zaczynała przemyśliwać, czyby nie skończyć z kawą i nie przerzucić się na herbatę. Z tym że jeszcze nie dzisiaj. Trudno.

Mireille zadała im parę pytań. Nie, jeszcze nie pracowały w restauracji. Ogromnie by jednak chciały. Tak, mają po dziewiętnaście lat i obydwie są na drugim roku w szkole pielęgniarstwa. Bardzo są zadowolone. Tak, tak, mają buty na płaskim obcasie, jasne, są o wiele wygodniejsze do pracy i chodzenia, nie trzeba się bać zwichnięcia nogi. Cóż, potrzebują sobie dorobić, często pod koniec miesiąca brakuje im na jedze... No zwyczajnie są splukane. Mireille niewiele się zastanawiała: powiedziała, że w porządku. Popatrzyły po sobie niepewnie, nie wiedząc, czy „w porządku” znaczy, że dostały te roboty czy nie. Ale zaraz Mireille im wytłumaczyła, co będą robiły, o której mają przychodzić i że lepiej, by się nie perfumowały, bo to zmienia smak potraw, jak z grubsza wszystko będzie wyglądało, tak że przestały wątpić. Chodziło co prawda o jeden dzień, ale jakie to było ekscytujące! W dodatku w okolicy z wyjątkiem wiosny i lata w porze zbiorów i winobrania w zasadzie trudno było o pracę dorywczą. A jeśli tu się uda, to i może coś więcej się trafi. Wesela, wieczory panieńskie i kawalerskie, przejścia na emeryturę, od czasu do czasu coś takiego się tu odbywało.

Uścisnęły sobie dłonie. Po czym odprowadzane wzrokiem zachwyconego Ludovica obydwie, Muriel i Louise, wyszły z restauracji. Kuśtykając, bo tak bywa z nowymi butami, a już najgorzej na wysokich obcasach. Pomęczyły się jeszcze, idąc w szpilkach przez plac, potem je zrzuciły i pobiegły boso po lodowatym chodniku, krzycząc z radości, że dostały pierwszą pracę.

6

Rodzice pracują, dzieci jeżdżą na rowerze

Sobota.

Mireille przygotowała dla dzieci kanapki na drugie śniadanie. Wieczorem odbywa się słynna biesiada myśliwych. Musiała zatrudnić cztery dodatkowe osoby. Muriel i Louise do obsługi plus dwóch chłopców do kuchni. Wszystko studenci. Kosztują mniej niż zawodowcy. Jedyna niedogodność, to że nigdy nie pracowali w restauracji i wszystko trzeba im tłumaczyć. Co wymaga czasu. Atmosfera jest dość napięta. Roland miota się na wszystkie strony, warczy na każdego – zdaje się, że ma to po matce. Najęci chłopcy z trudem to znoszą. Robią sobie przerwy, kiedy tylko się da. Ładniejszy, imieniem Kim, wyjaśnia dziewczynom, że to żeby nie ociepieć. Muriel i Louise dołączają do nich na dworze, aby zapalić i pożartować. Mają szczęście, bo w sali nie jest tak stresująco. Mireille, szefowa, bardzo ich pilnuje, co może wkurzać, ale jest dość fajna, więc da się wytrzymać.

Całe przedpołudnie Lutek i Lucuś siedzieli w mieszkaniu na piętrze. Bawili się, potem trochę pouczyli, jak kazała Mireille. Koło południa zgłodnieli. Zbiegli na dół, ścigając się, kto pierwszy dotrze do kuchni. Wygrał Lutek. Normalne, jest większy. Ale zobaczywszy ojca przy piecu, z rozpalonymi policzkami i szyją ociekającą potem, powstrzymał zwycięski okrzyk. A Lucuś tuż za nim narzekania. Za późno. Poprzedził ich hałas wyścigu. Roland z wytrzeszczonymi oczami obejrzał się na nich z wraskiem: „Wynocha! Nie przeszkadzać teraz!”. Zawrócili spanikowani, galopem wypadli do głównej sali. Tam zatrzymała ich Mireille. Zauważyła, że Lucusiowi chce się płakać, nie miała jednak czasu, więc udala, że nic nie widzi, i wręczyła im kanapki, wygłaszając polecenia. Idźcie zjeść na dwór, żeby niczego nie poplamić, nie nabrudzić, nie nakruszyć, macie uważać! Tak, dodała, tata jest trochę podenerwowany, ale muszą zrozumieć, że przyjęcia zawsze na niego tak działają. Człowiek jest wtedy pod presją, ciąży na nim odpowiedzialność. Dlatego dzisiaj, chłopcy, macie być grzeczni i zająć się sobą jak dorośli. Pogoda jest ładna, znaczy już nie pada, możecie całe popołudnie bawić się na dworze. Zrozumiano? Kiwnęli głową i jednym głosem powiedzieli: „Tak, mamoo”. Podała im kurtki i otworzyła drzwi, by jak najszybciej się wynieśli, proszę.

Zjedli kanapki na schodach przed wejściem. Bez słowa. Potem się zastanowili, co dalej: pograć

w klasy, piłkę, berka, a może w „raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”?... Nie bardzo ich kręciło. Poszli więc po rowery do garażu. Ale że wolno im jeździć tylko po podwórku za restauracją, żadna frajda. Rodzice stale powtarzają, że nie wolno im wypuszczać się na ulicę, bo są jeszcze za mali i mogą wpaść pod samochód. Jeśli chodzi o Lucusia, Lutek się zgadza. To jeszcze maluch, dopiero co poszedł do zerówki i umie jeździć tylko na trzech kółkach! Za to dla niego, drugoklasisty, który ma rower górski, taki zakaz to normalnie obciach.

Mimo to przez jakiś kwadrans ścigali się dokoła podwórka, potem przystanęli. I zaczęli się naprawdę nudzić.

Chociaż nie tak długo. Ponieważ Lutek wpadł na pomysł. Poszedł do garażu po kawałek sznurka, jeden koniec przywiązał do swojego bagażnika, drugi do kierownicy trójkołówki Lucusia. I mocno pochylony do przodu, z nogą na pedale, czekał na właściwą chwilę, aby ruszyć.

Pół godziny później znajdują się dwa kilometry dalej.

I są już zmęczeni. Z początku jakoś to szło. Lucuś trochę pomagał Lutkowi, pedałując. Od dłuższej chwili jednak pozwala się po prostu ciągnąć, w ogóle nie naciskając na pedały. Cały czas patrzy do tyłu, pilnując drogi. Ma za zadanie ostrzegać brata, kiedy usłyszy nadjeżdżający samochód. I wywiązuje się sumiennie. Lutek natomiast uważa oczywiście na drogę z przodu. Jeśli coś jedzie, przystają szybko na poboczu, kładą rowery w wysokiej trawie i chowają się w rowie, póki auto ich nie minie. Robią tak, by ktoś ich nie rozpoznał i nie powiadomił rodziców. Tyle że te wszystkie przystanki zabierają strasznie dużo czasu. W dodatku to akurat sobota, dzień targowy, więc ruch jest spory.

Za zakrętem Lucuś nie widzi drogi, lecz słyszy, że coś się zbliża. Woła do Lutka: „Jedzie!”. Kładą rowery w trawie, przykucają w rowie, wyciągają szyje, by zobaczyć pojazd. Tym razem to nie samochód. To ta pani, co sprzedaje na targu warzywa i miód. Nie znają nikogo innego, kto by jeździł wózkami zaprzężonym w osła.

Pani zatrzymuje się koło nich. Berta, jej suczka, zeskakuje i przybiega ich obwąchać.

– Szukacie ślimaków, chłopcy?

– Nie, tylko odpoczywamy.

– A, dobrze. I potem gdzie jedziecie?

– Do dziadka Ferdinanda.

– Zdziwi się, jak was zobaczy, co? Wiecie, że macie jeszcze ze dwa kilometry?

– To nic.

– Może byście chcieli się przejechać moim wózkiem?

Bardzo, ale to bardzo by chcieli. Pani podchodzi do osła.

– Drogi Korneliuszu, zgodziłbyś się zawieźć tych chłopców do dziadka?

Lucuś i Lutek chichoczą speszeni. Marceline szepcze: „Wiecie, nie ma pewności, że się zgodzi”.

Sięga do kieszeni i każdemu wtyka w dłoń kawałek marchewki. Chłopcy wyciągają ręce i osioł bardzo delikatnie bierze od nich marchewkę, kiwając głową.

– Ha! Cieszę się, że nie masz nic przeciwko. Dziękuję, kochany Korneliuszu.

Chłopcy spoglądają na siebie. Nie wiedzieli, że osły tak dobrze rozumieją ludzką mowę.

7 Lulki u dziadka

Ferdinand telefonuje.

– Halo, Mireille?... Czy przypadkiem czegoś dzisiaj nie zgubiłaś?... Nie, nie, to nie zagadka. No dobra, już mówię. Ludovic i Lucien właśnie przyjechali do mnie na rowerach, nic im nie jest, myślałem, żeby usmażyć im naleśniki na podwie...

Odsuwa trochę telefon od ucha, póki rozbrzmiewa w nim krzyk. Po czym...

Na rowerze, tak, tak...

Sąsiadka, pani Marceline, spotkała ich na drodze, jak wracała z targu...

Tylko trochę zmęczeni...

Pewnie, że ich umyłem! I przyrzekli, że więcej tego nie zrobią.

Mogę ich przywieźć po podwieczorku, ale...

Takie przyjęcia późno się kończą, prawda?...

O pierwszej w nocy...

O drugiej? Biedne dzieci, będą wykończone.

Na twoim miejscu...

Normalne, że jesteś zdenerwowana, Mireille. Rozumiem.

Słusznie, też myślę, że tak będzie lepiej.

Załatwione, Mireille.

Nie martw się, poradzimy sobie.

To do jutra.

Tak, wczesnym popołudniem.

Milego wieczoru.

Odłożył słuchawkę, a chłopcy rzucili mu się na szyję, zaczęli skakać wokół niego jak koźlęta. Szamalo bardzo się wystraszył. Uciekł pod łóżko. Kosztowało ich sporo czasu, zanim go stamtąd wywabili.

Plus prawie całą resztę pieczonego kurczaka.

Ferdinand musiał zmienić plany obiadowe. W głosowaniu jednogłośnie wygrało spaghetti.

Lulki chichoczą pod pierzyną

Ferdinand ułożył chłopców w łóżku w pokoju obok swojej sypialni. Przedtem była to sypialnia Henriette. Ale wszystko zostało zmienione: pościel, tapeta i nawet ozdoby. Ponieważ Roland bardzo lubił matczyną kolekcję porcelanowych bibelotów, Ferdinand mu ją podarował. W jej miejsce poukładał prace Ludovica i Luciena od przedszkola. Rysunki, malunki, naszyjniki z makaronu, rzeźby z masy solnej, kartonowe walki po papierze toaletowym z głową Świętego Mikołaja i tak dalej.

Taka wystawka jest dużo ładniejsza.

Drzwi między pokojami zostawił uchylone, na wypadek gdyby dzieci obudziły się w nocy.

Lutek, zmęczony jazdą na rowerze, zasypia pierwszy. Obok niego Lucus leży z otwartymi oczami. Tuli do siebie małego Szamala. W końcu łokciem szturcha brata w bok i w swoim mniemaniu szeptem, a w rzeczywistości głośno pyta:

– Śpisz?

– Yhm...

– Wiesz, Lutek, myślę, że na pewno już w ogóle nie lubię taty. A ty?

– No, ja też.

– Aha.

Po chwili Lutek dodaje:

– Jest do chrzanu.

– To brzydkie słowo?

– No.

– Aha. – Lucus nie posiada się z radości. – A co to znaczy?

– Że jest do niczego.

– Właśnie: tata jest całkiem do chrzanu!

Nurkują pod pierzynę, by zdusić chichot. A Szamalo korzysta z okazji i ucieka.

Ferdinand w swojej sypialni wszystko słyszał. Nie śmie się wtrącać.

Z jednej strony uważa, że powinien. Ale z drugiej...

Nikt nie podejrzuje, że to słyszał, uśmiecha się zatem. Mówi sobie, że dzisiejsze dzieci są strasznie bezczelne. Tyle że nie bardzo pamięta, co on myślał w ich wieku. Gdyby sobie

przypomniał, ciekawie byłoby to porównać. Próbuje. Nic z tego. Szamalo uklada się przytulony do niego. I Ferdinand w końcu zasypia ukołysany mruczeniem przy samym uchu. Coś takiego naprawdę nie sprzyja refleksji.

Mireille ma dość

Organizatorzy przygotowali listę gości, którzy na ochotnika postanowili zachować trzeźwość. Po przyjęciu rozwinęła do domów kompletnie napranych kolegów lub współmałżonków. Z tym że jak zawsze znaleźli się tacy, którzy nie wytrwali. Już jest dwóch kierowców mniej. Mireille ich wypatrzyła. Dochodzi druga w nocy, końca zabawy nie widać, a ją bardzo bołą nogi. Wyobraża sobie chwilę, gdy z powodu niedostatków w obsadzie sama będzie musiała rozwzić ludzi po domach. Wcale jej się to nie uśmiecha. Zawsze istnieje ryzyko, że trafi na faceta, który po alkoholu nabierze śmiałości i będzie próbował ją pocałować, jedną ręką obmacywać jej piersi, drugą trzymając na rozporku, albo zarzyga samochód. Nie, nie, wcale jej to nie kręci. Zerka na Rolanda. On także już jej za bardzo nie kręci. Żeby nie powiedzieć: w ogóle jej nie kręci. Godzinę temu skończył robotę w kuchni i zaraz się dosiadł do jednego stołu. Ostro pije i śmieje się głośno. Mireille nienawidzi i tego, i tego. Jej zdaniem przyłączanie się szefa knajpy do klientów świadczy o jego prostactwie i braku manier. W gruncie rzeczy cokolwiek Roland robi, ona nie może tego znieść. Zwłaszcza odkąd przytył. Z początku myślała, że to przejściowe, że uda jej się zapanować nad wstrętem. Tyle że bebech coraz bardziej mu rośnie. Kiedy chodziła w ciąży z Ludovikiem, pod koniec miała podobny. A może z Lucieniem?... Nieważne, za każdym razem było tak samo. Okropnie to znosiła. Takie zdeformowane ciało to nie dla niej. Wyzuło ją z namiętności i zabiło całe libido. Na kilka miesięcy. A po porodzie nigdy już nie było tak samo jak dawniej.

Dziwi ją natomiast, że ciągle jest zazdrosna jak w czasach, gdy jeszcze była zakochana. To ona wpadła na pomysł, żeby do pomocy w kuchni zatrudnić chłopców, nie dziewczyny. Nie chciała, by Roland był narażony na pokusy. Nigdy nic nie wiadomo. Kuchnia jest wąska, ludzie ocierają się o siebie. Poza tym panuje tam hałas, trzeba się porozumiewać wzrokiem, a to stwarza przecież zażyłość. Na dokładkę w kuchni nastrój panuje specyficzny, od pieca bije żar, praca jest zespołowa, to strasznie podniecające. Wszystko może się zdarzyć. Szef kuchni, który wieczorem po pracy wychodzi z młodą pomocnicą – toż coś takiego nie tylko w powieściach albo filmach się zdarza! Nic dziwnego, że Mireille dmucha na zimne. Dziewięć lat temu tak właśnie odbyło się to z nią. Pewnego wieczoru podłapała fuchę w restauracji, w której pracował Roland.

Już ona wie, jak to działa. Sama to przerobiła.

Na razie nie żałuje, że najęła te dwie dziewczyny do obsługi. Spisują się na medal. Obie chodzą do szkoły pielęgniarstwie. Na pewno uczą je tam zorganizowania i zachowywania zimnej krwi w każdej sytuacji. Choćby tamto z ręką na pośladkach – odjazdowo sobie poradziły. Louise była ofiarą, ale sprawę załatwiła lepiej zbudowana Muriel. Stanęła przed facetem, zamaszycie dała mu w pysk i z uśmiechem zapytała, czy pan jest zadowolony z obsługi i czy jeszcze sobie czegoś życzy. Wszyscy wokół nagrodzili ją brawami i zabawa gładko potoczyła się dalej. Rzadko się to zdarza.

Mireille się nudzi. Zajrzy do kuchni, sprawdzi, czy chłopcy posprząkali i wzięli się za zmywanie. Przynajmniej to jej odpadnie jutro z rana, w niedzielę. Popycha drzwi. Adrien i Kim siedzą na skrzynkach i dopijają resztki z kieliszków. Musieli zacząć już chwilę temu, pokładają się ze śmiechu. Na widok wchodzącej Mireille niespiesznie proponują, aby do nich dołączyła. W pierwszej chwili chce ich obsztorcować. Ale jest druga w nocy. W nogach ma piętnaście godzin roboty, więc...

Wraca do sali, kiwa na dziewczyny, by przyszły do kuchni, wyjmując z lodówki butelkę szampana, odkorkowuje.

– No, późno jest i leje deszcz, porozwożę was do domu. Dzięki. Zasuwaliście jak małe samochodziki.

Podnoszą kieliszki.

– Zdrowie!

A chłopcy uznają, że dowcipnie będzie dorzucić:

– Byle nie nóg!

Tak to jest. Alkohol oglupia. W każdym razie tak uważa w tej chwili trzyosobowa żeńska część zgromadzenia. Tyle że panie jeszcze nie opróżniły swoich kieliszków...

10

Dziurawy dach

Burza zaczęła się około drugiej w nocy. Wiało i lało jak z cebra. Robiło wrażenie. Marceline w swoim domku nie zmrzyła oka. Przez całą noc biegła, przesuując meble, podstawiając miski i wiadra tam, gdzie ciepło, i opróżniając je na zewnątrz. Umordowała się strasznie.

Teraz obejrzy rozmiary zniszczeń.

Bierze drabinę spod kurnika, przyciąga ją pod dom, opiera o ścianę frontową, cofa się, by sprawdzić, że stoi we właściwym miejscu, kilkakrotnie ją przesuwając. Dwadzieścia centymetrów na prawo, dziesięć na lewo, upewnia się, że jest dobrze oparta. Cały czas brodzi w błocie. Kiedy stawia nogę na pierwszym szczeblu, stwierdza, że w spódnicy nie będzie jej wygodnie. Wraca do domu, wyjmując spodnie z szafy i wtedy odkrywa, że wszystkie ubrania są mokre. Tej dziury w dachu nie zauważyła. Dokładnie nad szafą.

Waha się pod drabiną. Nuci nerwowo, zbiera się na odwagę. Staje na szczeblu jedną nogą, potem drugą, zatrzymuje się, by odzyskać dech, unika spoglądania w dół. Nie dotarła do połowy, a nogi już się pod nią uginają. Przepaść ją wabi. Marceline podnosi wzrok do nieba, widzi gromadzące się chmury. Niedługo znowu będzie lało. Wspina się dalej, już nie przystając. Z zamkniętymi oczami. Otwiera je na górze i widzi, w jakim stanie jest dach.

Zaczyna padać deszcz gęsty i zimny. Marceline włożyła płaszcz nieprzemakalny, do kieszeni wepchnęła wszystkie worki plastikowe, jakie udało jej się znaleźć. Znowu wchodzi na drabinę. Tym razem bez wahania. Pozwijanymi w kulę workami rozpaczliwie próbuje pozatykać szpary między dachówkami. Świadoma, jak niewiele dadzą jej starania. Na poczekaniu jednak innego rozwiązania nie wymyśliła.

Pochłonięta ratowaniem domu nie słyszy ujadania suczki. Ani dziecięcych nawoływań:

– Pro-szę pa-ni! Pro-szę pa-ni!...

Lutek i Lucuś krzyczą ile sił w płucach. Nieco dalej stanął Ferdinand i patrzy na dach, zmartwiony ocenia rozmiary zniszczeń. Suczka przywarła do jego nóg, podsuwa łeb pod dłoń, domagając się pieczyoty. Na górze Marceline zużyła wszystkie worki, zaczyna schodzić. Wreszcie zauważa dzieci u stóp drabiny, ich buzie zwrócone ku niebu, całe mokre od deszczu. Ucieszeni chłopcy ganiają w kałużach, dwa skrzaciki w za dużych sztormiakach.

– Ma-my mar-chew dla ko-cha-ne-go Kor-ne-liu-sza i jabł-ka też!...

Marceline nie śmie spojrzeć na Ferdinanda. Nie tyle z powodu zawrotu głowy, ile dlatego, że nie chce zobaczyć na jego twarzy zmartwienia.

I myśli, że najlepiej by było, gdyby lało dwa razy mocniej. Wtedy nikt by nie zauważył jej łez i nie usłyszał szlochania.

W obórcie Korneliusz bierze z rąk chłopców marchewki i jabłka, chrupie je, kiwając łbem.

– Cieszysz się, że przyszedliśmy, Korneliuszu? Powiedz, lubisz marchewkę? I jabłka? Będziemy mogli jeszcze przejechać się wózkiem?

Lucuś jest dumny, że udowodnił dziadkowi, iż osiołek wszystko rozumie.

– No widzisz? A nie wierzyłeś nam!

Patrząc na dwoje starszków, Lutek kręci głową ze znaczącą miną. To jak ze Świętym Mikołajem. Uduje ze względu na młodszego brata. Ot, przywilej starszeństwa. Albo niedogodność...

Ferdinand pomaga Marceline nakryć dach płachtą grubej folii. Potem radzi zadzwonić do dekarza i poprosić, by pilnie przyjechał. Marceline patrzy w bok, więc nie nalega. Po chwili dodaje, że gdyby chciała przechować u niego rzeczy, nie ma sprawy. Marceline zastanawia się chwilę, wchodzi do domu i kilka minut później wraca, niosąc w objęciach coś dużego owiniętego w kołdrę. Delikatnie umieszcza to coś na tylnym siedzeniu samochodu. Jakby układała dziecko. Chłopców ciekawi, co to jest. Wyjaśnia im, że wiolonczela. Jest delikatna i nie lubi wilgoci. Gdyby za długo była w zalonym pokoju, mogłaby się przeziębic jak człowiek. Dlatego im ją powierza, dopóki nie naprawi dachu.

Ferdinand odwozi chłopców

W samochodzie Lucuś zapytał szeptem, czemu pani od osiołka była taka smutna. A Lutek odpowiedział, że to przez burzę, bo dach jej domu się zawalił, taki był zmurszały. Tak że teraz na mur-beton pani Marceline umrze z zimna.

Przez resztę drogi milczeli.

Po powrocie do domu obeszli wszystkie puste pokoje, szukając najlepszego miejsca dla instrumentu. Dobrze zapamiętali zalecenia. Nie za blisko źródła ciepła. Ale i nie za daleko. W trakcie tej wędrówki zapytali dziadka, dlaczego nie zaprosi Marceline, aby z nim zamieszkała. Przestrzeni jest dużo, a dach się nie wali jak u niej. Ferdinand odparł ze śmiechem, że nie znają się na tyle dobrze, aby mógł jej złożyć taką propozycję. Ale czemu? Wyjaśnił, że na ogół dom zamieszkują tylko członkowie rodziny, bardzo rzadko obce osoby. Czemu? U obcych człowiek nie czuje się całkiem swobodnie, ludzie mają różne upodobania i przyzwyczajenia. Czemu? Na to odpowiedział: „Bo tak już jest”. Lutek burknął: „«Bo tak już jest» to żadna odpowiedź”. Ferdinand zgadzał się z nim, ponieważ jednak nie miał innego wyjaśnienia, wołał na tym zakończyć temat. Jakby miał do zrobienia rzeczy ważniejsze niż roztrząsanie takich drobiazków.

Znaleźli w końcu miejsce idealne, złożyli na stole instrument okutany w kołdrę. Rozchylili ją z wierzchu, aby zerknąć, pod spodem był jednak futerał, którego nie śmieli otworzyć. Następnym razem poproszą Marceline, żeby zagrała im coś na tych wielkich skrzypcach, oznajmił Lucuś. Na to jego dziadek i brat uśmiechnęli się tylko.

Po obiedzie Ferdinand odwiózł chłopców do domu.

Kiedy przyjechali, Mireille akurat zmywała podłogę w kuchni restauracji. Krzyknęła do synów, by nie chodzili po umyтым, musieli więc poczekać, póki nie skończyła, i dopiero wtedy ją uściskali. Zaraz ich ostrzegła, że Roland jeszcze śpi. Na razie nie będą więc mogli pójść do swojego pokoju. Co zdenerwowało Ferdinanda, lecz niczego po sobie nie pokazał, mruknął tylko pod nosem: „Bałwan jeden”. A Mireille udała, że tego nie słyszy. zaproponowała mu kawę. Wyrzwał z zewnątrz. Znowu zaczęło wiać i lać jak z cebra. Podziękował, tłumacząc, że dosyć się spieszy. Uścisnąwszy Lutka i Lucusia, odjechał.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, Mireille powiedziała do Lutka:

– A teraz musimy pogadać.

Lutek wiedział, że wcześniej czy później przyjdzie mu zapłacić za numer z wycieczką rowerową, na którą wyciągnął brata. Normalka – jego pomysł, a on jest starszy. Zanim jednak mama zaczęła nawijać, z niewinną minką zapytał:

– Mamo, a w następnym tygodniu też będzie impreza?

– Nie, a co?

– Nic, tak tylko pytam.

Luciś się nie szczypał, jasno okazał, jaki jest zawiedziony.

– Psiakostka, szkoda... – powiedział.

Co jeszcze bardziej zdenerwowało Mireille.

I Lutek zebrał zdrowy ochrzean.

12

Lutek woli ochrzan od Mireille

No więc moim zdaniem, chociaż mama gada i gada i czasem porządnie nam dosoli – jest naprawdę trudna – już lepiej dostać ochrzan od niej niż od Rolanda. On za każdym razem chce nam spuścić lanie. Nie lubię strasznie jego miny, jak jest wkurzony, oczy ma wtedy jak smażona szprotka. Robi się cały czerwony, a głos ma piskliwy jak rozdarta baba. Kiedy już zacznie, trzeba tak kombinować, żeby się znaleźć blisko drzwi, w ten sposób jest szansa na ucieczkę, gdy podniesie rękę. Nigdy nas goni po schodach, zwłaszcza odkąd jest taki gruby, bo to go męczy i sapie wtedy jak lokomotywa. Kiedyś umrze na atak serca. Tak myślę. A nawet jakby próbował nas gonić, Mireille by mu nie pozwoliła, to pewne. Na nią w życiu nie podniesie ręki, za bardzo się boi, że pójdzie sobie i nigdy nie wróci. Ale za każdym razem powtarza, że jeśli chodzi o wychowanie, rację miała jego matka. Nazywała się Henriette, śmiesznie. Mama stale mu tłumaczy, że nienawidzi ludzi, którzy biją dzieci. Uważa, że to okropne, przypomina jej własnych rodziców. Stale ją lali, kiedy była mała. Aż w końcu przyszli policjanci i zabrali ją, i zawieźli do wujka Guya i ciotki Gaby. Oni byli dla niej mili. Nie mieli swoich dzieci i zaczęli ją okropnie rozpieszczać. Mama wszystkim mówi, że oni są jej prawdziwymi rodzicami, chociaż to nieprawda.

Jak mama nas ochrzania, sprawa jest prosta. Trzeba tylko udawać, że się zgadzamy ze wszystkim, co mówi, nawet jeśli gada godzinami, a potem jeszcze trzeba się rozplakać prawdziwymi łzami, skoczyć jej na szyję, zapewnić, że rozumiemy, obiecać, że więcej się to nie powtórzy, i załatwione. Potem wyjątkowo pozwala nam na szklankę coli i paczkę chipsów przed kolacją. Raz Lucuś dodatkowo wycygnął lody na patyku. Strasznie się zezłościła na Rolanda i wrzeszczała na niego, że to przez niego ma dzieci i dlatego piersi zrobiły się jej brzydkie i obwisłe. Gdyby była sama, nie urodziłaby dzieciaków i ciągle byłaby ładna. Lucuś był pod drzwiami, wszystko słyszał i zaczął beczeć jak niemowlę. Jak to zobaczyła, też się rozryczała, jeszcze bardziej niż on. A potem go przytuliła i powiedziała, że to nieprawda. Że wcale tak nie myśli. Że chciała dokuczyć tacie.

No, to całkiem możliwe.

Ale co do piersi moim zdaniem ma rację. Faktycznie trochę obwisają.

W każdym razie wtedy Lucus i ja dostaliśmy po lodzie na patyku.
Pychota, naprawdę.

Ferdinanda opadają wątpliwości

Mijając dróżkę prowadzącą do Marceline, Ferdinand zwolnił. Nie zatrzymał się jednak. Pomyślał, że gotowa źle odebrać tak częste wizyty. Mogłaby jeszcze uznać, że chce się mieszać w jej sprawy. A to nie w jego stylu. Wrócił więc do domu. Ciągłe tak łało, że nie miał ochoty na nic, wolał po prostu usiąść przy piecu i napić się grzanego wina. Pomyślał, że włączy telewizor, przedtem jednak zajrzał do programu i całkiem mu się odechciało. Same nudne seriale, musimy innym zająć głowę. Poszedł na piętro. Na widok zabawek porzrzucanych na podłodze i nieposłanego łóżka, w którym spali chłopcy, poczuł ukłucie w sercu. W tej chwili pewnie matka ich sztorcuje. Trudno, żeby było inaczej, mógł jedynie liczyć, że nie okaże nadmiernej surowości. Pozbierał zabawki, pościelił łóżko. Po czym rozejrzał się za Szamalem, ale nigdzie go nie znalazł. Musi go poszukać w obejściu. Przy takim deszczu kociak nieprędko sam wróci. Zdecydowanie za wodą nie przepada.

Schodząc na dół, zawadził o pokój, w którym umieścili wiolonczelę, uchylił otulającą ją kołdry i tak jak wcześniej chłopcy nie odważył się zajrzeć do futerału.

Znalazłszy się w kuchni, zaczął krążyć w kółko.

W głowie mu siedziały szkody, które burza wyrządziła u sąsiadki, dziury w dachu, cieknący sufit, chłód i wilgoć panujące w jej domu. Na samą myśl dreszcz go przechodził. Próbował oczywiście zająć się czym innym: posłuchać radia, rozwiązać krzyżówkę, przejrzeć katalog. Wciąż jednak wracał do tamtego. Kiedy zastanawiał się nad słowem do krzyżówki, spoglądał w sufit i od razu widział kapiącą wodę. Z radiem było jeszcze gorzej. Bez przerwy walcowano bowiem opady rekordowo wysokie jak na tę porę roku i prognozowane ochłodzenie. Nijak nie mógł od tego uciec.

W końcu zajął się więc katalogiem majsterkowicza. Na ostatnich stronach, które najbardziej lubił, przedstawiano nowe wynalazki. Coś w rodzaju konkursu wynalazczości, z tym że bez zadęcia. Zmiotka selektywna, teleskopowa rura do przenoszenia słoików, podciągacz do skarpetek czy obierak do jarzyn dla leworęcznych. Kusila go magiczna gąbka, która czyści wszystko od podłogi po sufit bez pocierania, i to za całkiem rozsądną cenę. Ale bał się rozczarowania. Lepiej już pomarzyć sobie, że coś takiego istnieje. Najlepsze zatem wyjście to starannie wypełnić formularz zamówienia i nie wysłać go. Co uczynił również tym razem.

Pod wieczór odgrzał resztkę spaghetti z poprzedniego dnia, obejrzał wiadomości w telewizji, przerzucił parę kanałów i trafił na western. Tyle że znów nie przypadł mu do gustu. Ścigana przez złoczyńców dziewczyna była piękna, ale po trzech dniach jazdy wierzchem przez pustynię bez jedzenia, picia i mycia wciąż wyglądała, jakby dopiero co wyszła od fryzjera, makijaż miała nienaganny, a ubrania ledwie troszkę pogniecione. Zwykle mu to nie przeszkadzało, lecz tym razem uznał, że to przesada.

Wyłączył telewizor, wyrzwał przez okno na padający deszcz.

Kot nie wrócił, Ferdinand czuł się samotny i przygnębiony, koniec końców położył się spać.

Ale nie zmrugał oka.

W głowie mu się kotłowało, targały nim różne uczucia. Smutek, wstyd, gniew, poczucie winy... Był na siebie zły – zły o oziębłość, o brak ludzkich uczuć, znalazł dla siebie usprawiedliwienie, lecz wcale mu się nie spodobało. Dlatego nawet kiedy kot wreszcie wrócił, mimo jego mruczenia przy uchu, które zwykle działało na niego jak silny środek nasenny, oddał się poważnym rozmyśleniom. Zadawał sobie wszystkie po kolei pytania: jak, gdzie, kiedy, po co, nie zapominając o dlaczego. I odpowiedzi wydały mu się wręcz oczywiste. A zarazem zbyt proste, toteż ogarnęły go wątpliwości. Zmęczony mieleniem tego wszystkiego, znalazł ostatecznie rozwiązanie: nazajutrz poprosi, aby Guy i Gaby, jego przyjaciele, doradzili mu, co zrobić, tak będzie najrozsądniej. Tuż przed zaśnięciem z nawyku zadał sobie pytanie, co by o tej historii pomyślała jego świętej pamięci Henriette. I wtedy całość sprawy ujrzał bardzo wyraźnie. Było w pół do szóstej rano. Miał jeszcze sporo do zrobienia i wiele emocji do uporządkowania. Przede wszystkim jednak musiał dopracować swój pomysł. Nie budząc Szamala, wstał, zaparzył sobie kawę i główkował ostro, czekając, aż pora zrobi się przyzwoita, by przystąpić do działania.

14

Ferdinand powtarza swój tekst

Stoi przed drzwiami domku Marceline, nie śmie zapukać. Powtarza sobie w myślach, co powie. Musi znaleźć odpowiedni ton. Właściwe słowa. To niełatwe. No więc tak... Dzień dobry, pani Marceline. To znowu ja, Ferdinand. Przyszedłem pani powiedzieć, że zastanawiałem się przez całą noc, przemyślałem sprawę pod każdym kątem, wszystko rozważyłem, roztrząsałem, przekalkulowałem i powiem wprost, nie owijając w bawełnę: nie może pani zostać w tym domu. Jest w takim stanie, że to niebezpieczne. Belki są zmurszałe, dach w każdej chwili może się zawalić. Koniecznie musi się pani stąd wyprowadzić, i to szybko. Jak pani wie, odkąd młodzi się wynieśli, niedługo będzie dwa miesiące, mieszkam sam po sąsiedzku. Mam kilka pokoiów wolnych z oddzielnymi wejściami, w domu pełen komfort. Jeszcze niedawno mieszkaliśmy w trzy rodziny, no wie pani, w trzy pokolenia. I nikt nikomu nie siedział na głowie. Więc tak. Jeszcze dzisiaj mogłaby się pani przenieść i mieszkać u mnie, póki nie skończą się roboty, można założyć, że przez zimę i część wiosny. A jakby pani chciała, to i dla osiołka znajdzie się miejsce w stajni, i kurnik dla kur...

Puka.

Dobiega go stłumione ujadanie suczki, głos Marceline zapraszający do środka.

Marceline siedzi na krześle zgnębiona i roztrzęsiona, na kolanach ma zwiniętego w kłębek kota o pozlepianej sierści.

– Wrócił. Chyba coś mu się stało.

– Mogę go obejrzeć?

– Tak, proszę.

Ferdinand obmacuje kota. Zaniepokojona suczka próbuje mu przeszkodzić, wsuwa pyszczek pod jego dłoń, aby ją odsunąć, żałośnie skomli. Ferdinand głaszcze ją i uspokajająco mówi, że nie wygląda na to, aby kocur miał jakieś złamanie, ale musiał stoczyć ostrą walkę, jest cały podrapany. Za dwa, trzy dni dojdzie do siebie, proszę się nie martwić. Koty to twardzi zawodnicy. Marceline wzdycha. Przygryza wargę, aby powstrzymać łzy.

Przez chwilę trwa cisza. Po czym Ferdinand pomaga sąsiadce podnieść się z krzesła, narzuca jej płaszcz na ramiona.

– No, nie może pani tu zostać. Chodźmy.

Bierze kota na ręce i pierwszy opuszcza dom. Za nim podąża Marceline. I suczka.

15

Zaproszenie

Marceline śpi w fotelu, na kolanach ma kota zwiniętego w kłębek, suczka leży u jej stóp. Ani ona, ani zwierzęta już nie dygoczą. Ferdinand korzysta z tego i udaje się do jej domku, by zabrać rzeczy najmniej lubiące wilgoć, a resztę ponakrywać folią. Kiedy wraca, Marceline nadal śpi. Rozkłada do suszenia ubrania, które wziął z szafy. I idzie do niej raz jeszcze, tym razem z suczką, by nakarmić osiołka i kury.

Zaczyna się ściemniać. Ferdinand po powrocie dorzuca drew do pieca, podgrzewa zupę. Zjawia się Szamalo, sądząc widać, że to pora kolacji. I staje nos w nos z suczką. W jednej chwili sierść mu się jeży, źrenice rozszerzają, grzbiet mocno wygina. Kociak parska jak opętany, a na koniec galopem ucieka się ukryć. Po chwili jednak przeważa w nim ciekawość. Przychodzi obejrzeć gości. Stary kocur śpi, chwilowo z tej strony nie ma zagrożenia. Za to suczka patrzy na niego z płasko położonymi uszami, merdając ogonem! Co to znaczy? Kiedy on tak robi, znaczy, że jest zły. A ona wygląda na zadowoloną. Można by nawet powiedzieć, że chce się bawić. Szamalo pierwszy raz ma do czynienia z psem. Nic więc dziwnego, że nie bardzo wie, jak się zachować.

Ferdinand zostawia zwierzęta samym sobie. Przynosi z piwniczki butelkę wina, nakrywa stół, przegryza skibkę chleba, aby oszukać głód. Zupa wciąż się grzeje na brzegu pieca. Przechodząc obok, unosi pokrywkę i zagląda do garnka. Kosztuje. Stwierdza, że jest trochę za gęsta, dolewa wody. Miesza. Spogląda na zegar. Już przeszło trzy godziny Marceline i jej kot śpią w tej samej pozycji. Zaczyna go to niepokoić. Podchodzi blisko, pochyla się, nasłuchując ich oddechu. Marceline pochrapuje cichutko, kot również. Ferdinand się uspokaja. I akurat w tej sekundzie Marceline otwiera oczy, widzi go nachylonego nad sobą, wydaje z siebie okrzyk. Ferdinand i kocur wdrygają się, suczka szczeka, kociak bierze nogi za pas.

Marceline rozgląda się wokół zupełnie zdezorientowana.

- Co się stało... już sama nie wiem...
- O burzy pani mówi? O dachu?
- Zawalił się, tak?
- Nie, nie, tylko przecieka. Ale mocno.

Marceline wstaje z kotem na rękach.

- Korneliusz!

– Byłem u niego, dostał jeść. Kury także. Wszystko gra.

– Jest pan pewien, że...

– Tak, tak.

Nalewa zupy na talerz, zaprasza Marceline, aby usiadła przy stole, stawia talerz przed nią. Proponuje kieliszek wina. Marceline nie śmie odmówić. Po dwóch łykach nabiera rumieńców i udaje się jej prawie uśmiechnąć. Gawędzą o tym i owym, o niczym w szczególności, co pozwala jej wythnąć od trudnych myśli.

Po posiłku dziękuje mu za pomoc i uprzejmość, za to, że pomyślał o nakarmieniu jej osiołka i kur, kiedy ona spała, tyle życzliwości, a jeszcze zaproszenie na kolację, czuje się teraz znacznie lepiej, ale zrobiło się późno i naprawdę musi już wracać. Podnosi się, wkłada płaszcz, zbiera swoje rzeczy, które Ferdinand dopiero co rozłożył do suszenia. Ferdinand jest zmartwiony. Liczył, że nie musząc nic mówić, da jej do zrozumienia, na jaki wpadł pomysł. Nie udało się. Teraz będzie musiał to powiedzieć, poszukać właściwych słów. Aby zyskać na czasie, pyta, czy przed wyjściem nie chciałaby obejrzeć jego domu. Marceline przez grzeczność się zgadza. Idą najpierw przez pokoje puste, odkąd jego syn, synowa i wnuki się wyprowadzili. Następnie wchodzi na piętro. Ferdinand nadal szuka natchnienia. W końcu tytułem wstępu, mętnego i zawilego, zaczyna opowiadać, jak to przyszedł mu do głowy pewien pomysł, chociaż niezupełnie on to wymyślił, bo właściwie, żeby było śmieszniej, pierwsi wpadli na to chłopcy, otóż – i tu rzuca się na głęboką wodę – ponieważ w jej domu chwilowo nie da się mieszkać, a u niego miejsca jest, że ho, ho, uznał, że naturalnym biegiem rzeczy będzie jej zaproponować i byłby szczęśliwy, gdyby się zgodziła, żeby zamieszkała tutaj. Mądrze myślą moje Lulki, nie uważa pani? No i właśnie w tym pokoju będzie pani spała tej nocy. Łóżko jest poslane. Wystarczy się położyć. Wypocznie pani i jutro spokojnie będzie się mogła zastanowić, jak sobie wszystko zorganizować. Dobrej nocy. A, i jeszcze jedno: rano woli pani herbatę czy kawę?

– Herbatę.

– Dobrze się składa, mam herbatę.

Po drodze głaszcze suchkę po łbie, zamyka za sobą drzwi. Jest zadowolony, zdołał wszystko powiedzieć i ma wrażenie, że wypadł przekonująco. Nie było to takie trudne. No ale jutro zobaczy, co Marceline zdecyduje.

A ona długą chwilę stoi bez ruchu w płaszczu, z kotem na rękach i suchką u nogi. Z umysłem jakby wyłączonym.

– Hm... ale... no tak... to dobranoc...

16

Herbata na śniadanie

– Dwie łyżeczki?... Dobra. A po zalaniu wrzątkiem na jak długo zostawić?... Jak to: zależy?... Czyli na średnio mocną trzeba liczyć pięć minut?... Dobra, dobra... Wielkie dzięki za pomoc. A jak tam Gaby? Przeszła jej ta grypa?... Cholera... Coś takiego... Nie wiedziałem, Mireille nic mi nie powiedziała... Wolisz, żebym ja z nią pogadał?... No dobra. Biedny jesteś. Słuchaj, gdybyś potrzebował jakiegokolwiek pomocy, zaraz dzwoń, pamiętaj! Słyszysz, Guy? Masz dzwonić. Nawet w środku nocy. Przecież po to ma się przyjaciół. Ucałuj ją ode mnie. Wpadnę do was w ciągu dnia... Lepiej jutro? W porządku, to do jutra, stary.

Ferdinand spogląda na zegar. Jest siódma. Dzień jeszcze nie wstał. Szpera w kredensie i w końcu znajduje to, czego szukał: pękaty imbryk do herbaty i filiżankę ze spodkiem. Henriette wygrała ten komplet na jakiejś loterii. A może w zdrapce. We wszystko grała. Pewnie znowu celowała w główną nagrodę, wypasiony zestaw do prasowania, lecz dostał jej się serwis do herbaty. Ani razu go nie użyła, nie lubiła herbaty. Ona piła kawę z cykorii. Ferdinand przepłukuje filiżankę pod kranem, wyciera, ustawia wszystko na stole koło puszki z herbatą ze złoczonego metalu. No, nieźle wygląda.

Czajnik zaczyna gwizdać.

Ferdinand wlewa po troszku wodę do filtra z kawą. Myśli o rozmowie, którą właśnie odbył. O nowinie na temat Gaby. Brutalnej. Ja pierdzielę, okropność. Przecież Guy zostanie sam jak palec. Nie wiadomo, jak to zniesie. On i Gaby nigdy się nie rozstawali. A tu proszę... Ferdinand na próżno szuka, nie zna drugiej pary, która by się kochała jak ci dwoje. Kiedy sobie to uświadamia, czuje silne poruszenie. Nie dlatego, że jest zazdrosny. On by nie zniósł tak mocnych więzi. Po prostu dlatego, że coś takiego istnieje.

Z tych rozważań wyrывa go kawalkada na schodach. Przybiega Berta, przywiera do jego nóg, merdając ogonem, z wywieszonym językiem, a zaraz za nią mały Szamalo. Ferdinand podnosi go jedną ręką i przytula, drugą głaszcze łeb suczki. Wygląda na to, że się dogadali, to już coś.

Stawia imbryk z herbatą przed Marceline, sobie nalewa kawy. Piją w milczeniu. Wreszcie pyta

ją, jak minęła noc. Bardzo dobrze, dziękuję. Kocur ma się lepiej? Śpi od wczoraj, ale nic nie jadł. To normalne, zdrowieje. Oby tak było. Czy zastanowiła się nad...? Trochę. Ferdinand nie odzywa się chwilę, lecz Marceline nie korzysta z okazji, aby mu powiedzieć, jaką podjęła decyzję. No trudno, mówi sobie Ferdinand i dochodzi do wniosku, że sama musi wybrać moment, kiedy to powie, na razie zatem zmienia temat. Upewnia się, że zna Gabrielle, prawda? Kogo? Jej mężem jest Guy, to starsi wieśniacy jak on. Ach, Gaby, no pewnie, znają się dobrze, zawsze razem chodzą do biblioteki, ale już ze dwa tygodnie jej nie... Gaby więcej nie pójdzie do biblioteki. Dlaczego? Wybiera się na łono Abrahama. Tego wyrażenia Marceline nie rozumie. Odchodzi na wieczną wartę. Czy to znaczy, że... Tak, niewiele czasu jej zostało. Och.

– Idę jutro do nich. Może pani...

– Tak, bardzo bym chciała.

– Ucieszy się.

Marceline nie pojmuje

Po śniadaniu Marceline włożyła płaszcz i śniegowce i wyszła z suchą. Obydwie jak najszybciej chciały się znaleźć w domu. Z daleka usłyszały ryczenie Korneliusza. Kiedy weszły na ścieżkę wiodącą na podwórko, zaraz do nich przytruchtał. Jak zwykle zdołał otworzyć sobie zagrodkę, obszedł warzywnik w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, a nie znalazłszy nic, wrócił na podwórko i donośnie się poskarżył. Marceline głaaskała go długo, szeptała mu do ucha czułości, ale też trochę go zbesztła, że podeptał kapustę w czasie wycieczki. Następnie ruszyła do domu. Wolno otworzyła drzwi. Folia na dachu nie utrzymała się niestety. Częściowo zerwana uderzała o ścianę poruszana wiatrem. W środku na podłodze stała pięciocentymetrowa warstwa wody. Ręce opadają.

Godzinę później znów zaczyna lać deszcz.

Ferdinand zmywa naczynia po śniadaniu, słyszy ujadanie, idzie do drzwi otworzyć. Od stóp do głów spryskuje go woda, którą w progu Berta z zapamiętaniem wytrząsa z sierści. Cieszy się jego widokiem, przywiera mu do nóg, mocząc go do reszty, i dopiero otrzymawszy stosowną dawkę pieszczoł, wbiega do środka, gdzie układa się przy piecu.

Przez podwórko idzie Marceline. Dźwiga dwa duże wazony. Wiatr zrzucił jej kaptur z głowy, włosy ma zmoczone, woda ścieka jej po twarzy.

Staje przed Ferdinandem, patrząc mu w oczy.

– Nie mam z czego zapłacić za mieszkanie, o czym doskonale pan wie.

– Niczego nie oczekuję.

– Więc dlaczego?

– Bo to normalne.

– Co jest normalne?

– Że ludzie pomagają sobie nawzajem.

– Nie pojmuje. Wcześniej praktycznie nie rozmawialiśmy nigdy, a tym bardziej nie ściskaliśmy sobie ręki, wiedział pan raptem, że istnieję, aż tu naraz proponuje pan...

– Wiem. Ale proszę sobie tym nie zawracać głowy. Niech pani wejdzie.

Odsuwa się od drzwi, aby ją wpuścić. Marceline się waha, wreszcie wchodzi. Ferdinand chce jej pomóc dźwigać wazony, ona jednak odsuwa się szybko, tuli je do siebie i biegiem rusza schodami

na piętro.

Kiedy wraca na dół, na ustach ma żaloszny uśmiech, jakby przepraszała za swoje zachowanie. Ferdinand mówi, żeby się nie przejmowała, każdy ma jakąś swoją manię, nic nie szkodzi. A ona odpowiada, że kiedyś – lecz nie teraz, bo na pewno by się popłakała, takie to świeże – wytłumaczy mu, dlaczego sama woli przynosić te wazon. Sprowadza się to do dwóch słów. Nie będzie długich wyjaśnień.

Przeprowadzka, urządzanie się

Ferdinand doczepił przyczepę do traktora, a Marceline zaprzęгла osiołka do wózka. W niecałą godzinę załadowali wszystkie rzeczy. Najdłużej im zeszło z szafą. Położyli ją na boku, przepchnęli do drzwi i tam utknęła. Ferdinand pchał, ciągnął, sapiąc jak lokomotywa, wszystko na nic. W końcu Marceline zaczęła się śmiać. Przeraził się, że jej odbija, zaraz jednak zrozumiał, że rozbawiła ją ta sytuacja. Zdumiał się. Nie do wiary, że może się śmiać przy tym wszystkim, co na nią spadło. W każdym razie naprawdę się zdumiał! Znów zaczął pchać szafę. A ona nic. I Marceline w końcu uznała, że lepiej będzie ją zostawić. Na tak krótko nie warto się mordować, nie ma aż tylu rzeczy, które by musiała w niej trzymać. Obejdzie się bez szafy.

W domu Ferdinanda wnieśli wszystko do pokoju, który chłopcy wybrali dla wiolonczeli. Na dole, niedaleko kuchni. Do niedużego, bardzo jasnego pokoiku. Zupełnie innego niż w jej domu.

Marceline wybrała go ze względu na okno wychodzące na stajnię, w której ulokowano Korneliusza. Osiołek będzie spokojniejszy, widząc ją, a ona będzie miała na niego oko. Albowiem ledwie się znalazł w środku, zaczął oglądać rygiel zamykający drzwi jego boksu. Tylko patrzeć, jak nauczy się je otwierać. Za dwa, najwyżej za trzy dni. Problem w tym, co zrobi, wydostawszy się na zewnątrz. Lubi samotne wycieczki, zwiedzanie okolicy, zwłaszcza sąsiednich warzywników. Ferdinand raczej nie będzie zadowolony, kiedy zobaczy ślady kopyt wśród swoich upraw. Tylko jej się to wydaje zabawne. A i to nie zawsze...

Kończy układać swoje rzeczy. Dobiaja ją jakiś hałas, odwraca się, wzdryga. Z nozdrzami przylepionymi do szyby Korneliusz spogląda na nią z ukosa.

No pięknie, musi zawiesić zasłonki w oknie, jeśli chce mieć odrobinę prywatności.

19 Guy i Gaby

Guy czesze Gaby. Włosy ma takie cienkie, delikatne, boi się, że je połamie, ledwie dotyka ich szczotką, właściwie tylko je przygląda. Kiedy są przyczesane, pyta, czy Gaby chce podpiąć spinką grzywkę. Owszem, Gaby chce. Guy szuka więc jej ulubionej spinki, tej z dużym białym kwiatkiem. Z kamelią, prawda? Gaby kręci głową. Sto razy mu mówiła: z gar-de-nią. Trudno, jakoś mu się to nie trzyma głowy. No, jest gotowa. Uśmiecha się do niej. Gaby w jego oczach widzi, że mu się podoba. Odkąd wróciła, Guy nie przynosi jej lusterka, z jakąś niewyraźną miną mówi, że gdzieś się zapodziało, ilekroć o nie prosi. Jej zdaniem potłukł je i nie chce się przyznać. Jak dziecko, które kłamie, ponieważ się boi, że dostanie burę. Lekką. Nie za dużą. Taką w normie. Wcale by się nie gniewała, gdyby usłyszała, że lusterko rozbiło się w drobny mak, przeciwnie. Od jakiegoś czasu już nie lubi się w nim przeglądać. Albo zawilgotniało, albo podlew się wypaczył, w każdym razie Gaby nie rozpoznaje swojego odbicia. W oczach Guya jest przynajmniej ciągle tą samą Gaby. On nie poprzestaje na powierzchowności. Tak robi to tandetne lusterko. Guy sięga głębiej, szuka jej tam, gdzie się ukryła, oświetla ją swoją miłością.

Mając go u boku, Gaby wie, że gdy nadejdzie ta chwila, nie będzie się bała.

Guy wyłożył ciasteczka, zaparzył herbatę i kawę dla gości.

Wychodzi z Ferdinandem do ogródka na fajkę, Marceline tymczasem masuje Gaby nogi. Robi jej to dobrze. Od dwóch tygodni leży unieruchomiona, powoli przestawała czuć kończyny. Teraz krążenie wraca. I przy okazji nie jest jej tak bardzo zimno. Ma ochotę pogadać, prosi Marceline, aby się przysunęła. Dzięki temu nie będzie musiała wysilać głosu. Mimo wychudzenia, słabości i kłopotów z oddychaniem w oczach wciąż ma isierki radości. Pyta, co słyhać u Korneliusza, co znowu wykombinował osiołek, żeby cię rozśmieszyć. Marceline opowiada, jak otworzył sobie zagrodkę i w warzywniku podeptał kapustę, aby ją ukarać za to, że go zostawiła samego na całą noc. Zmyślny z niego zwierzak. Uśmiech znika z ust Gaby. Jak widzisz, moja droga, odchodzę. Tak, widzę, Gaby. Nie myślałam, że pójdziesz tak szybko, pewnych rzeczy już teraz mi brakuje. Czego ci brakuje? Powiedz. Chciałabym ostatni raz przeżyć wiosnę, pączki na drzewach, kwitnienie głogu, zapach bzu, brzęczenie pszczół... Czego jeszcze byś chciała? Posłuchać twojej gry na wiolonczeli. Och, Gaby, błagam... Pamiętasz tę płytę, którą mi kiedyś puściłaś? Piękna była ta muzyka. Ależ Gaby, przecież wiesz, że nie mogę... Trudno. Po prostu chciałabym posłuchać.

No, przyprowadź już Ferdinanda, inaczej będę za bardzo zmęczona, żeby z nim pomówić.

Ferdinand siada przy łóżku.

Odstawiona jak zawsze, we włosach spinka z kamelią... Gaby burczy: z gar-de-nią. Ano, dziwne, ale nie mogę zapamiętać tej nazwy.

Gaby daje mu znak, aby się bardziej nachylił, szepcze mu do ucha. Mówi, że kiedy ona odejdzie, będzie musiał czuwać nad jej mężem. Bo z początku pewnie będzie mu bardzo źle bez niej. Ferdinand powinien mu przypominać, co należy zrobić, jakie ma obowiązki. Mireille i chłopcy będą go potrzebowali. A ona się obawia, że Guy o tym zapomni. No a gdyby wpadło mu do głowy, aby do niej dołączyć, dobrze by było mu powiedzieć, że będą mieli mnóstwo czasu dla siebie. Może nawet wieczność? Gaby patrzy na Ferdinanda, czeka na odpowiedź. Ferdinand jest wzruszony, całuje ją w czoło. Pewnie, że to wszystko mu powie. I skopie mu tyłek, jeśli się nie będzie sprawował jak należy. Tego może być pewna. Gaby się uśmiecha, przymyka oczy zmęczona tak długą rozmową. No, teraz będzie mogła spokojnie spać.

20

Gaby pachnie fiołkami

Kiedy Mireille się dowiedziała o stanie Gaby, koniecznie chciała ją zawieźć do szpitala. Ktoś na pewno popełnił błąd, pomylił karty, przecież zaczęło się od silnej grypy, prawda? Dlaczego nikt nie chce jej wysłuchać? Potem zrozumiała, że to nie jest pomyłka, że Gaby naprawdę umiera. Poczula się wtedy zdradzona. Drugi raz w życiu matka ją zostawiała, nigdy jej tego nie wybaczy. Dwa dni nie odwiedzała Gaby. Trzeciego dnia przyjechał do niej Guy. Popłakali się. Wreszcie spojrzeli na siebie, uścisnęli się. Było im tak samo ciężko. Razem postarają się jakoś to wytrzymać.

Nazajutrz Marceline zadzwoniła. Że wpadnie koło południa. Gaby była już bardzo słaba, lecz poprosiła, aby Guy ją wyszukał specjalnie na tę okazję. Wybrała czarną sukienkę z koronką koło szyi. Następnie zażądała, aby ją uczesał. Przygładził jej więc włosy szczotką, grzywkę podpiął spinką. Tą z gardenią. Wreszcie kazała się skropić perfumami za uchem. Fiołkowymi, taki powiew wiosny. No, była gotowa. I Marceline akurat przyszła. Kiedy otwierała futerał wionolczeli, ręce jej drżały. Ale gdy podniosła smyczek, drżenie zupełnie ustało. Zagrała kawalek, który kiedyś puściła Gaby z płyty. A Gaby stwierdziła, że na żywo utwór jest jeszcze piękniejszy. Gdy muzyka ucichła, złożyła ręce do braw, lecz nie miała siły klasnąć. Skinęła na Marceline, aby się przysunęła, i pocałowała ją w policzek. Marceline podziękowała, Gaby zaś z trudem rzekła: „Nie, nie, teraz ja dziękuję. Pierwszy raz ktoś zagrał dla mnie koncert. I do jasnej ciasnej, byłabym strasznie zła, gdybym coś takiego przepuściła”.

Jak podfruwajki zaczęły chichotać przytulone. Marceline szepnęła: „Tam, gdzie się wybierasz, spotkasz może moje córki...”. Tak, ucałuj je od ciebie, przyrzekam.

Trzy dni później Gaby umarła.

Był przy niej Guy. Trzymał ją za rękę, tak że w ogóle się nie bała.

List Lutka do Gaby (bez błędów ortograficznych)

Kochana Ciociu,

mam nadzieję, że masz się dobrze i że cieplej jest tam, gdzie jesteś, niż u nas. W nocy był mróz i wujek Guy musiał wnieść Twoje drzewko cytrynowe, inaczej na pewno by padło. Rozumiesz, jaką mamy tu pogodę. Zrobiła się zima.

Piszę do Ciebie, bo są rzeczy, o których chciałbym Ci powiedzieć, a przedtem nie zdążyłem.

Rozbiłem lampkę z kręcącą się karuzelą, którą mi dałaś na urodziny. Ale nieumyślnie. Była na samym brzegu stołu i zawadziłem nogą o kabel. Potem Roland chciał mi przyłożyć, jak zwykle, ale mama mu nie pozwoliła. Wiesz, naprawdę mam dość taty. Ciekawy jestem, kiedy się rozwiodą. Mama stale się na niego złości i raz nawet do niego powiedziała „skończony piździelec”. Wiem, że nie powinienem Ci tego opowiadać, bo to przecież jakby Twoja córka i może będzie Ci przykro, że używa brzydkich słów. Ale nie myśl, że źle ją wychowałam, ja mogę przysiąc, że to nieprawda, wyszło Ci bardzo dobrze. Nie martw się. A w ogóle nie masz co się przejmować, bo brzydkie słowa naprawdę nic nie znaczą. Ja często ich używam i wiem, że nic nie znaczą. Jak Ty się złościłaś i mówiłaś „do jasnej ciasnej”, to było prześmieszne. Lucuś często mówi do jasnej ciasnej i jeszcze o psiakostka jak dziadek Ferdinand. Jest mały, więc to do niego pasuje, nie jest śmieszne. W szkole używamy prawdziwych brzydkich słów, jak kurwa albo pierdolić. Ale jesteśmy starsi, to dlatego.

Przedtem, jak jeszcze byłaś z nami, mama mniej się wszystkiego bała. Teraz stale chce, żebyśmy byli z nią, a jak ktoś się wywali albo ma katar, zaraz jej się zdaje, że też umrze. Przez to mamy masakrycznie. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

Wujek Guy jest smutny, ale stara się, żeby tego nie było widać, jak do niego przychodzimy. Udaje przed nami, że wszystko w porządku. Czasem próbuje się wyglupiać, ale nie bardzo mu wychodzi, więc nie zawsze się śmiejemy. Mireille też udaje, że nie jest jej smutno. Raz tylko słyszałem, jak płakała w nocy. Normalne, że się płacze, jak się już nie kocha albo nie ma się mamy. Ja tam bym płakał, jakbym nie miał swojej mamy. Ale wcale bym nie żałował, gdybym nie miał taty.

No, Ciociu, to tyle miałem do napisania.

Gdybyś chciała mi odpisać albo coś powiedzieć, najlepiej, jakbyś weszła do moich snów.

Spróbuję sobie wszystko przypomnieć rano po przebudzeniu.

Ściskam Cię mocno.

Podpisano: Ludovic,

Twój ukochany wnuk, który bardzo Cię kocha.

Luciś chce, żebym tu dopisał, że on też Cię ściska. Widziałem obrazek, który dla Ciebie narysował: motyla. No i zobacz jeszcze, jak beznadziejnie się podpisuje.

Simone i Hortense czekają

Jedenasta.

Simone i Hortense czekają od godziny, siedząc na krzesłach ustawionych na wprost drzwi. Robią na drutach.

Tego ranka wstały wcześniej niż zwykle. Simone najpierw dorzuciła drewno do pieca, następnie postawiła na płycie kawiarkę, by podgrzać kawę z poprzedniego dnia. Następnie szurając kapciami, wróciła do sypialni, do Hortense, i razem wyjęły z szafy swoje czarne sukienki, wydziergane pstrokate swetry, wełniane pończochy, które się wypychają na kolanach, wykładane misiem botki z krótką cholewką i zimowe płaszcze z kołnierzem ze sztucznych karakułów. Dawno te sztuki odzieży nie były wietrzone. Zalatywały zamkniętym pomieszczeniem i trochę naftaliną. Hortense się zastanowiła, jak dawno obydwie nie... lecz nie zdążyła nawet ułożyć całego pytania, a Simone już odpowiedziała:

- Okrążył rok. Od śmierci Alfreda.
- Alfreda? Jakiego znowu Alfreda?
- Kowala! No pomyśl, Hortense, przypomnij sobie!

W tejże chwili w kuchni zawrzała kawa i Simone czym prędzej pospieszyła tam, by zdjąć kawiarkę z pieca. Za nią szła Hortense, wołając piskliwie: „Zagotowana kawa to świństwo!”. Oczywiście zeżliła się z tego powodu. Ale i tak ją wypily. Była niesmaczna i nie miały czym jej posłodzić. Zapomniały wpisać cukier na listę ostatnich zakupów. Trudno, Hortense miewa luki w pamięci.

Na zewnętrznym parapecie zaczął rozdzierająco miauczeć kot z naderwanym uchem i zwichrowaną łapką. Simone otworzyła mu okno i na tyle głośno, aby ją usłyszano w sąsiednim domu, powiedziała:

– Głodnyś, staruszku, co? No chodź, u nas coś dostaniesz. Jeszcze na tyle nas stać, biedaku. – Zamykając okno, mamrotała pod nosem: – Zagłodziliby zwierzaka na śmierć. Ci ludzie mają serce z kamienia, mówię ci.

Do dużej miski nalały kotu mleka, po czym obydwie zasiadły, by patrzeć, jak chłepcze. Nie spieszył się, na koniec oblizał wąsy i brodę. Simone się zerwała, kiedy już-już miał jej skoczyć na kolona na codzienną porcję pieszczot, dość szorstko go odepchnęła i otworzyła okno.

– Zmykaj, zobacz, czy nie ma mnie na dworze. Jutro będą pieszczoły. No nie, łobuziak jeden, przez niego jeszcze byśmy się spóźniły. Hortense, na Boga, już dziewiąta! Trzeba się zbierać.

I zamknęła się w ubikacji. Hortense zerknęła na swój wykaz czynności przypięty koło kredensu. Dziewiąta: papużki. Dziewiąta dziesięć: poranna toaleta. Tak właśnie myślała. Otworzyła zatem klatkę, zmieniła wodę w misce i zamocowała nowy kłos prosa senegalskiego. I zapatrzyła się na ptaszki dziobiące ziarno.

Wtedy na chwilę wszystko wywietrzało jej z głowy.

Kątem oka zauważyła rzecz jasna, że zegar wskazuje dziesięć po dziewiątej. I doskonale pamiętała, że miała coś zrobić. Gorzej, że nie wiedziała co. Tyle że naraz nie chciało jej się nawet palcem ruszyć, nic jej się nie chciało. Znaczący ochęć miała na jedno: stać tu i patrzeć na ptaki. I to właśnie zrobiła. Ale po chwili powiedziała sobie, że kiedy Simone wyjdzie z ubikacji, załatwiwszy swą poważną sprawę, nie będzie zadowolona. Musiała się otrząsnąć, na powrót złapać wątek. Szybko zamknęła oczy i niczym wysokiej klasy sportowiec przed wyścigiem w myślach odtworzyła sobie trasę. Dziewiąta dziesięć: poranna toaleta. Otworzyć szafkę pod zlewem, wyjąć dwie miski, zdjąć rękawice kąpielowe, chochlą nabrać gorącej wody z garnka na piecu, nie rozchlapując jej dokoła, nalać do miski Simone, czerwonej, potem do swojej, niebieskiej, nałożyć rękawicę na dłoni, namydlić ją, przetrzeć najpierw twarz i szyję, następnie pod pachami, później w kroku...

Ale to jej nie odblokowało. Zaczynała panikować.

Wtedy Simone wyszła z ubikacji. Zauważyła, że coś jest nie tak. Wolno podeszła do Hortense, wzięła ją za rękę i przemówiła niemal szeptem. Jak do lunatyczki.

– To nic, kochana. Popatrz na mnie. Widzisz? Nie jestem zła. Czy jesteśmy umyte, czy nie, co to zmienia? Nikt nie zauważy różnicy. To będzie nasz sekret. Będziemy się dobrze bawiły, zobaczysz. Jak ludzie będą się z nami witali, nie możemy na siebie patrzeć, rozumiesz? Bo ja mogę nie wytrzymać i parsknąć śmiechem. I wiesz co? Jeśli śmierdzimy, wystarczy skropić się mocniej niż zwykle wodą toaletową i już!

Hortense zachichotała.

Ubrały się. Spryskały wodą toaletową, pokrzykując. Następnie zasiadły na krzesłach przed drzwiami wejściowymi i każda wyjęła swoje druty z robótką.

Teraz jest jedenasta. Już ponad godzinę dziergają, czekając, aż ktoś po nie przyjdzie.

Hortense jest rozkojarzona. Nie pamięta, dokąd mają dzisiaj iść, lecz pokłada ufność w Simone. Jej pamięć nie ma dziur. Simone nawet nie musi niczego zapisywać, o wszystkim pamięta. Gdyby nie były razem, Hortense byłaby zgubiona. Całkowicie.

W domu u Guya potem

Roland zajął się cateringiem. Postawił na prostotę, lecz chciał, aby wszystko było pożywne. Jest zimno, pogoda jak na listopad przystało. Na początek więc zawiesista zupa jarzynowa, dla dzieci dodał do niej makaron w formie liter, licząc, że się ucieszą. Dalej przygotował mięso w cieście francuskim i paszteciki ziemniaczane. Są sycące i praktyczne, można jeść palcami. Będzie mniej naczyń do zmywania.

Teraz grzeje kolejną porcję wina z przyprawami. Schodzi dobrze, niewiele już zostało.

Wszyscy mają rozpalone policzki, błyszczące oczy i podniesione głosy. Ale nie tylko z powodu wina. Wśród zgromadzonych większość to starsze osoby, nie wszystkie mają kogoś do pary. A to nie pomaga.

W jednym rogu Mireille rozmawia z Marceline.

Po raz pierwszy zamieniają więcej niż trzy zdawkowe zdania. Tyle że teraz to całkiem inna rozmowa. Marceline i Gaby się kolegowały, a to stwarza więź, rzecz jasna. Mireille dziękuje, że Marceline zagrała na wiolonczeli dla jej cici. Było to przemiłe, bardzo kojące. Nie wiedziała wcześniej, że Marceline jest muzyką. Gdzieżby jej to zresztą przyszło do głowy, skoro zawsze ją widywała z wózkiem zaprzężonym w osiołka sprzedającą na targu owoce i warzywa? Marceline wyjaśnia, że wtedy zagrała, ponieważ Gaby prosiła, nie mogła odmówić. Od dawna jednak nie gra. Od lat. Mireille nie śmie spytać dlaczego, powód musi być poważny. Następnym razem zapyta albo kiedy poznają się lepiej. Na razie mówi tylko, że bardzo by chciała, aby jej dzieci nauczyły się grać na jakimś instrumencie. Ludovic i Lucien, jej dwa Lulki. Koniecznie musi o to zadbać.

Guy wychodzi do ogrodu, towarzyszą mu Ferdinand, Raymond i Marcel. Siadają wszyscy na ławce i w milczeniu patrzą przed siebie.

Niedługo to trwa. Przybiegają do nich nieludzko przejęte Mine i Mélie.

– Zapomnieliśmy o siostrach Lumière!

Czterej panowie zrywają się na nogi.

– A niech to!...

Wpadają do domu, narzucają kurtki, wychodzą na ulicę, stają przed samochodem Ferdinanda zaparkowanym nieco dalej. Guy wyjmuje mu klucze z ręki – z nich czterech tylko on wypil

kieliszek wina. Rusza. Pozostali pieszo podążają za autem.

Do domu sióstr jest ledwie pięćdziesiąt metrów. Stanąwszy przed nim, wahają się, kombinują, co powiedzieć na swoje wytłumaczenie. Jednakże drzwi się otwierają, zanim zdążą zapukać. Hortense w tej właśnie chwili wszystko sobie przypomina.

– Wyobraźcie sobie, myślałyśmy, że pogrzeb miał być dziś rano! Mamy czasem nie po kolei w głowie, hę?

Czterej panowie pochylają się, aby je cmoknąć na powitanie, i Simone zaczyna chichotać. Hortense przewraca do niej oczami, lecz nic to nie daje – przeciwnie, Simone wybucha śmiechem.

Zdenerwowana Hortense wypycha ją na dwór.

– No już, Simone, do samochodu! – I ciszej dodaje: – Przestań się wygłupiać. Co o nas pomyślą? Robisz mi wstyd.

24

Odwiedziny u Guya

Ferdinand.

Kilka dni po pogrzebie.

Udaje się do Guya, przychodzi niespodzianie. A że Guy mu nie otwiera, Ferdinand okrąża dom i wchodzi przez zawsze otwarte drzwi kuchenne. Zauważa, że Guy zaczyna się zaniedbywać, zapomina o jedzeniu, myciu, a czasem nawet o wstaniu z łóżka. Niejakie wysiłki podejmuje tylko w środę i sobotę, kiedy Mireille wpada z chłopcami. W te dni przebiera się w czyste ubranie, sprząta z grubsza, otwiera okiennice. Poza tym potrafi jedynie siedzieć beczynn timer. Całymi dniami. Nic mu się nie chce, to jasne.

Ferdinand się martwi. Wyszukuje preteksty, aby go wyciągnąć z domu. Proponuje wypad do kawiarni, żeby popatrzeć na ludzi, spotkać się ze znajomymi, zagrać partyjkę w domino. Ale Guy nie jest tym zainteresowany. Oprócz Mireille i chłopców jedno tylko potrafi go wyrwać z letargu: rozmowa o Gaby. Wtedy się ożywia. Czuje potrzebę wspominania, wypowiedzania słów. Wpada w panikę na myśl, że mógłby zapomnieć coś, co się z nią wiąże. Ferdinand go wysłuchuje. Doskonale wie, że trzeba czasu, by Guy przywykł do życia bez niej. Miesiące albo lat. A może być i tak, że jego rana nigdy się nie zablizni. Jedno Ferdinand wie na pewno: nie zostawi go samemu sobie. Przrzekł, że tego nie zrobi. A w ogóle nawet przez myśl by mu nie przeszło, że mógłby zostawić przyjaciela.

Marceline.

Sobota po targu.

Po zapakowaniu skrzynek na wóz Marceline jedzie do Guya. Puka do drzwi, lecz Guy nie otwiera. Z domu nie dobiega żaden dźwięk. Marceline okrąża dom, stuka w okno jak przedtem, kiedy wstępowała po Gaby, idąc do biblioteki. Przysunąwszy twarz do szyby, dostrzega w środku postać. Guy siedzi przy stole kuchennym zapatrzony przed siebie, nieobecny. Marceline wchodzi, siada obok niego. Czeka cierpliwie, aż Guy odwróci głowę, spojrzy na nią. Czy mu wpadły, jakby skupiały się na jego wnętrzu. Odzywa się wątłym głosem:

– To już nie ma sensu.

Jej nie wstydzi się tego powiedzieć, ona rozumie jego uczucia. Gaby wyjawiała mu kiedyś, jaki

dramat przeżyła Marceline.

Teraz Marceline gładzi go po dłoni. Mówi cicho:

– Myślę, że Gaby życzyłaby sobie, aby pan spróbował jeszcze raz.

Guy nie chce przy niej płakać. Zrywa się i wychodzi z kuchni.

– Mogłaby pani nastawić wodę? Za minutkę wracam. Napijemy się herbaty...

Mireille.

Niedzielnny wieczór.

Dzieci już śpią. Jest jeszcze wcześniej, nie chce jej się spać. Postanawia pozamiatać za barem. Roland poszedł na górę, zaraz będzie się kładł. Słyszy go, jak mówi do telefonu: „Cześć, tatuś”. Śmieszne w jego wieku! Jest o to na niego zła. O to i o resztę. A zwłaszcza o to, że nie rozumiał, iż przykro jej teraz siedzieć samej. A, co tam leki – Mireille nalewa sobie kieliszek sherry, wychyla go jednym haustem. Raz jeszcze spogląda, która godzina. Wpół do dziewiątej. Młoda.

Staje przed drzwiami domu Guya i Gaby. Kolejna rzecz, do której musi przywyknąć. Teraz musi myśleć „drzwi domu Guya”. Tylko jego. Jakie to wszystko pomotane.

Okiennice są pozamykane, przez żadną nie sączy się światło. Mireille puka. Cisza. Okrąża dom, przechodzi przez ogród, puka do okna kuchni. Nadal cisza. Naciska klamkę, drzwi ustępują. Woła. Nie otrzymuje odpowiedzi. Zapala światło, widzi nieład, stertę naczyń w zlewie, resztki jedzenia na stole, brudne ubrania rzucone na podłogę. Nigdy nie widziała domu w takim stanie. Wbiega na piętro, z rozmachem otwiera drzwi sypialni, widzi, że Guy leży na łóżku w ubraniu, krzyczy. A on ze wzdrygnięciem obraca się do niej.

– Nie słyszałem, jak weszłaś. Co się dzieje, Mireille? Dlaczego krzyczysz?

Bez powodu. Po prostu chciała go zobaczyć. Martwiła się, bo kiedy dzwoniła, nie odbierał, a jak zobaczyła ten bałagan, trochę się zdenerwowała. Dlatego weszła na górę. A gdy ujrzała, że leży w ubraniu, naprawdę pomyślała... że nie żyje. Schodzą razem do kuchni, Mireille musi się napić. Guy proponuje kieliszek sherry. Ona jednak woli wodę z powodu lekarstw. Wypija ją duszkiem. Już lepiej. Ścisca mocno Guya, mówi, żeby się nie martwił, wszystko będzie dobrze. Teraz wraca do domu, ale jutro rano przyjdzie i pomoże mu posprzątać.

25

Roland rozmawia przez telefon

- Cześć, tatuś.
- To ty, Roland?
- Pewnie. Kto inny mówi do ciebie tatuś?
- Lionel mógł zadzwonić z Australii.
- Kiedy ostatnio się odezwał?
- Ach, nie pamiętam, może na ostatnie Boże Narodzenie. Czemu zawdzięczam twój telefon?
- Niczemu specjalnemu. Już parę dni nie widziałem, żebyś przesiadywał w ogródku kawiarni naprzeciwko, podstawiając laskę pannom, więc się zastanawiam... Wszystko gra?
- Tak, tak, jak najbardziej.
- Nie nudno ci samemu?
- Ani trochę.
- Masz co robić?
- Och, mnóstwo rzeczy.
- Aha.
- A co u ciebie? Jak w restauracji?
- W porządku.
- Co u chłopców?
- Też w porządku.
- U Mireille?
- Wróciła do pracy, dzięki niej myśli o czym innym. Mimo wszystko, wiesz, doktor Lubin przepisał jej antydepresanty.
- Lubin? To jeszcze go nie wsadzili?
- Za każdym razem... Ale może zostawmy ten temat.
- Słusznie. W każdym razie miło, że zadzwoniłeś.
- Tatuś, to normalne.
- W każdym razie miłe. Słuchaj, Roland, czy masz świadomość, że twoi synowie, sześciu ośmiolatek, mówią do mnie Ferdinand? Nie sądzisz, że...
- Zaraz, zaraz, o co ci chodzi? Przeszkadza ci, że mówię do ciebie „tatuś”, tak?

– Nie, ale można by się spodziewać, że czterdziestopięcioletni facet...

– Co tu ma wiek do rzeczy? I tak zresztą nie umiałbym inaczej się do ciebie zwracać, za późno. A w ogóle kanał! Dzwonię, żeby spytać, co u ciebie, i będę obrywam po pysku! Nigdy nie przestajesz atakować, co? No nic, jestem padnięty. Już wpół do dziewiątej, idę spać. Trzymaj się, ta... Fer... Cholera, nie potrafię!

– To nic. Dobranoc, synu.

Ferdinand na powrót siada przy stole kuchennym.

Tego wieczoru kolację przygotowuje Marceline. Używa tylko tego, co urosło w jej ogrodzie, miodu od swoich pszczół i jajek od swoich kur. Wyjaśniła mu, że nie jest w stanie zabijać zwierząt, które hoduje, za bardzo się przywiązuje do nich. Tym sposobem problem sam się rozwiązał – przestała jeść mięso. I bardzo dobrze. Ferdinand oczywiście nie dopytuje za bardzo, ale zrozumiał, że Marceline po prostu nie stać na kupowanie mięsa. Bo trzy dni wcześniej przyrządził kurczaka i jadała. Nawet pochwaliła, że smaczny.

Poza tym dowiedział się o niej tego i owego. Jest Polką, a nie Rosjanką czy Węgierką, jak sądził, na imię ma Marcelina, lecz wszyscy mówią jej Marceline, przez dwadzieścia lat była tu mężatką, dlatego tak dobrze i prawie bez obcego akcentu mówi po francusku, pracowała w różnych krajach, kiedy była muzyczką. Ciekawi go, dlaczego już nie jest, jednakże nie śmie spytać. Na pewno z jakiegoś ważnego powodu. Nie warto w tej chwili tego rozdrapywać.

Marceline stawia talerz na stole. Ferdinand się krzywi.

– Nie lubi pan brukwi?

– Ja lubię, ale ona nie lubi mnie.

– Dodałam trochę sody oczyszczonej.

– Tak? A po co?

– Znosi niepożądane skutki, wzdęcia...

– Naprawdę myśli pani, że to coś daje?

– Robi różnicę, zobaczy pan.

– Mam nadzieję.

Marceline jest rozbawiona.

– Jak nie podziela, po kolacji wyjdziemy na kawę na zewnątrz. Będzie pan spokojniejszy. Przy odrobinie szczęścia nie będzie padało.

Ferdinand myśli o Henriette. Z nią na takie tematy nie było żartów.

Po kolacji wychodzą. Nie z powodu skutków spożycia brukwi – soda, przynajmniej na razie, okazała się skuteczna na gazy – lecz dlatego, że Korneliusz gromko domagał się odrobiny uwagi. To bardzo niezależny osiołek, który wchodzi do boksu i wychodzi z niego, kiedy mu się podoba, krąży po obejściu, dużo czasu poświęca na studiowanie sposobu zamykania drzwi i furtek,

zwłaszcza gdy prowadzą do warzywnika, ale po zapadnięciu wieczoru życzy sobie, aby powiedzieć mu dobranoc przed snem. Jak dziecko.

Mireille przybywa z prośbą

Kiedy Mireille wjeżdża na podwórko, w kuchni jeszcze pali się światło. Ze zdziwieniem stwierdza, że wita ją ujadanie. Rzep, głupi pies Ferdinanda, nie żyje od co najmniej pół roku, a Ferdinand przysiągł, że już nigdy nie weźmie psa. Pewno zmienił zdanie i zapomniał im o tym powiedzieć. Jest tym wkurzona. Szybko jednak się opanowuje. Chce go o coś poprosić. Mówi sobie zatem, że biedny staruszek ma prawo do zachcianek. Poza tym pies dla samotnego człowieka to całkiem dobre rozwiązanie...

Wysiadła z samochodu, suczka ją poznaje, podbiega, merdając ogonem. Mireille jest stropiona.

Ferdinand jej otwiera, dziwi się na jej widok. Pierwszy raz od przeprowadzki przyjechała do niego. Po prawie dwóch i pół miesiąca. W dodatku o tej porze i bez uprzedzenia... Budzi się w nim niepokój. Roland dzwonił godzinę temu, lecz nic takiego nie mówił, czyżby coś z chłopcami?... Mireille kręci głową. Nie, z dziećmi w porządku. Wygląda na zmęczoną, opada ciężko na krzesło. Marceline proponuje kawę. A może herbatkę ziołową? Marceline woli coś mocniejszego. Wino, jeśli im zostało, dobrze by jej zrobiło. Marceline idzie po swoje słynne wino śliwkowe, a Ferdinand wyjmuje trzy kieliszki. Trącają się. Po czym Marceline wychodzi pod pretekstem, że musi się zająć swoim starym kocurem.

Ledwie zostają sami, Mireille obrzuca Ferdinanda znaczącym wzrokiem z lekkim uśmiechem na ustach. On zaś, czując, że synowa palnie zaraz jakieś głupstwo, przejmuje inicjatywę. Wyjaśnia, z jakiego powodu Marceline mieszka u niego. Opowiada o burzy, przeciekającym dachu, groźbie zawalenia, swojej decyzji, aby ją zaprosić do dużego domu, który ziele pustką, odkąd oni się wyprowadzili. Dodaje, że w pierwszej chwili odmówiła oczywiście, lecz zdołał ją w końcu przekonać, zostanie więc tutaj, póki u niej nie zostaną przeprowadzone konieczne naprawy. Mireille milczy chwilę. W końcu mamrocze jakby do siebie, że nie sądziła... zawsze... No tak, wydawało jej się, że zna tatusia swojego faceta, starca trochę sztywnego, dość oziębłego, niekoniecznie sympatycznego, a tu...

– No dobra, Mireille, przyjechałaś specjalnie, żeby mi to powiedzieć?

– Nie, chciałam z ojcem pomówić o... Momencik. Najpierw chciałabym się dowiedzieć, dlaczego ojciec nikomu o tym nie powiedział.

– Żeby uniknąć nieporozumień. Ludzie czasem potrafią sobie ubzdurać takie rzeczy!... No

wiesz...

– Ma ojciec rację.

Napełniła sobie znowu kieliszek.

I tak po dwóch kieliszkach sherry, tabletkę antydepresyjnej i dwóch kieliszkach wina wyluszczyła powód swojego przyjazdu.

Wujek Guy nie ma się za dobrze. Na pewno Ferdinand zauważył, że zwyczajnie się poddał. Bardzo schudł w ciągu kilku dni, to straszne. I te oczy w sinych obwódkach... I spojrzenie... Chłopcy nie chcieli do niego pojechać, boją się go. Przypomina zjawę.

Rozplakała się, lecz mówi dalej.

No więc pomyślała, że gdyby nie był sam, może by odzyskał chęć do życia? Gdyby coś robił, zajmował się dziećmi, a i nią trochę przy okazji? Ona tego potrzebuje, zwłaszcza teraz. Gdyby nie mieszkał zupełnie sam, może poczułby się lepiej...

Ferdinand poklepuje ją po dłoni. Mireille przywiera do niego. Pierwszy raz są tak blisko siebie. Nie nawykł do tego. Sięga do kieszeni, wyjmując chusteczkę i podaje synowej. Mireille hałaśliwie wydychuje nos i czeka na odpowiedź teścia.

– Twój wujek uparty jest jak muł. Jeśli nie będzie chciał, trudno go będzie przekonać.

– Ale jeśli propozycja wyjdzie od ojca, może się uda... – mówi Mireille i czeka na jego zgodę.

– Wpadnę do niego jutro.

Skutki wymieszania alkoholu z lekami ostatecznie dają o sobie znać. Mireille nie jest w stanie sięść za kierownicą. Ferdinand bierze od niej klucze, do bagażnika ładuje rower Marceline – w swoim rowerze zamiast opon ma flaki – i odwozi synową do domu.

Kiedy wraca, na szczęście nie ma deszczu. Ponieważ jednak bardzo dawno nie wsiadał na rower, musi kilka razy przystanąć dla odpoczynku.

Jutro zdrowo mu się oberwie, bez dwóch zdań.

27

Mikstura

No i stało się. Po przebudzeniu Ferdinand nogi miał sztywne i obolałe, w krzyżu go lupąło. I to tak, że nie mógł siedzieć ani stać. O wpół do ósmej wezwał wreszcie Marceline na pomoc. Przyniosła mu butelkę mikstury własnej produkcji. Jej pomaga, a on musi spróbować. Nie bardzo wierzył, że podziała, lecz naprawdę nie miał wyjścia. Natarł się zgodnie z jej wskazówkami i zaraz poczuł poprawę. Bez większych problemów zszedł do kuchni, gdzie podziękował jej za skuteczny medykament. Oczywiście nie powiedział „lek z babcinej apteki”, biedaczka nie ma przecież wnuków. Nie chciał jej dotknąć.

Kiedy ona piła herbatę, a on kawę, rozmawiali o poprzednim dniu. Zdaniem Marceline wzruszające było to, że Mireille wpadła do niego bez uprzedzenia. Zwłaszcza że zrobiła to pierwszy raz, jeśli dobrze rozumiała. Wyglądała jak dziewczynka. Taka zagubiona i bezradna. Ferdinand wyduł usta. Znał Mireille od bardzo dawna. Wiedział więc, że nawet jeśli sprawia miłe wrażenie i w ogóle, nie należy się nabierać na niewinny wygląd. Nie zawsze taka jest. Dla swoich dzieci przykład jest bardzo surowa. I robi wszystko, żeby on nie widywał się z chłopcami pod pretekstem, że klnie jak szewc. Tymczasem wcale tak nie jest, bardzo uważa na to, co mówi. Ale owszem, wczoraj wieczór była bezradna, to prawda. On również się wzruszył, że wstąpiła, aby z nim pogadać.

Próbowali sobie razem wyobrazić, jak by można zorganizować życie, gdyby przypadkiem się okazało, że mają mieszkać we trójkę. Obeszli cały dom.

Doprawdy nic nie stało na przeszkodzie.

Pożyczyli sobie miłego dnia i każde poszło w swoją stronę.

Marceline miała opóźnienie w ogródku. Musiała skorzystać z bezdeszczowego dnia i posadzić czosnek i zimową szalotkę, posiać bób i groszek zielony. Zanim ziemię skuje mróz.

Guy lżejszy o piętnaście kilo

Guy mu nie otworzył. Ferdinand poszedł do drzwi kuchennych, lecz były zamknięte na klucz. Musiał wybić szybkę, aby wejść.

Teraz siedzą obok siebie na łóżku. Ferdinand mówi o odpowiedzialności. O Mireille i chłopcach. Gaby nie byłaby zadowolona, że tak się zaniedbał. To by ją zasmuciło. A przede wszystkim, na Boga, nie podobałoby się jej, że dwa tygodnie się nie mył ani nie golił. Zażądałaby rozwodu, jak amen w pacierzu, tak od ciebie jedzie, chłopie! Guy uśmiecha się lekko.

Na dole Mireille zmywa naczynia. Rozbija szklankę, krzyczy: „Szlag by to...!”. Ferdinand unosi brwi, robi zdziwioną minę. I raduje się w głębi ducha.

OK, Guy zgadza się wykąpać. Ferdinand pomaga mu stanąć, Guy ledwie trzyma się na nogach. Nic dziwnego, schudł piętnaście kilo w dwa tygodnie, a nie był gruby. Wyjmuje z szafy czyste ubrania, oparty na ramieniu Ferdinanda idzie korytarzem. Przed łazienką odsuwa go, każe mu zaczekać na dole. Jeszcze da radę umyć się sam, nie jest obłożnie chory.

Godzinę później czysty i ogolony przychodzi na dół. Mireille naszykowała jedzenie. Herbatę, kanapki, jajecznicę. Guy stara się, jak może, lecz z trudem przełyka parę kęsów.

Kwadrans po dziesiątej Mireille musi jechać do pracy. Przytula wujka, pociera mu plecy, jakby go rozgrzewała. I słyszy, jak Guy szepcze jej na ucho, żeby się nie martwiła, niedługo się pozbiera. Mireille się odsuwa, by na niego popatrzeć, Guy się uśmiecha, Mireille chce mu wierzyć, ściska go serdecznie. I przy drzwiach, które już otworzyła, przypomina sobie o czymś – zwraca i całuje Ferdinanda w policzki. Dotąd zawsze tak się ustawiała, aby mrukliwego teścia witać i żegnać na odległość.

Ledwie drzwi się za nią zamknęły, Ferdinand przypuszcza atak. Bez owijania w bawełnę pyta przyjaciela, czego by mu najbardziej brakowało, gdyby musiał opuścić ten dom. A Guy odpowiada bez zastanowienia: niczego. Ferdinand jest stropiony, nie spodziewał się tak zdecydowanej odpowiedzi. Guy wyjaśnia mu zatem, że ani on, ani Gaby nigdy nie lubili tego domu. Po przejściu na emeryturę musieli sprzedać gospodarstwo, by spłacić niewielkie długi, a za resztę kupili ten dom, bo na nic lepszego nie było ich stać. Tak to się odbyło.

W tej sytuacji Ferdinand gra w otwarte karty. Mówi, co on, Mireille i Marceline wymyślili. Jaką mają dla niego propozycję. I oczywiście Guy odmawia. Ale Ferdinand nie daje się zbić

z pantalyku. Raz już, z Marceline, znalazł właściwe słowa i dobre argumenty. Nie boi się powtórki. Guy to człowiek, którego zna jak zły szeląg. Cholernie uparty. Jak muł. Aby dał się do czegoś przekonać, nie wolno go namawiać czy zniechęcać, lecz wziąć z zaskoczenia.

To właśnie Ferdinand próbował zrobić przez cały dzień. I nie udało się.

W końcu, gdy nie znajdował już żadnych argumentów, zarzucił mu kurtkę na ramiona i powiedział:

– Nie możesz być sam, Guy, to ci nie służy. Idziemy.

29

Dwa + jeden

Guy nie chciał zabrać żadnych rzeczy. Nawet piżamy. Ferdinand nie robił z tego wielkiego halo, przeciwnie, uznał, że to dobrze. Znaczyło bowiem, że Guyowi ciągle zostało jeszcze trochę pary! A w kwestii piżamy też nie widział problemu – ma ich aż nadto, może pożyczyć jedną przyjacielowi. Odkąd Marceline zamieszkała u niego, o dziwo, nie śni już, że pływa z delfinami w ciepłych błękitnych wodach tropikalnej laguny. Z jednej strony żałuje, bo sen był przyjemny. Z drugiej wszakże korzyść jest taka, że nie sika do łóżka. Nieźle.

Kiedy weszli na podwórko, Korneliusz stał przed drzwiami kuchennymi, kombinując, jak działa klamka. Jeszcze parę minut, a udałoby mu się je otworzyć, to pewne. Guy oczywiście słyszał od Gaby o jego wyczynach – pamięta, że z wielką przyjemnością opowiadała, jaka to zmyślna bestia – nigdy jednak nie miał okazji widzieć go w akcji. Ferdinand odwrotnie: ponieważ już doświadczył zdeptania marchewki w warzywniku i innych tego typu działań, odnosi się do Korneliusza chłodno. Dlatego w pierwszej chwili się zdenerwował. Ale widząc, jaką minę zrobił Guy, zaraz się uspokoił. Gotów byłby nawet zaprosić osiołka do środka, posadzić go na kanapie i poczęstować kielichem w podzięce za uśmiech, jaki wywołał na twarzy przyjaciela. Naprawdę cholernie zmyślna bestia z tego zwierzaka.

Poszli na górę, gdzie Ferdinand zaproponował, aby Guy tymczasem, póki sam nie dokona wyboru, zajął dawną sypialnię Henriette. Łóżko jest wygodne, dekoracja całkowicie odnowiona rysunkami chłopców. W tym właśnie pokoju łobuziaki spędziły noc po rowerowej ucieczce...

Ferdinand ugotował zupę na obiad. Z porów, marchewki, kaszy perłowej. Kiedy się ściemniło, usłyszał, że Berta skrobie w drzwi, otworzył, suczka zgotowała mu radosne powitanie, następnie przypadła do nóg Guyowi, również od niego domagając się pieszczot. Jakby zawsze to robiła. Zrzuciwszy śniegowce, Marceline weszła za nią zmęczona po całym dniu pracy w ogródku. Pragnąc jak najszybciej się przebrać, zjeść gorącą zupę i paść na łóżko. Na widok Guya spojrzenie jej pojaśniało, czym prędzej go uściskała. Ferdinand zdołał go przekonać! Kiedy obok niego przechodziła, popatrzyła nań z błyskiem w oku i skłoniła lekko głowę, dyskretnie mu winszując sukcesu. A gdy potem już odchodziła do swojego pokoju, cofnęła się jeszcze i pocałowała go w policzki. Dotąd tego nie robiła. Zwłaszcza że ciągle mówią sobie „pan, pani”.

Po kolacji we trójkę poszli jeszcze do Korneliusza życzyć mu dobrej nocy.

Przed wyjściem od niego Marceline poszeptala mu na ucho czule, na koniec zaś poprosila, by dal wreszcie spokój zamkom, zasuwkom i rygielkom. Albowiem Ferdinand wcale nie uważa tego za zabawne. Odsunęła się, by zobaczyć reakcję osiołka – pokiwał łbem. Zdziwiła się. Może faktycznie zwierzak wszystko rozumie.

Kiedy wrócili do domu, z kieszeni wypadła jej koperta. Guy ją podniósł, podał jej. Wyjęła list za dnia ze skrzynki i zapomniała przeczytać. Za dużo miała rzeczy do zrobienia, więc wypadło jej z głowy. Z lekkim niepokojem otworzyła kopertę. Zawierała kosztorys naprawy dachu domu. Marceline przeczytała wszystko dokładnie, a doszedłszy do podsumowania – materiały, robocizna plus podatki – opadła na krzesło. Guy z Ferdinandem zauważyli, że zbladła. Zaraz też przeprosiła ich, ale była taka zmęczona, że nogi się pod nią uginały. Musiała się natychmiast położyć. Życzyli jej dobrej nocy, Marceline pogłaskała Bertę i wyszła.

Panom nie chciało się jeszcze spać. Przeglądając program telewizyjny, Ferdinand natrafił na dokument o wielorybach. Miał się zacząć już za pięć minut. Tego nie odpuszczają. Wzięli sobie po kieliszku, butelkę wina śliwkowego i czym prędzej zasiedli w salonie. Jak dwa stare wisusy.

30

Może grypa

Pierwszą noc Guy przespał raczej dobrze. Dwa razy po półtorej godziny. Normalka dla człowieka cierpiącego na bezsenność. Około trzeciej nad ranem wyszedł się przejść, potrzebował rozprostować nogi, odetchnąć świeżym powietrzem. Suczka towarzyszyła mu do samego domu Marceline, gdzie w świetle latarki przyjrzał się dachowi. Reperacja słono będzie kosztować, rzekł sobie. Nic dziwnego, że biedaczka się martwi.

Wracając, zбочzył w stronę stodoły. Kiedy przechodził koło traktora, nie potrafił się oprzeć i wszedł do kabiny. Nie uruchomił jednak silnika, aby nie obudzić ludzi. Następnie zajrzał do warsztatu, zerknął na narzędzia. Szukał sobie jakiejś roboty, lecz nic go nie zainteresowało. Czując, że znowu ogarnia go chandra, wrócił do łóżka, nim zdołała go w pełni opanować.

Ósma.

Marceline jeszcze nie wstała. Normalnie około siódmej już szykuje śniadanie. Berta jest niespokojna, chodzi tam i z powrotem od kuchni do drzwi jej pokoju. Ferdinand zerka na nią zmartwiony. Stawia wodę na herbatę, słyszy jakieś dźwięki w korytarzu, wygląda. Pod drzwiami drapie stary kocur. Ferdinand otwiera mu, Mo-że galopem przemyka między jego nogami. Szamalo, który wyczekiwał tej chwili, biegnie za nim dla zabawy, ale kocur się odwraca i chlast! wymierza mu klapsa łapką. Z rana nie wolno go denerwować. Ma ważne rzeczy na głowie. Zwiedzić obejście, wypatrzeć dobre miejsca na łowy, naostrzyć pazury na pniu drzewa, zaznaczyć swoje nowe terytorium. Jest co robić. Bawić się lubi, owszem, ale tylko kiedy nie ma innych zajęć. Mały Szamalo raz-dwa otrząsa się po klapsie, dla odmiany rzuca się na ogon suczki. Rusza się bez przerwy. Super!

Dziewiąta.

Marceline wciąż nie wyszła z pokoju. Ferdinand się zastanawia, co począć w tej sytuacji. Killkakrotnie przechodzi koło drzwi, zatrzymuje się, nasłuchuje, nie dobiega stamtąd żaden dźwięk.

Nie mówi o tym przyjacielowi, aby go nie martwić.

O dziesiątej decyduje się zapukać. Wydaje mu się, że słyszy jęk. Puka powtórnie. Drugi jęk. Otwiera drzwi, woła Marceline. W półmroku widzi ją na łóżku, podchodzi, pyta, czy coś jej się stało. Marceline drżącym głosem odpowiada, że nie czuje się dobrze. Ma gorączkę, łupie ją w nogach i w krzyżu, to chyba grypa. Ferdinand przykłada jej dłoń do czoła. Jest rozpalone.

Czym prędzej idzie do pokoju przyjaciela, mówi mu, co się dzieje. Guy wpada w panikę. Z Gaby było tak samo, wszyscy z początku myśleli, że to grypa. Nawet doktor Lupin postawił taką diagnozę. Ferdinand prosi, by Guy nigdy więcej nie wymieniał nazwiska tego typu. Lekarz z niego beznadziejny, w dodatku to kretyń! Niemniej na razie nie bardzo wiedzą, jak pomóc Marceline.

Słyszą nadjeżdżający samochód, to Mireille. Umierała z ciekawości, co słychać w gospodarstwie, lecz nie śmiała zadzwonić. Dlatego udaje, że ot tak wpadła do nich bez powodu, znaczy żeby się przywitać. A właściwie zahaczyła o dom wujka i wzięła parę rzeczy. Na wypadek gdyby ich potrzebował. Kosmetyczkę, wełniane skarpety, czyste spodnie i gumki. Nigdy nic nie wiadomo. Często pada. A, i jeszcze zabrała parę zdjęć z kredensu. Oczywiście wszystko wypada bardzo naturalnie. To fotografie Gaby i dzieci. Zanim mu je wręczy, spogląda na nie i wybucha płaczem.

Panowie bez porozumienia postanawiają nic jej nie mówić na temat Marceline. Mireille nie doszła jeszcze do siebie, lepiej nie dołować jej bardziej kolejną chorobą. Kiedy więc nieco później pyta, jak się miewa sąsiadka i gdzie się podziewa, zgodnym chórem odpowiadają, że ma się świetnie i wcześniej z rana poszła pracować w ogródku.

Ledwie Mireille się pożegnała, Guy sadowi się przy łóżku Marceline, każe jej łyknąć aspirynę, mokrą szmatką ociera czoło. Ferdinand tymczasem dzwoni do Raymonda. Jest uzdrowicielem, na pewno poradzi, co należy zrobić. Raymond odpowiada, że potrafi wyleczyć egzemę, kurczaki, reumatyzm i wiele innych rzeczy, ale na grypie nie zna się zupełnie. Najlepiej niech Ferdinand pogada z jego żoną, ona z pewnością będzie wiedziała. Mine owszem, ma parę domowych porad, na przykład napar z tymianku, grog na poty, poza tym wywary i okłady, uważa jednak, że jeśli gorączka jest wysoka, lepiej wezwać lekarza. Byle nie Lubina, proszę, Ferdinandzie! Dobrze się składa, jego Ferdinand nie wezwie. Mine radzi Gérarda, zięcia Mélie. Jest sympatyczny i kompetentny. I na ogół szybko przyjeżdża.

31 Diagnoza

Gérard przyjechał późnym popołudniem. Osluchał Marceline, zapytał o wcześniejsze choroby. Odparła, że od siedmiu lat, odkąd tu mieszka, nie miała żadnych problemów zdrowotnych. To możliwe. Domyślał się jednak, że powód był inny. Coraz częściej bowiem spotykał ludzi, których nie było stać na leczenie, pozbawionych jakiegokolwiek ubezpieczenia zdrowotnego. I faktycznie, gdy przystąpił do wypełniania dokumentów, powiedziała, żeby nie zawracał sobie tym głowy. Wskazała metalową puszkę po ciastkach stojącą na półce i kazała mu wziąć sobie z niej, ile się należy. Odparł, że o tym pomówią później, kiedy Marceline wyzdrowieje.

Potem Gérard przyszedł do kuchni, gdzie czekali Ferdinand i Guy. Poczęstowali go kieliszczkiem wina śliwkowego. Smakowało mu. I czekali, żeby podzielił się z nimi diagnozą.

To rzeczywiście grypa. Potężna. Na razie nie ma strachu. Zrobić wiele się nie da, trzeba czekać i obserwować. Regularnie mierzyć gorączkę. Pilnować, by chora dużo piła. Wody, bulionów. A napar z tymianku? Można. Mélie wam to podsunęła? Tak myślałem. Ale ma słuszność, tymianek jest bardzo dobry. W razie bólu głowy albo jeszcze wyższej gorączki proszę podawać paracetamol lub aspirynę. Jeśli w ciągu trzech dni nie będzie poprawy, proszę dać mi znać, wtedy zobaczymy.

Zanim wyszedł, zwrócił się do Guya. Rzekł, iż dowiedział się o jego żonie, współczuje mu, a w ogóle jak mu leci. Guy odparł, że chwilowo wolałby o tym nie rozmawiać. Gérard nie nalegał. Uścisnęli sobie dłonie i poszedł.

Ferdinand udał się do apteki, by kupić co trzeba, przy okazji zrobił sprawunki i zanim wrócił do domu, wstąpił do Mine i Marcela, aby pożyczyć termometr. Swojego nie mógł znaleźć.

Teraz Guy i Ferdinand na zmianę dyżurują przy łóżku Marceline.

Guy wybrał noc – to praktyczne, skoro cierpi na bezsenność. A Ferdinand zajmuje się nią w dzień. Co dwie godziny muszą jej mierzyć temperaturę i notować ją na kartce, by zrobić wykres jak w szpitalu. Zapisują także, co podają jej do picia: wodę, buliony, napar z tymianku. Guy tak zdecydował. A Ferdinand nie chciał podawać w wątpliwość użyteczności takiej listy. Każdy ma swojego bzika, pomyślał. Na pewno to nie zaszkodzi.

Po raz pierwszy posługują się termometrem elektronicznym. Mine objaśniła Ferdinandowi, jak urządzenie działa. Wystarczy je potrzymać kilka sekund za uchem i hop! rozlega się

piszczenie i wyświetla się temperatura. Magiczny wynalazek ich zdaniem. Wydaje im się, że trafili do filmu science fiction. Do takich na przykład *Gwiezdnych wojen*. Wspominają doktora Spocka i jego szpiczaste uszy, zastrzyki robione bez strzykawki, znieczulenia ogólne po przyłożeniu jedynie dwóch palców do szyi i bum! człowiek pada jak kłoda.

A teleportacja?

Ktoś powinien się pośpieszyć i wymyślić, jak to zrobić, bo chętnie choć raz by jej spróbowali, zanim zejda z tego padolu.

Nie no, Ferdinand, wyobrażasz sobie?

No, ale by było!

Terapeutyczna groźba

Marceline ma wysoką gorączkę. Chwyta Ferdinanda za rękę i błaga, aby jej wysłuchał. Z silnie błyszczącymi oczami mówi o suczce, starym kocie i osiołku. Nie ma nikogo, komu mogłaby oddać zwierzaki. Gdyby tylko zgodził się je zatrzymać, poczułaby wielką ulgę i byłaby znacznie spokojniejsza. W pierwszej chwili Ferdinand oczywiście chce jej to obiecać. Nachodzi go jednak wątpliwość. A jeśli ona tylko czekała na sposobność, by wszystko rzucić, i teraz ją wykorzystuje? Dlatego odmawia. I wyjaśnia dlaczego. Suczka? No owszem, miła psina, lecz bardziej mu odpowiadało, kiedy jej nie było. W domu miał czyściej, bez śladów łap i sierści wszędzie. W dodatku Berta drapie w drzwi, od tego powstają rysy na farbie, brzydko to wygląda, na wiosnę będzie musiał je odmalować. Stary kot? Przypomina mu jego starszego syna. Nikogo nie lubi, zajmuje się tylko własnymi sprawami: polowaniem, ostrzeniem pazurów na pniach drzew, znaczeniem swojego terytorium i przy każdej okazji spuszczeniem łomotu małemu Szamałowi. Za takimi kotami Ferdinand nie przepada. A osiołek? Wcale mu się nie wydaje zabawny. Zwierzęta, które postępują wedle swego widzimisię, nie chcą siedzieć w zamknięciu, wyłamują barierki, to nie w jego guście. A jeśli wziąć jeszcze pod uwagę, jakich zniszczeń może dokonać w warzywniku i wszędzie, gdzie tylko postawi nogę – nie, doprawdy taki zwierzak to nic miłego. Przykro mi, Marceline, ale niech pani nie liczy, że zatrzymam pani zwierzęta. A gdyby mimo wszystko przyszło pani do głowy zostawić mi je na karku, uprzedzam, że nie będę się patyczkował i na pewno się ich pozbędę. Z wierzchu wyglądam na sympatycznego faceta, ale w głębi ducha wcale taki nie jestem.

Wychodzi z pokoju wyczerpany. Guy patrzy na niego, kiedy zjawia się w kuchni, powoli wstaje pewien, że przynosi złą nowinę. Ferdinand jednak nic nie mówi. Bierze ze spiżarki butelkę wina, nalewa sobie do kieliszka, wychyla je duszkiem i opada na krzesło. Suczka przywiera mu do nóg, więc głaszcząc ją pieszczotliwie. Guy siada z powrotem.

A Ferdinand zaczyna zadawać pytania.

Oczywiście Guy nie zna wszystkich odpowiedzi, wie po prostu o tym i owym. Od Gaby, która mu czasem coś wyjawiała. Może więc powiedzieć, że...

Tak, Marceline dźwiga wielkie brzemie, ale nie czuje się upoważniony rozmawiać o tym w jej imieniu.

Tak, możliwe, że nie ma żadnej rodziny. W każdym razie tutaj na pewno nie ma nikogo bliskiego.

Niewątpliwie trzymała ją dotąd świadomość, że ma pod opieką zwierzęta. Zagrożenie, że zostaną porzucone, to dobry pomysł, będzie musiała jakoś zareagować.

Nie, już dość, nic więcej nie powie.

33

Napar z tymianku

Chciałaby biec, próbuje, lecz coś jej przeszkadza, pęta nogi, toteż krzyczy, żeby ją puszczone, nie wolno jej zatrzymywać, bo będzie za późno, nie zdoła ich dogonić, och, nie, tylko nie to, nie może dłużej zostać, to niemożliwe, szłocha, błaga, wyrывa się, ale czuje, że słabnie, już ledwie może się ruszać, koniec, zabrakło jej sił, nie ma ich ani krztyny, nawet głosu nie ma, no tak, to pewnie koniec. Naraz ogarnia ją spokój, ciało już nigdzie nie boli, wydaje się lekkie jak piórko, dokoła wszystko jaśnieje, nieco dalej, na drugim brzegu, dostrzega córki, machają do niej, wyglądają na wesole, posyła im uśmiech, wreszcie do nich dołączy...

– Marceline... Marceline...

Cichym głosem nawołuje ją Guy.

Ona jednak ani drgnie. Guy zatem powtarza:

– Marceline... niech się pani zbudzi. Pora na ziółka.

Uduje się jej unieść powieki. Guy pomaga jej usiąść i wygodnie oprzeć się o poduszki.

– Miałam dziwny sen.

– Ano, wierzę! Biegła pani, potem walczyła i w końcu pewnie dotarła do swojego celu, bo wyglądała pani na zadowoloną i spokojną. Ot, taki sportowy sen. – Podaje jej kubek z naparem z tymianku. – Proszę wypić, zanim wystygnie.

Marceline posłusznie pije.

– Oleńka i Danusia to imiona pani córek, tak?

Marceline kiwa głową.

– Wołała je pani przez sen.

– Tak, pamiętam wyraźnie.

Gorączka spadła i Marceline wreszcie może wstać z łóżka. Cztery dni leżała plackiem, nogi ma teraz jak z waty. Ferdinand i Guy pomogli jej podejść do okna. Zobaczyła Korneliusza, który samodzielnie wydostał się z boksu i spacerował po podwórku. Kiedy zapukała w szybę, osiołek się obejrzał i drobnym truchtem podszedł pod dom.

34

Wybór Guya

Guy ostatecznie postanowił zamieszkać w dawnym pokoju Lionela, starszego syna Ferdinanda. Lionel opuścił go przed trzydziestu laty, był wtedy siedemnastolatkiem. Nie zanosilo się, że wróci i zechce go teraz odzyskać. Dziwny facet z tego Lionela. Od czasu do czasu dzwoni, donosząc, co u niego slychać. Zwykle około czwartej nad ranem. U niego, w Australii, jest wtedy ósma wieczorem, lecz on zapomina o różnicy czasu. A może ma ją w głębokim poważaniu. To niewykluczone. Taką ma naturę. Już w dzieciństwie nie miał kolegów, lubił doprowadzać matkę do łez, wrywać muchom skrzydełka i wciskać młodszemu bratu, że jest wampirem. A potem wyjechał daleko, daleko, aby z nikim już nie mieć do czynienia, zerwać wszelkie więzi. Zasadniczo znalazł to, czego szukał. Jest z niego takie nie wiadomo co, mieszka sam w jakiejś guszy. I znalazł robotę, która do niego pasuje. Przy utrzymaniu Dingo Fence: ogrodzenia chroniącego tereny hodowlane przed psami dingo. Najdłuższego ogrodzenia na świecie. Liczącego ponad pięć tysięcy sześćset kilometrów. Ma ono zapobiegać atakom dzikich psów (właśnie dingo) na stada bydła. Zdaje się jednak, że nie jest zbyt skuteczne. Tak twierdzi Lionel, a on pewnie wie, co mówi. W końcu tyle czasu je naprawia.

Wybierając się po meble Guya, przypięli przyczepę do traktora i zabrali plandekę, na wypadek gdyby padało. Prowadził Guy, Ferdinand siedział na błotniku obok niego. Warkot silnika, chłód metalowych siedzeń, podskoki na wybojach, zapach paliwa, wszystko to cofnęło ich wspomnieniami o kilka lat. Przez całą drogę nie rzekli ani słowa. Skupieni na przeżywaniu od nowa znajomych odczuć.

Przeprowadzka przebiegła szybko. Tak naprawdę Guy chciał zabrać tylko drzewko cytrynowe i trochę narzędzi ze swojego warsztatu. Ponieważ jednak Ferdinand nalegał, zdecydował się w końcu wziąć także łóżko, stolik nocny, toaletkę Gaby i komodę na swoje rzeczy. Resztę postanowił zostawić.

Kiedy dojechali do placu, Guy zgasił silnik i zaprosił Ferdinanda na kielicha. W restauracji zadzwieczał dzwonek i Roland wystawił głowę z drzwi kuchni. Potężnie się zdziwił na ich widok. Krzyknął w stronę piętra:

– Mireille! Chodź szybko, przyszedł twój wujek i mój ta... ojciec!

Przybiegła raz-dwa.

Usiedli we czwórkę, wypili po kieliszku białego wina. Mireille się cieszyła. Od razu zauważyła, że Guy dobrze wygląda. Migiem zdołał się pozbiierać, mieszkanie we trójkę i wiejskie powietrze ewidentnie znakomicie mu robiły. Roland zaś jednocześnie zrozumiał, że nikomu nie przyszło do głowy, aby go poinformować o tych zmianach. Podniósł się urażony, starając się ukryć ból, który odczuwał w lewej górnej części klatki piersiowej – doktor Lubin powiedział, że to psychosomatyczne, nie ma czym się przejmować – i pod pretekstem pilnych zajęć w kuchni zostawił tych troje. Dobrze się złożyło, Guy bowiem pragnął pomówić z Mireille. Ponieważ zbliżała się pora zakończenia lekcji w szkole, Ferdinand zaproponował, że pójdzie po chłopców. I Mireille się zgodziła. Po raz pierwszy! Czym prędzej wyszedł.

Guy tymczasem oznajmił Mireille, że chce jej przekazać swój dom.

Nie było w nim wielu pamiątek, ponieważ te prawdziwe, ważne, oraz związane z nią, z jej życiem między czwartym a osiemnastym rokiem, pozostały w starym gospodarstwie. Już dziesięć lat, jak się z niego wyprowadzili. A do tego domu nie jest zbyt przywiązany, Mireille może z nim zrobić, co chce. Sprzedać go albo wynająć, jeśli jej to pasuje. Mireille wszakże uznała, że pomysł wcale nie jest dobry. Nawet trochę obsztorcowała Guya. Jej zdaniem za bardzo się pospieszył, powinien dobrze się zastanowić, zanim wszystko rzuci. A zwłaszcza dać sobie czas na przetestowanie mieszkania u Ferdinanda. Minęło ledwie dziesięć dni – za krótko, by zdać sobie sprawę z wszelkich problemów, jakie mogą stworzyć Ferdinand i Marceline. Może się okazać, że będą mu działał na nerwy, i co pocnie, jeśli nie będzie miał gdzie pójść? Trzeba zachować rozsądek. Ona czasami też ma ochotę strzelić wszystkim. Dziewięć lat jest żoną Rolanda. Nie zamierza jednak pochopnie podejmować decyzji i potem jej żałować. W sumie czy ma się chęć porzucić męża, czy przyjaciół, wychodzi na jedno. To się może zdarzyć i w obu wypadkach człowiek ryzykuje, że się obudzi z ręką w nocniku. Należy poważnie sprawę rozważyć, zanim się coś zdecyduje.

Guy milczał, kiedy skończyła.

Po chwili wyciągnął do niej rękę z kluczami do domu. Mireille się wahała, więc położył je na stole. Był pewien, że chce jej dać tę chałupę. Pałacem toto nie było, lecz należało się tylko jej i nikomu innemu. Gaby też by tego chciała. Tak oboje planowali uczynić. Nie zamieniwszy na ten temat ani słowa. Mireille zrozumiała i pokiwała głową. Dopiero wtedy powiedział, co postanowił ze sobą zrobić. Oświadczył, że nie może mieszkać sam. Dwa tygodnie to dość. On potrzebuje mieć ludzi wokół siebie, czuć się użyteczny, dzielić życie z innymi. Inaczej przestaje mu ono smakować i zaczyna ciążyć. Dlatego dokonał wyboru. Będzie mieszkał z przyjaciółmi. To duże gospodarstwo, jest gdzie chodzić własnymi ścieżkami, a kiedy zapragnie samotności, zawsze znajdzie odosobniony kąt. Urządził sobie warsztat w części stodoły i majsterkuje nocami, kiedy nie może spać. Bardzo mu to odpowiada. Poza tym kilkoro dziadków w jednym miejscu to i dla

dzieci nieźle chyba...

Mireille wzięła klucze od domu, nachyliła się, aby pocałować Guya, i szepnęła mu do ucha:
„Dziękuję, wujku”.

Cukierki, guma do żucia i kocie języczki

Kiedy Lucus i Lutek po wyjściu ze szkoły zobaczyli Ferdinanda czekającego na nich za bramą, pędem ruszyli ku niemu i z dzikim wrzaskiem rzucili mu się na szyję. Następnie zażądali podwieczorku. Zgodził się bez targów, zahaczyli więc o piekarnię. Zwykle z Mireille wracali prosto do domu; tym razem okazję postanowili wykorzystać na maksa. Kazali sobie kupić wszystko to, czego Mireille im zabraniała. Cukierki, gumę do żucia i bułeczki czekoladowe. Przez całą drogę jedli, aż nic nie zostało, równocześnie zadając mnóstwo pytań i nie zostawiając, rzecz jasna, czasu na odpowiedź. Wszystko chcieli wiedzieć: czy mały Szamalo podrósł, czy nadal łapie myszy, kiedy będą mogli przyjechać do Ferdinanda, niedługo ferie świąteczne, czy wie, jakie dostaną prezenty i że rodzice niedługo się rozwodzą? W tym miejscu zapadła cisza i Lutek wyczuł, że powinien coś dodać, wyjął zatem z ust gumę do żucia, aby z uśmiechem zadowolenia kogoś, kto wie coś, o czym inni nie wiedzą, wyjaśnić, że to całkiem pewne nie jest, ma się rozumieć, ale są duże szanse, bo Mireille i Roland kłócą się już codziennie. Zakończywszy zdanie, wpakował do ust wielką kulę gumy i gorliwie zaczął ją żuć, Ferdinand zaś powiedział tylko: „Aha”.

Kawałek dalej pokazał im mijany nieczynny sklep sióstr Lumière i dom, w którym mieszkały. Oczywiście Lucus chciał wiedzieć, dlaczego tak się nazywają, Światło, i jeszcze dlaczego nie wstępują do nich, żeby się przywitać, skoro Ferdinand je zna, i czy należą do rodziny czy nie. Ferdinand, lekko skołowany tyloma pytaniami, podniósł oczy do nieba i bez komentarza zapukał do drzwi. Pozostały zamknięte. Przyłożywszy do nich ucho, usłyszał szepty. Aby uspokoić staruszki, wykrzyknął swoje imię. Simone otworzyła i zawołała do środka: „W porządku, Hortense! Możesz schować strzelbę, to Ferdinand z chłopcami, chcą się przywitać”.

Weszli do środka i obydwie panie rozplynęły się w zachwytach nad chłopcami: jacy to oni śliczni, a jak urosli, psiakość, jak ten czas leci, do jasnej ciasnej! Ostatnio widziały ich niecały miesiąc wcześniej, po pogrzebie Gaby, lecz żadna tego nie pamiętała. Następnie Hortense zaprosiła malców do spizarki i wywracając łakomie oczami, wyjęła duże metalowe pudło, Ferdinand tymczasem szeptem wypytywał Simone, o co chodzi z tą strzelbą. Dzieci nie były głodne, Hortense jednak nalegała, chciała, aby bracia się poczęstowali różnymi rodzajami

ciastek. No, nie wstydzcie się, bierzcie, ile chcecie, inaczej się zestarzeją. Grzecznie wzięli po dwa i Lutek zaraz ugryzł kawałek kociego języczka, lecz zaraz wypluł – ciastko było zjełczałe. Aby młodszy brat też się nie naciął, szturchnął go łokciem w bok. Tyle że Lucuś nie zrozumiał, krzyknął: „Aj”, i chciał mu oddać. Lutek się uchylił i zdołał szepnąć mu na ucho, że ciastka są zepsute, więc Lucuś szybko się uspokoił. Hortense wróciła do Ferdinanda i Simone, oni zaś wykorzystali tę chwilę, by podejść do klatki z papużkami. Pozbyli się starych ciastek dyskretnie, wsunawszy je między prętami do klatki.

Po powrocie do domu zobaczyli w restauracji siedzącego tyłem Guya, który rozmawiał z ich mamą. Zawahali się, czy do niego podejść. Kiedy ostatnim razem go odwiedzili, mieli porządnego stracha. Wypisz wymaluj wyglądał wtedy zupełnie jak karawaniarz z Lucky Luke'a, a w dodatku strasznie śmierdział. Tak jakby w ogóle się nie mył, odkąd Gaby umarła. Może nawet nie mył nóg! Mireille im wytłumaczyła, że to normalne, bywa, że ktoś się kompletnie zaniedba, kiedy jest nieszczęśliwy. Ale po jakimś czasie to przechodzi. Teraz Guy wyglądał normalnie. Był czysty, ogolony, minę miał zadowoloną. W końcu rzucili się na niego i wyściskali go jak wariaci. Mireille się uśmiechnęła, po czym spojrzała na zegar. Była piąta. Normalnie droga ze szkoły do domu zajmowała trzy minuty, im dzisiaj zajęła pół godziny. Ferdinand wyjaśnił, że wstąpili do sióstr Lumière i zeszło im u nich dłużej, niż przewidywał, przykro mu. I przy okazji zwrócił uwagę Guyowi, że powinni się zbierać. Jazda traktorem po ciemku jest ryzykowna.

Zaszedł jeszcze do kuchni, aby się pożegnać z Rolandem.

– Zbieramy się...

– OK.

– Jak ci leci?

– Dobrze.

– Jak restauracja?

– W porządku.

– A dzieci?

– Nie ma problemu.

– Mireille?

– Świetnie.

– To dobrze... – Zawahał się. – Miło by było, gdybyście w któryś dzień wpadli do nas na obiad.

Całą rodziną.

– Czemu nie?...

– W niedzielę?

– Pogadaj z Mireille.

- No to co...? Do niedzieli?
- Do niedzieli, tatuś... – Roland ugryzł się w język.
- Kurczę, nic nie szkodzi. Mnie tam w sumie nie wadzi, że tak do mnie mówisz.

36

Blady strach sióstr Lumière

Ferdinand przeciera stół, zanim rozłoży nakrycia, idzie po wino do piwniczki, Marceline dorzuca do pieca, zmiata okruchy kory, które posypały się na podłogę, a Guy gotuje obiad. Dziś jego kolej. Postanowił zrobić spaghetti, swoją specjalność. To również specjalność Ferdinanda, w powietrzu czuć rywalizację. Oczywiście żądają od Marceline, aby rozsądziła. Coraz bardziej przypomina to zawody, czego Marceline wcale nie uważa za zabawne, odmawia więc.

Może problemem jest to, że mieszkają we trójkę, myśli sobie każde z nich, choć tego nie uzgadniali.

Tymczasem spaghetti Guya, z czosnkiem i suszonymi borowikami, sięga szczytów sztuki kulinarnej. Ferdinand będzie musiał się poddać.

Po posiłku wszyscy troje wkładają płaszcze, szaliki, czapki i udają się do Korneliusza, życzą mu dobrej nocy. Następnie siadają na dworze na ławce, tej pod ścianą z niedużą wiatą, która ma chronić przed deszczem, lecz robi to z mizernym skutkiem. Tego wieczoru jest ładnie, nie pada. Panowie popijają kawę, pykając z fajki, Marceline sączy ziółka, bo żołądek ma jeszcze wrażliwy po grypie. Po niedługiej chwili Ferdinand decyduje się zrelekcjonować swoją wizytę u sióstr Lumière. Z początku mówi spokojnie, lecz powoli nerwy mu puszcza. Opowiada o tym, jak staruszki boją się otworzyć drzwi, o strzelbie przyniesionej ze strychu i o unikach, które robiła Simone, by nie odpowiadać na jego pytania. Po co im strzelba? Do czego chcą jej użyć? Czego albo kogo się boją? Normalne, że wypytywał, prawda? Marceline i Guy kiwają głowami. Po czym naraz Simone się przelamała i wyznała wszystko jednym tchem. Chodzi o jej bratanek, który chce odebrać im dom i sprzedać. Poniekąd ma prawo, figuruje bowiem w testamencie, ale powinien przecież poczekać, aż obydwie umrą. Zgodził się na to u notariusza i tak właśnie postanowiono. Tyle że teraz nagle mu się spieszy, mówi, że podpisał papiery, by Hortense zamknęto w zakładzie z powodu jej problemów z pamięcią, używa słowa „alzheimer”, żeby je do reszty sterroryzować. Teraz to już oczywiście kwestia dni, przyjdą po nią lada chwila, więc Simone musi ruszyć tyłek i znaleźć sobie jakieś przytulisko, jeśli nie chce skończyć na ulicy! Dosłownie tak im ten gnojek powiedział.

Problem w tym, że uwierzyły we wszystko, co mówił. I nie da im się tego wyperswadować.

Po długiej chwili milczenia Ferdinand dodaje, że wolałyby umrzeć, niż się rozdzielić, to pewne

jak amen w pacierzu. Guy się z nim zgadza.

Aby oświecić Marceline, która ledwie je zna, w skrócie opowiadają jej o nich. Siostry Lumière nie są prawdziwymi siostrami. Noszą to samo nazwisko dlatego, że Hortense była żoną brata Simone. Poznali się na początku wojny, zakochali w sobie i przekonali miejscowego mera, by kilka dni później udzielił im ślubu. Niestety, nazajutrz po weselu w drodze do swojej jednostki biedny Octave wszedł na minę. Jego rodzice pomarli ze zgrzyoty i Hortense, wówczas dwudziestotrzyletnia, została sama z Simone, szwagierką, która miała wtedy piętnaście czy szesnaście lat. I odtąd były nierozłączne. Otworzyły sklep elektryczny, który nazwały „Kantor elektryczny sióstr Lumière”. Z takim nazwiskiem było to wręcz obowiązkowe. Oprócz klasycznego asortymentu – kabli, gniazdek, izolatorów, przelączników i tak dalej – wyspecjalizowały się w lampkach nocnych. Simone je projektowała, a Hortense produkowała. Gaby najbardziej lubiła karuzele, które się obracały pod wpływem ciepła żarówek. Bardzo nastrojowe. Zachodziła czasem do sklepu tylko po to, aby na nie popatrzeć. W zeszłym roku siostry zamknęły sklep.

Razem mieszkają pewnie ze siedemdziesiąt lat. Platynowe gody, zauważa Marceline, na której opowieść zrobiła wrażenie.

Zaczyna padać deszcz, czym prędzej wracają więc do domu. Ferdinand dorzuca drewno do pieca, Guy zmywa naczynia w zlewie, Marceline nastawia do namoczenia fasolę na jutrzejszy obiad. Po czym... próbują sobie wyobrazić, jak by się pomieścili, gdyby ich było pięcioro. Obchodzą cały dom, stwierdzają, że miejsca jest dużo. Naprawdę nic nie stoi na przeszkodzie.

Przystają w dole schodów, muszą jeszcze pogadać. Czy siostry Lumière trudno będzie przekonać? W sumie chyba trudniej niż ich dwoje. Są starsze, a zatem mniej elastyczne. Hortense ma dziewięćdziesiąt pięć lat, a Simone osiemdziesiąt osiem? Mogłyby być matkami całej ich trójki! Ha, śmieszne... Na pewno są bardzo przywiązane do swojego domu, skoro tak długo w nim mieszkają. To może być problem. Tak czy owak nie można ich zostawić w tym położeniu, byłoby to... niedzielenie pomocy osobom będącym w niebezpieczeństwie! Tak, tak, słusznie. Cóż, nie będzie to bułka z masłem, ot co.

Ferdinand czuje, że noc spędzi na rozmyślniach, szukaniu właściwych słów, ostrzeniu argumentów. Marceline i Guy pokładają w nim ufność. Na własnej skórze się przekonali, jakie ma zdolności.

Życzą sobie dobrej nocy, Marceline i Ferdinand idą każde do swojego pokoju, a Guy wkłada płaszcz. Przed wyjściem wyjmuje z pieca kilka żarzących się polan, które wrzuca do wiaderka. Jak co wieczór towarzyszy mu Berta. Wchodząc do warsztatu, oboje wraz wzdrygają się „brrr”, termometr pokazuje 4 stopnie. Guy umieszcza węgle w żarniku, przysuwa go jak najbliżej blatu. Berta tuż obok zwija się w kłębek na stosie worków jutowych i Guy zabiera się do pracy. Ma do

zreperowania i odnowienia dwa rowery przed końcem tygodnia. Robota na parę nocy. Takiego akurat przymusu mu potrzeba, aby się ruszyć.

Ferdinand leży w łóżku wpatrzony w sufit, słuchając mruczenia małego Szamala przy uchu. Chwilowo nie pomaga mu to zasnąć. Rozmyśla o jutrze.

Co im powiedzieć? Jakich słów użyć? Jak zacząć?

Ma tremę, biedak.

37

Trzy + dwa

Ferdinanda zaskoczyło, że wszystko odbyło się tak szybko. Ledwie powiedział ze trzy zdania, Simone zerwała się na nogi, złapała Hortense za rękaw i wyciągnęła do pokoju. Słyszał, że coś tam szepczą, trwało to niecałą minutę, po czym wróciły lekko rozdygotane, z zamglonymi oczami, uściskały go kolejno. Poprzedniego dnia, po wyjściu Ferdinanda z chłopcami, bratanek znów przyszedł i kompletnie je sterroryzował. Miały paskudną noc. Najpierw się popłakały nad swoimi dwiema papużkami, które znalazły martwe na dnie klatki, z łapkami sterczącymi sztywno w górę i wzdętymi brzuszkami, nie mogły pojąć, co zabiło ptaszki, później zaś przystąpiły do planowania wyprowadzki, wielkiej, ostatecznej, każda z odpowiednio dużą dawką proszków nasennych na stoliku nocnym. W ramach czynności przewidziały cały dzień na wielkie sprzątanie, zależało im bowiem na zostawieniu domu w stanie idealnym. Żeby potem nikt nie gadał, że siostry Lumière to flejtuchy. Nie ma mowy! W życiu! Na zakończenie zamierzały napisać liścik do tych, którzy zechcą poznać powody ich decyzji. I ustaliły menu na kolację. Będzie przystawka, danie główne i deser: same słodycze! Kawowe eklery, babeczki z kremem i bezami, rumowa babka. Cukrzyca i inne cholesterolowe tałatajstwa niech idą do diabła, dziś siostry Lumière niczego sobie nie będą żałowały! Dopiero potem położą się spać – około wpół do dziewiątej, chyba że w telewizji trafi się jakiś dobry film albo ciekawy dokument – takie będzie ich pożegnanie plus coś w stylu: „Przy odrobinie szczęścia i grubym błędzie na zwrotnicach trafimy do raj, moja droga”, ot, żeby się pośmiać ostatni raz, a godzinę później będzie po wszystkim. Propozycja Ferdinanda przychodziła więc niczym... koło ratunkowe, oaza na pustyni, światło w końcu tunelu? W każdym razie oznaczała odroczenie. I siostry Lumière powiedziały „tak”.

Najpierw zawiózł je do siebie. Lało jak z cebra, kiedy przyjechali. Ale fryzury pań nie ucierpiały, ponieważ Marceline i Guy czekali przed domem i pod parasolami odprowadzili je do drzwi. Ledwie usadowiły się przy piecu, Hortense zasnęła. Tak liczne zmiany w codziennej rutynie, zakumulowane zmęczenie i emocje ostatnich dni kompletnie ją wyczerpały. Zapadła w sen nad filiżanką kawy. Simone wzruszyła ramionami, mówiąc, żeby nie zwracać na nią uwagi, często jej się to zdarza, lecz nie trwa długo. W rzeczy samej kwadrans później Hortense przebudziła się ze zdrygnięciem. Rozejrzawszy się dokoła z uśmiechem, z aprobatą pokiwała

głową, po czym nachyliła się do siostry i szeptem dość głośnym, by wszyscy usłyszeli, zauważyła, że ta młodzież jest urocza i nadzwyczajnie grzeczna, Simone musi to przyznać. Zirytowana Simone wzniosła oczy do góry i nakazała, by skończyła z wygadywaniem głupstw. Hortense w odpowiedzi mruknęła, że doprawdy niepomiarne by się ucieszyła, gdyby Simone choć raz przyznała, że się pomyliła. Na Boga, Simone! Wśród młodzieży są dziś przyzwoici ludzie, przecież nie tak trudno to zrozumieć!

Minęło pewnie ze dwadzieścia lat, odkąd były z wizytą u rodziców Ferdinanda, niczego tu nie poznawały.

Obszedłszy dom, wybrały sobie dwa sąsiednie pokoiki na parterze, co było praktyczne ze względu na Hortense, która nie mogła chodzić po schodach, tak ją bolały kolana – w niektóre dni nawet nie mogła wstać ze swojego fotela na kółkach. W jednym pokoiku postanowiły urządzić sobie sypialnię, a w drugim bawialnię, na wypadek gdyby potrzebowały samotności. Ferdinand, Guy i Marceline przyznali, że podjęły słuszną decyzję. Wykazały się przezornością.

Teraz należało się zająć przeprowadzką.

Siostry Lumière pojechały przodem z Ferdinandem, aby spakować rzeczy do walizek i kartonów. Guy dopiął przyczepę do traktora, Marceline usiadła obok niego na błotniku. Warkot silnika, chłód metalowego siedzenia, podskoki na wybojach, zapach paliwa, wszystko to szybko przyprawiło ją o mdłości. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa. Oboje byli skupieni – ona na tym, aby nie zwymiotować, on zaś na rozkoszowaniu się wszystkimi odczuciami, które za każdym razem zabierały go na krótką wycieczkę w przeszłość.

Wybór był trudny, a Hortense i Simone zbyt podekscytowane całym zamieszaniem. Dotąd nigdy nie musiały się przeprowadzać. W każdym razie w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat. Ferdinand zaproponował, aby przenosiny podzielić na raty, to jednak wcale ich nie uspokoiło, przeciwnie. Schowały się w kąciuku, coś tam do siebie poszeptały, po czym wyznały mu, że bardzo się boją, iż pod ich nieobecność bratanek tu przyjdzie i podłoży ogień. Raz jeszcze Ferdinand próbował im wytłumaczyć, że nikt nie ma prawa wchodzić do domu bez ich zezwolenia, że każdego można legalnie powstrzymać – w ogóle go nie słuchały. Wybiorą, co zostanie przewiezione, i już. Mają jeszcze kilka godzin, były przecież gotowe zrobić wielki skok, nie zabierając niczego! No ale dość duże z nich osobki, żeby zdołały posortować rzeczy! Wezmą ze sobą tylko niezbędne minimum, Ferdinand się zdziwi.

Słowo „minimum” nie najlepiej określało to, co ostatecznie zdecydowały się zabrać. Po tylu latach – mnożąc przez dwa – z konieczności było tego sporo. Ferdinand, Guy i Marceline z trudem hamowali śmiech. Można by zapełnić po brzegi cztery przyczepy! Załadowali najpierw to, co należało do sypialni i bawialni, a gdy wrócili po drugą partię, okazało się, że siostry zmieniły zdanie i do zabrania pozostało tylko trochę drobiazgów, walizka materiałów

elektrycznych i fotel na kółkach. Kiedy został załadowany, Hortense w płaszczu nieprzemakalnym i śniegowcach uparła się, że mają jej pomóc wsiąść na przyczepę, i nie ustąpiła mimo krzyków i lamentów Simone. Życzyła sobie pojechać na górze, siedząc w swoim fotelu, i oglądać okolicę, podziwiać krajobrazy jak w dzieciństwie, gdy jeździła powozem rodziców. Simone zezłościła się na nią. Ale Hortense oświadczyła, że wcale się jej nie boi! I że zrobi, co jej się będzie podobało. Koniec, kropka!

We trójkę się wzięli za podsadzanie jej. A Simone zatkała sobie uszy, mamrocząc: „No pięknie, znowu zaczyna się wygłupiać”, gdy Hortense ile sił w płucach zaśpiewała: „Ajm sing inkinde rejn, ajm sing inkinde rejn, lot eeebiu tiful fi link, ajm hepi egen”... Składała hołd filmowi, którego pod żadnym pozorem nie przegapiła, gdy w okresie bożonarodzeniowym nadawano go w telewizji. Nigdy nie udało jej się do końca zrozumieć fabuły ani tego, co tam bajdurzyli w piosenkach, lecz bardzo jej się podobało, że ludzie tańczą i śpiewają w deszczu z zadowoleniem na twarzy. Uważała, że to niezwykle. W prawdziwym życiu nikt tak nie robił. Z wyjątkiem dzieci. A i to wyłącznie wtedy, kiedy rodziców nie było w pobliżu...

Guy uruchomił silnik traktora.

Hortense zaś zawołała: „Do wozu, Simone! Zmieniamy lokal!”.

Przez resztę drogi żadna nie wymówiła ani słowa. Obydwie siedziały skupione: Simone w samochodzie Ferdinanda starała się nie popłakać, myśląc o wszystkim, co zostawiała za sobą, a Hortense na przyczepie, szarpana wiatrem i smagana deszczem, rozkoszowała się wycieczką w przeszłość, dziewięćdziesiąt lat wstecz – jakby znowu miała pięć lat.

38

Sen o wodzie

Lutek wstaje, na palcach podchodzi do łóżka Lucusia, pochyla się nad bratem i szepcze:

- Czemu ryczysz?
- Chcę do mamy.
- Pracuje.
- No to co? Chcę do mamy!...
- Gadaj najpierw, czemu ryczysz.
- Zeszczalełem się.
- I dlatego chcesz do mamy?
- Piżama jest cała mokra.
- Masz drugą w szufladzie. Trzymaj, przebierz się.
- Pościel też jest mokra.
- Chcesz jeszcze szczać?
- Nie... Powiedz, Lutek, „szczuć” to brzydkie słowo?
- No.
- Aha... – Lucuś jest uszczęśliwiony.

– Na pewno już ci się nie chce?

– Wszystko zrobiłem w łóżku.

– No dobra, możesz spać ze mną.

Kładą się obok siebie. Lucuś jest zadowolony.

W ciemnościach uśmiecha się do sufitu.

– Lutek, a wiesz, czemu nie wytrzymałem?

– Nie wiem.

– Bo śniło mi się, że byłem w morzu, woda była ciepła i nie potrzebowałem fali, bo umiałem pływać, nawet z głową pod wodą, i oczami wszystko normalnie widziałem, i pływałem tak jak duże ryby, i gonilem się z nimi, takie były dziwnie miłe, całkiem jak najlepsi kumple, a potem nie wiem czemu chyba napiłem się wody i wysikałem się do morza.

– Znam. Też tak robię czasem na basenie.

Po chwili.

- Lutek?

- Mmm...

- Śpisz?

- Mmm... prawie...

- No bo wiesz, w tym śnie była też ciocia Gaby. Pływała ze mną i razem ześmy się gonili z tymi rybami.

- Tak?

- No.

- Rozmawialiście?

- Trochę.

- Co ci powiedziała?

- Zapomniałem...

- Przypomnij sobie!

- To mi się śniło... staram się, ale się nie udaje...

Lutek odwraca się nagle, chowa głowę pod kołdrę, mruczy:

- To nic.

Z sercem pękniętym na tysiąc kawałków.

Serce Hortense jest zmęczone

Od przyjazdu na wieś Hortense leży w łóżku. Katar zszedł jej na piersi, ciężko oddycha. Gérard zajrzał do niej poprzedniego dnia, powiedział, że jeśli jej się nie polepszy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, będzie musiał ją hospitalizować. Na razie przepisał lekarstwa, w tym zastrzyki rano i wieczorem. Muszą wezwać pielęgniarkę albo sami sobie poradzić, w końcu to nic takiego. Przed wyjściem jednak postawił sprawę jasno: nawet jeżeli nastąpi poprawa, nie ma co się ludzić – będzie chwilowa. Albowiem serce Hortense jest zmęczone.

Przez tę opiekę nad chorą, przywykanie do nowego domu i inne zmiany Simone jest drażliwa jak rzadko. Tego ranka Guy się zaoferował, że zrobi pierwszy zastrzyk. Lojalnie go uprzedziła, że Hortense gotowa go posłać do wszystkich diabłów, bo jest bardzo przeczulona, w dodatku ma strzykawkową fobię. Faktycznie poszło mu nie najlepiej. Zaczęło się od lez, następnie Hortense usiłowała się targować, potem bardzo szybko przeszła do obrzucania go obelgami, a kiedy wreszcie podszedł ze strzykawką, próbowała go uderzyć. Wbił igłę byle jak na chybił trafił, Hortense wezwała na pomoc Simone, błagała, by nie zostawiała jej samej z tym potworem, który chciał ją podstępnie zamordować! Kilka minut później krwiak powstały od zastrzyku rozlał się na całą nogę. Simone wpadła w przerażenie, zwymyślała Guya od psychopatów.

Zdenerwowany postanowił zostawić to innym, niech oni się z tym borykają, a sam zajął się opracowaniem harmonogramu. Siedzi więc teraz i pracowicie rysuje na kartce ramkę, podkreśla, opisuje kolumny: godzina, lekarstwa, które ma zażyć Hortense, pomiar temperatury... I wymyśla tytuł: Organiramol. Za ładny nie jest, ale to taki jego drobny odwet, przy którym może się pośmiać w duchu. W tym czasie Ferdinand robi herbatę i kawę na śniadanie, zastanawiając się, czy aby nie popełnił głupstwa, sprowadzając tutaj te dwie staruszki. Wziął na siebie wielką odpowiedzialność, w ogóle nie brał pod uwagę spraw zdrowotnych. Bardzo go to gryzie.

Atmosfera panuje ciężka, siedzą przy stole, popijając herbatę i kawę i główkując nad problemem. Koty i pies czują, że chwila nie jest odpowiednia, by domagać się resztek ze stołu. Spokojnie czekają przy piecu. Koty patrzą na deszcz padający za oknem, Berta ziewa, powoli układa się na posadzce i zapada w drzemkę. Śni jej się, że spaceruje, jest lato, ciepło... Naraz dostrzega jakiś ruch w wysokiej trawie, o tam, daleko, puszcza się biegiem, oddech jej

przypiesza, z gardła dobywa się skowyt. Mo-że zdenerwowany postanawia sprawdzić, co słychać na strychu, po drodze wskakuje Bercie na plecy, wbijając pazury w skórę, Szamalo robi tak samo.

Wtem Guy, Marceline i Ferdinand równocześnie podnoszą głowę. Wpadli na pomysł. Może na taki sam? Ale każde z osobna postanawia, że na razie dwojgu pozostałym nic nie powie. Wołą przedtem dać sobie dzień do namysłu, przemyśleć to jeszcze, zważyć za i przeciw, znaleźć argumenty. Co nagle, to po diable, dość już mają kłesk.

Okolo jedenastej Marceline wraca z ogródka, szuka obu panów, aby przedstawić im swój plan, lecz jakby zapadli się pod ziemię. Odlewa wodę z moczącej się fasoli, nastawia ją do gotowania ze szczyptą sody oczyszczonej (zapobiega wzdęciom) i puka do drzwi siostr Lumière. Simone okazuje radość na jej widok. Szepcze jej do ucha, że Hortense wreszcie zasnęła, i korzystając z obecności Marceline, udaje się do toalety. Lubi posiedzieć w ubikacji, posłuchać radia, porozwiązywać krzyżówkę, to taka jej codzienna rozrywka. Gdy po kwadransie Simone nie wraca, Marceline wychodzi na palcach z pokoju, zostawiając drzwi otwarte, na wypadek gdyby Hortense się obudziła, i wraca do kuchni. RzUCA okiem na Organiramol przypięty pinezkami do drzwi: Guy wpisał ją na czuwanie przy chorej od czwartej do szóstej. Pora jej nie pasuje, wymienia się dyżurem z Ferdinandem.

Tuż przed dwunastą Ferdinand dzwoni, aby uprzedzić, żeby nie czekały na niego i Guya, ponieważ spotkali kolegów w kawiarni, zjedzą z nimi lunch. Doskonale. Simone już siedzi na swoim miejscu, jest głodna jak wilk. Między jednym a drugim kęsem mówi do Marceline, że Hortense bardzo by chciała, aby wypily kawę w jej pokoju, pragnie powiedzieć im o czymś ważnym. Marceline pyta, czy wie, o co chodzi. Simone dość oschle odpowiada, że sama się dowie. Nie cierpi mówić z pełnymi ustami. To niebezpieczne, mogłaby się zachłysnąć i udusić. To by dopiero było!

Hortense przerywa co słowo, by zaczerpnąć tchu, słuchanie wymaga zatem cierpliwości. Aby jej ulżyć, Simone kończy za nią zdania, dorzuca komentarze. Hortense stara się powiedzieć, że... to bardzo miło, że je zaprosili tutaj. Cóż, nie każdy by zrobił coś takiego, to pewne. I jeszcze... że nie ma złudzeń co do swojego stanu zdrowia, ale gdyby jej się pogorszyło, chce mieć pewność, że pomogą Simone podjąć decyzję o zawie... Ostatnie słowa giną w strasznym ataku kaszlu, a Simone tym razem nie kończy za nią zdania. Obydwie jednak zrozumiały, że Hortense wolałaby skończyć w szpitalu. Simone ze łzami w oczach całuje ją w czoło.

– Tak, tak, kochana. Zrobimy, jak chcesz. Ale teraz musisz odpocząć, jeszcze nie nadeszła twoja godzina. Wiedziałabym, gdyby tak było.

O drugiej Marceline obejmuje wartę przy Hortense.

Simone będzie mogła się zdrzemnąć.

Albo posiedzieć w ubikacji i porozwiązywać krzyżówki, jeśli woli...

Muriel jest wypompowana

Profesorka odwróciła się podejrzliwie, marszcząc brwi. Studenci pracowali dalej jakby nigdy nic, a Muriel zagryzła wargę, chowając głowę w ramiona. Już trzeci raz w tym tygodniu zapomniała wyłączyć komórkę przed zajęciami. Jeśli profesorka odkryje, że znów jej telefon zapiszczał, gotowa ją wywalić. Wyniki miała takie sobie, więc... byłoby po ptakach. Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że kretyn, który wysłał jej esemesa, nie wpadnie na głupi pomysł, by teraz zadzwonić w celu sprawdzenia, czy otrzymała wiadomość!

Zaczekała na przerwę na lunch, aby je przeczytać. Esemes był od Mireille, szefowej restauracji. Proponowała jej robotę: jutro, w sobotnie popołudnie, od drugiej do późnej nocy. Prosiła o szybką odpowiedź. Pewnie zejdzie jak ostatnim razem – do drugiej w nocy, pomyślała Muriel. Wystukała odpowiedź na telefonie: „Jutro OK dzięki Muriel”. Wpadła następnie do agencji nieruchomości. Było przed pierwszą, na drzwiach wisiała kartka: „Agent wyszedł z klientem w celach służbowych. Zapraszam po 14”. Wyobraziła sobie agenta, który z żoną siedzi przy stole i wcina lunch, oglądając wiadomości w telewizji, zdenerwowała się, zawróciła do szkoły. Mijając piekarnię, zwolniła, aby się nawąchać zapachu świeżego pieczywa, lecz nie przystanąła. Nie miało sensu sprawdzanie po raz kolejny, czy jakieś drobne nie poniewierają się na dnie torby albo za dziurawą podszewką. Już szukała poprzedniego dnia i nic nie znalazła.

Kiedy nieco później otworzyła oczy, stwierdziła, że leży na kozetce w gabinecie pielęgniarki. Nie miała pojęcia, jak tam wylądowała. I naraz przypomniała sobie. Przypomniała sobie pochyloną głowę Louise, która niespokojnie dopytywała: „Muriel? Co ci jest?... Kurde, strasznie zbladłaś, staruszek. Proszę pani, szybko, Mu...” i bum! czarna dziura. Bez dźwięku, bez obrazu. Pielęgniarka przyniosła szklanekę posłodzonej wody, pomogła Muriel usiąść i napić się, co dobrze jej zrobiło. Następnie znowu zmierzyła jej ciśnienie – 80 na 50, powolutku rosło – zadając pytania. Czy zdarzyło jej się już stracić przytomność? Nigdy. Ma teraz jakieś szczególnie kłopoty? Nic takiego. Jest w ciąży? Skądże! Czy jada regularnie? Na to pytanie Muriel nie odpowiedziała. Spróbowała stanąć na nogach, lecz przed oczami zawirowały jej gwiazdy i zaraz z powrotem opadła na kozetkę. Pielęgniarka westchnęła. Obeszła biurko, pogrzebała w szufladzie, wyjęła batonik zbożowy – miał być jej popołudniową przekąską – i z żalem podała go dziewczynie. Muriel połknęła go, prawie nie gryząc, podziękowała szerokim uśmiechem. Poczua się

zdecydowanie lepiej, truchcikiem podążyła do sali ćwiczeniowej.

Nie chciała opuścić zajęć praktycznych z dawania zastrzyków, perfuzji, pobierania krwi, podawania leków... Za długo na nie czekała.

Po zajęciach przed szkołą

Za pięć czwarta zadzwonił telefon, lecz Simone nie odebrała. W słuchawkach oglądała serial w telewizji, więc nie słyszała dzwonka, tak że Marceline musiała podejść do aparatu. Mireille chciała mówić z Guyem lub z Ferdinandem. Nie wrócili? Trudno, w takim razie jej powie. Pospieczali się z Rolandem. Tym razem mocno, znacznie poważniej niż dotąd. Dlatego bardzo by chciała, żeby o wpół do piątej ktoś odebrał chłopców ze szkoły i wziął ich na wieś na weekend. Dzięki temu nie będą patrzyli na ich kłótnie, co oszczędzi im traumy. Ale jest też drugi powód tej prośby. Poproszono ich w ostatniej chwili o urządzenie urodzin jutro wieczorem na sześćdziesiąt osób, impreza skończy się późno, chłopcom na wsi będzie więc lepiej. Ona musi zostać w pracy, choć jest wpięprzona... O, przepraszam!... Marceline zapewniła ją, że i tak wybierała się do miasta, wyjdzie więc wcześniej i wstąpi po chłopców.

W kilku zdaniach zdała także raport ze swojego dyżuru: Hortense zażyła wszystkie lekarstwa, wypila ziółka, poddała się inhalacjom bez zbytnich narzekań i nawet pozwoliła sobie wymasować nogi, żeby nie nabawić się odleżyn. Gorączka trochę jej spadła, to dobry znak. Teraz śpi. Spokojnie będzie mogła obejrzeć koniec odcinka serialu – ale bez słuchawek, prawda, Simone? – później może nawet zdąży rozwiązać krzyżówkę albo sudoku poziom 6, by rozruszać zamulony umysł. Simone zachichotała, nie odrywając wzroku od telewizora.

Marceline musiała się pospieszyć. Ciepło się ubrała, na wierzch narzuciła płaszcz nieprzemakalny, wciągnęła na nogi śniegowce. Korneliusz był w głębi ogrodu. Usłyszawszy jej wołanie, przybiegł galopem, tratując po drodze ostatnie pory Ferdinanda. Zaprzęgła go do wózka, mamrocząc, że ona się nie zgadza na takie zachowanie, doprawdy przynosi jej wstyd, niszcząc takie dorodne warzywa. Korneliusz pokiwał głową, lecz Marceline wcale nie uznała tego za zabawne. Otarł więc łeb o jej ramię i wtedy już się uśmiechnęła. Kiedy zaprzęg był gotowy, Berta zasiadła obok Marceline i ruszyli z kopyta.

Mireille czekała z chłopcami przed szkołą. Do torby na kółkach zapakowała ich ubrania, zabawki, książki i jedzenia dość, by dało się przetrzymać obłęzenie. Lutek i Lucus byli bardzo podekscytowani. Podetknęli ogryzek z jabłka Korneliuszowi, który nie czekając na pytanie, pokiwał twierdząco głową. Stropiło to trochę Lucusia. Ponieważ jednak Lutek nie okazał zdziwienia, on także przeszedł nad tym do porządku.

– Chyba strasznie lubisz jabłka, co, Korneliuszu? Cieszysz się, że nas widzisz? Zawieziesz nas na wózek? Tylko patrz, dużo tego jest: wielka torba, tornistry i jeszcze my. Nie będzie ci za ciężko? – Odpowiedź osiołka była jak zimny prysznic. – O psiakostka, Lutek, widziałeś? Mówi, że mu będzie za ciężko!

– Coś ty! Patrz, Korneliusz, jaja sobie robisz, tak?... No widzisz?

I Lucuś odetchnął.

Mireille uściskała chłopców, pouczyła ich – odrobić lekcje, nie używać brzydkich słów, myć zęby rano i wieczór, a w ogóle żadnych cukierków przez cały weekend, zrozumiano? – poprosiła Marceline, by udzieliła im lekcji solfeżu – przepraszam, zapomniałam pomówić z panią o tym wcześniej, będzie pani taka uprzejma? Bardzo dziękuję – i pospieszyła do restauracji, gdzie miała jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Marceline zaś pogoniła Korneliusza. Nie pojechała jednak drogą na wieś. Zatrzymała wózek koło dużego gmachu i powiedziała chłopcom, że musi tu z kimś pomówić, jeszcze nie wie z kim, ale to się zobaczy, zejdzie jej tylko chwilkę. Lucuś pierwszy zauważył zaparkowany dalej samochód oraz Guya i Ferdinanda, którzy siedzieli w środku. Chłopcy pokładali się ze śmiechu, kiedy panowie się wzdrygnęli, usłyszawszy pukanie w szybę i dzikie HU!

Nie zdążyli im wyjaśnić, skąd się tutaj wzięli, ponieważ zaraz drzwi gmachu, przed którym się znajdowali, otworzyły się szeroko i wysypała się z nich chmara rozgadanych studentów. Lutek zaraz wypatrzył Muriel i Louise, dziewczyny, które obsługiwały w restauracji w dni imprez. Fajne były i bardzo ładne, strasznie mu się podobał ich zapach, dlatego koniecznie chciał się z nimi przywitać. Marceline i Ferdinand podążyli za nim. Na widok chłopca Louise wybuchnęła śmiechem.

– Patrz, Muriel, to dzieciak szefowej knajpy! Czego tu szukasz, mały? Czekasz przed szkołą pielęgniarską, żeby znaleźć sobie narzeczoną? Cwanie.

Lutek spuścił głowę, mrucząc pod nosem: „Pinda”. Wtrąciła się Muriel:

– Nie słuchaj, ona jest trochę stuknięta, ale to nie jej wina, czeka na przeszczep mózgu. Jest pierwsza w kolejce!

Parsknęły obydwie, a Lutek rozindyczony uciekł do wózka z Korneliuszem, zostawiając Marceline i Ferdinanda pośród młodzieży. Każde z nich z osobna pomyślało, że może to nie był taki dobry pomysł, może powinni załatwić to inaczej, krótko mówiąc, uznali, że na razie nie ma sensu o tym mówić. Kiedy dochodzili do Guya i chłopców, Muriel przystanęła w pobliżu, aby odebrać telefon. I usłyszeli rozmowę: ach, w tym roku dużo ciężiej, ale tak, tak, uczy się, nie, jeszcze się nie przeprowadziła, ale coraz bardziej zaprzęta jej to głowę, boi się, że nic nie znajdzie, a wtedy będzie musiała wyjechać, zmienić szkołę, zrezygnować... I tu głos jej się załamał. Zaraz jednak wzięła się w garść. Miła wiadomość: dostała propozycję pracy w knajpie,

tylko na jeden dzień, ale zawsze to coś, naje się do syta, a potem... potem znajdzie jakieś wyjście, nie może być inaczej, no, komórka jej się rozładowuje, musi kończyć, zdzwonią się w któryś dzień, całuski, babciu, i nie truj się, będzie dobrze, słowo. Rozłączyła się, usiadła na krawężniku, zwiesiła głowę i rozplakała się. Podeszła do niej Berta, skomląc, trąciła ją pyskiem w głowę, w szyję, złapała zębami za ucho. Zaskoczona Muriel podniosła głowę. Zobaczyła przed sobą psa, ale także Lutka i Lucusia, którzy ze smutnymi minkami częstowali ją cukierkiem, a za nimi trzy starsze osoby spoglądające na nią z uśmiechem.

Tak oto doszło do poznania Muriel.

Na pytanie: „Umie pani robić zastrzyki?” odpowiedziała: „Tak”, choć oczywiście nie dodała, że jeszcze nigdy nie wykonała żadnego. Następnie staruszkowie na próbę przedstawili bez upięknień leciwą Hortense. Powiedzieli o jej stanie zdrowia, o tym, jakiej opieki wymaga, o fobii strzykawkowej, zmiennych nastrojach, lukach w pamięci... Muriel słuchała bez mrugnięcia. Wydało im się, że to jej nie przeraża, a kogoś takiego właśnie szukali – osoby, która nie będzie miała strachu i chłodu w oczach. Muriel im się spodobała. Wyłożyli jej zatem swój plan, które każde na własną rękę wymyśliło bez porozumienia z resztą: w zamian za opiekę i pielęgnację przez godzinę czy dwie dziennie proponują mieszkanie, wikt i opierunek. Muriel szeroko otworzyła oczy. Gdyby to tylko od nich zależało, zawarliby umowę od razu. Musi jednak najpierw zobaczyć Hortense, to poważna sprawa. Muriel wyraziła zgodę i została zaproszona do samochodu Ferdinanda.

42

Pierwszy zastrzyk

Muriel przygotowała strzykawkę i starannie umyła ręce. Następnie naciągnęła rękawiczki. Potem wzięła wacik, nasączyła go środkiem odkażającym, kolistym ruchem przemyła skórę na górnej zewnętrznej części pośladka pacjentki, zaczynając od środka, aby oddalić zarazki od miejsca wkłucia... Dotąd wszystko szło dobrze. Mimo że ręce lekko jej drżały. Skupiła się, wzięła głęboki oddech i nachyliła się nad Hortense. Z tajemniczą miną cichutko powiedziała jej na ucho, że czuje, iż w tym domu jest coś dziwnego. Jakby ściany szeptały, nie uważa pani? Hortense zrobiła wielkie oczy i bez ogródek wrzasnęła, że ta dziewczyna ma nierówno pod sufitem, niech się idzie leczyć, biedaczka! Simone! Nie zostawiaj mnie z tą świruską! Ma się za Joannę d'Arc, słyszy głosy! Muriel jednak nie dała się zbić z pantafelów. Przysunęła się jeszcze bliżej. Niechże pani posłucha, to brzmi, jakby mury śpiewały, naprawdę. Drżącymi głosami, z gardłowym „r”...

*Czy słyszysz te śpiewy
upajające?
Na kwietnych łodziach
pary tańczące
ślubują sobie...*

Oczy Hortense pojaśniały. I podchwyciła zaraz melodię i słowa refrenu:

*Chińskie noce,
słodkie noce,
rrrom antyczn eee,
odurzają,
zachwycają,
są liryczn eee...*

Przypomniała sobie słowa całej piosenki, od początku do końca. Kiedy śpiewała, Muriel zrobiła jej zastrzyk. Swój pierwszy zastrzyk. Był to niejako chrzest bojowy. Hortense nie przerwała śpiewu, nawet gdy igła weszła jej w ciało. Tym razem nie było krzyków ani płaczu, ani krwiaka

na udzie. Poszło idealnie. Po wszystkim Simone zaklaskała. Prawdziwy triumf.

Zaraz potem Lutek i Lucuś zabrali Muriel, by pokazać jej dom.

Bez wahania wybrała sobie w innym skrzydle pokój, który stał pusty, odkąd przed dwudziestu laty pomarli rodzice Ferdinanda. Był mały i domagał się odświeżenia, lecz przypominał jej dom pradziadków, w których spędzała wakacje, kiedy była mała. Panował w nim taki sam nastrój, taki sam zapach. Mieszanka woni kurzu, wilgoci, starych papierów i... mysich sików! Chłopcy się ubawili, kiedy im to powiedziała. Ferdinand i Marceline znacznie mniej. Niechętnie wciągnęli nosem powietrze, wymienili spojrzenia. Bez wątpienia trzeba będzie wciągnąć do współpracy obydwie koty, później umyć podłogi szarym mydłem, splukać octem, posypać sodą oczyszczoną... Oczywiście licząc, że to wystarczy. Muriel zwiedzała dalej. Otworzywszy szufladę w kredensie, odkryła kolekcję breloczków do kluczy, prawdziwych korków (w tym część nadziana na szpikulce służące do jedzenia ślimaków), starych nadpalonych świeczek urodzinowych, małych połówkach czarno-białych zdjęć z ząbkowanymi brzegami. Najbardziej ją zdziwiły pocztówki przyklejone do przeszklonych drzwiczek kredensu. Miała wrażenie, że już to gdzieś widziała. Były takie same jak u jej pradziadków? Widokówki z miejsc, gdzie na pewno nigdy nie postawili nogi. Chociaż chętnie by zobaczyli Biarritz i eleganckie letniczki pozujące na plaży Milady, Mont Saint-Michel we mgle, Promenadę Anglików w Nicei, karnawał w tym mieście i niebiesciutkie morze albo zamki nad Loarą...

Siedząc przy stole w kuchni, omawiają teraz dalsze postępowanie.

Muriel spróbuje przekonać właściciela swojego pokoju, by pozwolił jej zwolnić go wcześniej, niż się umówili, i zwrócił jej czynsz za ostatni tydzień. Jeśli się zgodzi, będzie mogła się przenieść już następnego dnia, w sobotę. W każdym razie jakkolwiek się to pouklada, tymczasem będzie przyjeżdżała rano i wieczorem, by zrobić Hortense zastrzyk.

To naprawdę bardzo ekscytujące, Muriel wciąż nie może uwierzyć. Naraz wpada w panikę: jutro, w sobotę, będzie problem! Ma pracować w restauracji, skończy grubo po północy, nie da rady przyjechać na wieczorny zastrzyk. Guy mówi żartobliwie, że zna szefową i spróbuje z nią to załatwić. Bierze telefon, dzwoni do Mireille, wyjaśnia co i jak. Mireille marudzi trochę, waha się dla zasady. Obliczywszy jednak, że droga w tę i z powrotem zajmie nie więcej niż pół godziny, i wiedząc, że pierwsi goście zjawią się nie wcześniej jak o ósmej, zgadza się w końcu, niech ci będzie, wujku, wyjątkowo. Muriel oddycha z ulgą.

Przed odejściem uprzedza, że jej rzeczy mieszczą się w jednej walizce, plecaku i dwóch kartonach. Spakuje się raz-dwa. Guy jest zawiedziony. Nie będzie musiał tym razem wyprowadzać traktora z przyczepą. Będzie mu tego brakowało. Podskoków na wybojach, twardych metalowych siedzeń, zapachu paliwa... Szkoda, bardzo to lubi.

43

Kocie imiona

Po kolacji Guy poszedł położyć chłopców spać. Lucuś poprosił, aby mu poczytał ulubioną książeczkę, lecz po kilku stronach zasnął jak kamień. Lutek znał tę bajkę na pamięć, nie miał ochoty słuchać jej znowu. Zresztą nie potrzebował, żeby ktoś czytał mu książeczki, był dość duży, aby robić to samodzielnie, no i potrafił teraz zasnąć bez usypiania. Kiedy Guy już zamykał drzwi, Lutek zapytał, czy mógłby iść z nim jutro rano na cmentarz. Guya zaskoczyła ta prośba. Na ogół udawał się tam około siódmej rano, jeszcze po ciemku, pora nie była zbyt stosowna, żeby wlec ze sobą dziecko. Odparł więc, że pójdą tam razem, obiecuje, ale... kiedy indziej. Lutek nalegał, tłumaczył, że to bardzo ważne, koniecznie musi tam iść, to jakby obietnica, której musi dotrzymać. Poruszony Guy bez większego zastanowienia zaproponował, że zabierze go w niedzielę.

Wieczór zapowiadał się pogodny, Ferdinand, Marcelline i Simone rozsiedli się na ławce na dworze z kawą i ziółkami. Kiedy Guy do nich dołączył, naradzili się, co należy zrobić w przyszłym mieszkanku Muriel: wymienić materac, bo ten ma już swoje lata, wstawić napełnioną butlę z gazem do kuchenki i podgrzewacza wody, naprawić lampkę nocną i wymienić neonówkę w kuchni, na nowo uszczelnić brzegi brodziku prysznic i zlewu, uprać zasłonki... Sporo. Musieli się zorganizować, by zdążyć ze wszystkim. Zwłaszcza gdyby dziewczyna miała się przenieść do nich nazajutrz, na co liczyli. Westchnęli wszyscy razem. Simone dlatego, że ulżyło jej, iż Hortense tak łatwo zaakceptowała Muriel, a Ferdinand, Marcelline i Guy z zadowolenia, że wszyscy troje wpadli na ten sam pomysł. Może był to znak. W każdym razie Muriel wyglądała na sympatyczną i kompetentną młodą kobietę, a reszta dopiero się okaże. Zasadniczo nie było jednak powodu, aby się nie udało. Simone, bardziej zmęczona od trójki dużo młodszych towarzyszy, wstała z ławki. Zapowiedziała, że zależy jej na sprawdzeniu całej elektryki. To jej działka, tak przynajmniej było przez ostatnie siedemdziesiąt lat, nie wolno o tym zapominać, rozumiano, smarkacze? Chórem odpowiedzieli, że jeśli ktoś się nazywa Simone Lumière, w życiu nie da się tego zapomnieć. Sprawilo jej to przyjemność, tak że z uśmiechem poszła do siebie, aby się położyć. Potem z ławki podniósł się Guy. Ale nie zamierzał iść spać, tylko część nocy przepracować w swoim warsztacie. Miał kolejny rower do zreperowania i tego wieczoru wpadł na pomysł, że podaruje go tej małej. Przyda jej się, będzie

nim dojeżdżała do szkoły. Ferdinand z Marceline zgodzili się z nim. Świetnie, jeśli dziewczyna będzie mogła sama się poruszać po okolicy. Guy poszedł po żarzące się polana do żarnika, pożegnał przyjaciół, wracając, i szybko przeszedł przez podwórko. Berta z łbem opartym na kolanach Marceline odprowadzała go wzrokiem, a kiedy już-już miał zamknąć za sobą drzwi stodoły, ruszyła naprzód wielkimi susami i zdążyła przez nie wbiec. Marceline i Ferdinand siedzieli na ławce bez słowa. Rozkoszując się przyjemnością przebywania sam na sam. Nie trwało to jednak długo, nagle bowiem poderwali się na nogi, przypomniawszy sobie o czymś pilnym: o myszach! Marceline poszła poszukać swojego starego kocura, a Ferdinand Szamala. I każde ze swoim kotem pod pachą przyszło do starego mieszkania. Odór mysiego moczu uderzył ich w nozdrza. Koty zarusko zrozumiały, czego się od nich oczekuje, nie trzeba było im tego rysować. Wyrwały się ludziom i zaraz wzięły się do roboty.

Oprócz zapachu uderzył ich panujący w mieszkaniu chłód. Przez dwadzieścia kolejnych zim nie rozpalono tu najmniejszego ognia, nic więc dziwnego, że atmosfera była isticie arktyczna. Toteż mimo późnej pory postanowili oczyścić przewody kominka i napalić w kuchence na drewno. Trzeba będzie grzać co najmniej trzy doby, zanim temperatura murów się podniesie. Można zacząć od zaraz.

Koło północy, gdy uporali się z tymi pracami, wrócili do kuchni, by umyć ręce. Długo je szorowali nad zlewem, aby się pozbyć brudu, który wżarł się w skórę. Wcale się nie spieszyli. Żeby dłużej stać obok siebie. Mieli ochotę jeszcze pogawędzić, pogadać o wszystkim i o niczym, o rzeczach bez znaczenia, na przykład o jutrzejszym obiedzie albo o imionach swoich kotów...

– Dlaczego Szamalo? – spytała Marceline.

– To nie mój pomysł. Lulki takie wybrali. Uważali, że jest taki delikatny, taki mięciutki, że dali mu imię od tych cukrowych pianek Haribo, Chamallows.

– Fajnie. Brzmi dość męsko, ale właśnie to jest śmieszne.

– Co jest śmieszne?

– Szamalo to mały oszust. A raczej Szamalka oszustka.

– Nie rozumiem...

– Tak, tak, Ferdinandzie, zapewniam, że to prawda.

– Ale...

W pierwszej chwili pomyślał, że Marceline się myli. Bo przecież by zauważył, gdyby kociak nie miał... I tu naszła go wątpliwość. Na próżno szperał w pamięci – nie przypominał sobie, by w okolicach ogona swojego kota widział pod brzuszkiem dwie zwisające kuleczki. Aj!... Zaczął przemyślać, co powie chłopcom, jak wytłumaczy taką pomyłkę w określeniu płci. Niejakim usprawiedliwieniem mogło być to, że nigdy dotąd nie miał kota... Marceline zaczęła się śmiać na widok jego miny. Ferdinand się rozluźnił. Szamalo oszust, tak, to jest śmieszne. I owszem,

trudno uznać Ferdinanda za specja od określenia płci kotów. Psów zresztą też. Śmiał się z siebie na wspomnienie spotkania z Bertą na drodze owego pamiętnego dnia, gdy u Marceline uchodził gaz. Mówił do niej jak do psa. Wyraźnie przypominał sobie, że zawołał wtedy: „A dokąd to się wybierasz, chłopie? Założę się, że na baby, co?”. Musiał przyznać, że do tych spraw nie ma dobrego oka. Z czym Marceline zasadniczo się zgadzała.

– Pani kot też ma specyficzne imię. Mo-że to po polsku?

– Tak.

– Coś znaczy?

– Tak.

– Co?

– Może.

– Czyli Mo-że znaczy może?

– Tak.

– Aha.

Logika nakazywała, by teraz spytał, dlaczego „może”. Musiałaby mu to wyjaśnić, wdać się w szczegóły, mówić o przeszłości. Wystraszyła się tego. Aby zakończyć temat, ziewnęła rozdzierająco, po czym tłumacząc się, że nagle i niespodziewanie ogarnęło ją potworne zmęczenie, pożegnała się, życząc mu dobrej nocy, i uciekła do siebie. A on został sam oniemiały na środku kuchni. Ze ścierką w ręce i niemiłym uczuciem, że odrzuciła go jak starą skarpetkę. Tkwił tak, aż po chwili usłyszał w korytarzu jej zbliżające się ciche kroki. Zatrzymała się w drzwiach i zduszonym głosem rzekła:

– Danusia wybrała takie imię dla kota. Z Oleńką. To moje córki. Podobało im się.

Ferdinand zdumiał się, pierwszy raz bowiem Marceline mówiła o swoich dzieciach. Spuścił wzrok, mruczając, że faktycznie, imię bardzo ładnie brzmi, i skupił się na paskach na ścierce, w którą od kilku minut wycierał ręce.

Kiedy kładli się spać, dochodziła druga w nocy. Od dawna nie zasiedzieli się do tak późna, lecz dobrze im to zrobiło. Długo rozmawiali. Ferdinand o swoich dwóch synach, a Marceline o córkach bliźniaczkach. Dużo się o sobie nawzajem dowiedzieli. Ona o tym, że Ferdinand żałuje, iż nie był lepszym ojcem, a on o tym, że Marceline prawie siedem lat wcześniej straciła obie córki w wypadku. Kiedy to usłyszał, serce skoczyło mu w piersi. O mało odruchowo nie chwycił jej za rękę. W porę się jednak pohamował.

A potem rozmawiali nie tylko o smutnych rzeczach. Nawet się pośmiali. Zwłaszcza gdy Ferdinand zaczął się zastanawiać, co rano powie chłopcom, by wytłumaczyć, że teraz mają Szamalkę. Że tamtego dnia był bez okularów? Dobrze wiedzą, że nigdy ich nie nosi. Że za dużo

wypil? Nędzny argument, mógłby znaleźć lepszy, skrzywiła się Marceline. OK, ale jedno jest pewne: nie on jeden się pomylił. Jest takich więcej. O, choćby Raymond i Mine, specjaliści w tej materii! Dalej Alain, Fergus i Barbara. I jeszcze Marie, Marco i Loubé, poza tym Christian i Moïra... Podał przykłady: Juki okazał się Juką, Riton powinien być nazywać się Rita, Puszek skończył jako Pusia, a jeszcze dwie kotki Sauvage'ów – nagle się okazało, że jedna ma jajeczka! Ależ było śmiechu, kiedy weterynarz im powiedział...

I takie tam bla, bla, bla.

Długo, długo rozmawiali.

Do drugiej w nocy.

Rozstając się przy schodach, chętnie by się uściśli na pożegnanie. Bez żadnych podtekstów, rzecz jasna. Ale nie mieli śmiałości.

Następnym razem Mo-że?

44 Lulki kucharzą

W sobotni poranek Lutek i Lucuś obudzili się głodni jak wilki. Zeszli do kuchni, gdzie nie zastali nikogo. Ani Berty, która by ich radośnie powitała, ani żadnego kota. Włożyli gumki i na piżamy nieprzemakalne kurtki, o wiele za duże na nich, i wyszli na dwór sprawdzić, czy ktoś tam jest. Wszyscy jednak zniknęli, nawet osiołek. Było wściekle zimno, czym prędzej zatem pobierali jajka w kurniku, z dawnej mleczarni wzięli słoik miodu, a z piwniczki trochę orzechów i uciekli do domu, zanim zamienili się w sopolki.

Lutek wyjął duży nóż, aby pokroić chleb, Lucuś zaś, klęcząc na krześle, wybił jajka do salaterki. Roztrzepali je widelcem, po czym maczali kromki chleba w lepkiej masie, przytrzymując je, aby dobrze nasiąkły. Następnie Lucuś przystąpił do rozbijania orzechów młotkiem, a Lutek wyjął z szafki dużą patelnię. Problemem było zapalenie ognia. Kiedy kucharzyli w domu, ogniem zajmował się Roland albo Mireille. Teraz jednak Lutek musiał poradzić sobie sam. Sprawdził kilkakrotnie zapalarkę gazu, robiła klik-klik, kiedy wgniatał przycisk. Z zapalkami mocno by się zastanawiał, ale tu nie było płomienia, łatwizna, nie groziło mu, że się sparzy. Gdy poczuł się gotów, nabrał powietrza do płuc i... szybkoitko odkręcił gaz, pfff, wgniótł przycisk, klik, ogień zapłonął, fuch, a Lutek odetchnął, ocierając czoło. Aż mu się zrobiło gorąco. Oczywiście na Lucusiu wielkie wrażenie wywarło opanowanie starszego brata. Obliczył w myślach, że musi poczekać jeszcze dwa lata, zanim skończy osiem lat i tak jak on będzie mógł zapalać ogień. Długo, ale trudno, już przywykł do czekania. W życiu stale trzeba czekać. Na urodziny, na Gwiazdkę, na wakacje...

Na usmażone tosty dali trochę miodu i pokruszonych orzechów i życzyli sobie smacznego. Zdaniem Lucusia były dobre, tylko trochę niedosolone. Lutek zgodził się z nim, posolił lekko tosty. Dokończyli jeść swoją porcję, przygotowali następną dla dwóch osób i zapukali do drzwi sióstr Lumière. Hortense na ich widok krzyknęła z radości, wyciągnęła ich ze dwadzieścia razy. Musieli powycierać policzki rękawem, tak ich obśliniła. Aby skosztować ich specjału, kazała sobie podać protezę. Moczyła się w szklance z wodą tuż obok, na szafce nocnej. Na oczach oniemiałych chłopców Simone wyjęła zęby, oplukała, nałożyła na spód różowego kleju i podała protezę Hortense, która ledwie ją założyła, uśmiechnęła się szeroko.

Obydwie zajały z apetytem, zachwycając się przy każdym kęsie talentami kulinarnymi

chłopców. A oni byli w siódmym niebie, słuchając tyłu pochwał.

Potem Hortense miała ochotę pograć w karty, więc zaproponowali „siedem rodzin”, ona jednak wolała „wojnę”. Nim zaczęli, Simone poprosiła, aby każdy wybrał sobie kolor włóczki, z której zrobi im na drutach swetry. Na Gwiazdkę, dodała, puszczać do nich oko. Wystraszony Lucus łokciem szturchnął brata w żebra. Prezenty to ma być niespodzianka, inaczej nie ma frajdy! Lutek wzruszył ramionami również zde gustowany. I po zastanowieniu nachylił się do młodszego brata, by szepnąć mu na ucho, że jego zdaniem zawsze tak jest ze staruszkami – nie potrafią do chować sekretu. Szkoda, pomyślał Lucus. I obiecał sobie, że jak on będzie stary, nigdy czegoś takiego nie zrobi...

Pograli w wojnę. Tak się złożyło, że oni wygrali kolejno pierwsze dwie partyjki, co wprawiło Hortense w bardzo zły humor. Wobec tego kiedy zaczęła oszukiwać, woleli udawać, że nic nie widzą, tak że każdą następną partię wygrywała. I na twarz wrócił jej uśmiech. Co było zdecydowanie przyjemniejsze.

Zatrzymać wskazówki

Obudziwszy się w sobotę o świtaniu, Muriel ledwie się powstrzymała przed zapukaniem do człowieka, od którego wynajmowała pokój. Mimo że umierała z chęci, aby to zrobić. W oczekiwaniu na przyzwoitszą porę spakowała swoje rzeczy. Kiedy w końcu do niego poszła, okazało się, że go już nie ma. Była mocno zawiedziona, ale trudno, zostawiła mu kartkę. Po powrocie do pokoju nie miała nic więcej do roboty, wszystko leżało w walizce, plecaku i dwóch kartonach, a nie miała ochoty wyciągać książek i zeszytów, żeby się pouczyć, zaczęła więc krążyć w kółko. Jak lwica w klatce.

Do wpół do dwunastej właściciel nie zadzwonił, zaczynała ją ogarniać przygnębienie, ale nie mogła dłużej czekać, była umówiona, poszła więc na targ. Marceline prawie skończyła się pakować. Skrzynki z warzywami, konfitury i miód były już na wózku, pozostało jej tylko poskładać plandekę. Muriel zaoferowała się z pomocą, lecz Marceline poradziła, aby najpierw się przedstawiła Korneliuszowi. To bardzo nietuzinkowy osiołek, jest w stanie odmówić wzięcia kogoś, kto go zignorował. Podała jej kawałek marchewki, wyjaśniając, że to może pomóc go ugłaskać, w razie gdyby był nie w sosie. Muriel spojrzała na nią okrągłymi oczami. Kompletnie porąbane, stwierdziła w duchu, nie śmiała jednak skomentować tego na głos, a tym bardziej odmówić. Sprawdziwszy, że nikt na nią nie patrzy, podeszła do zwierzęcia. Kilka sekund się wahała, czuła się bowiem jak kretynka, mając powiedzieć do osła: „Cześć, jestem Muriel, będzie osioł łaskaw powieźć mnie na wózku?”. Ale zrobiła to. Oczywiście po cichu. Korneliusz popatrzył na nią jednym okiem, obwąchał ją całą, potem dokładniej jej dłoń, przyjął marchewkę, którą mu podawała, i schrupał ją, kiwając łbem z góry na dół. Zachwycona Muriel nie mogła się powstrzymać – rzuciła mu się na szyję, dziękując. Nie miała dotąd pojęcia, że osły tak świetnie rozumieją ludzką mowę! Oznajmiła nowinę Marceline, która rzekła: „Uf”.

Oczywiście Hortense strasznie była zawiedziona, kiedy się dowiedziała, że Muriel pójdzie zaraz po zastrzyku. I donośnie dała temu wyraz. Potupałaby nawet, gdyby tylko mogła. Gorąco pragnęła, by dłużej została z nią mała Muriel, młodość, był to balsam na jej duszę, haust tlenu, truskawki ze śmietaną w zimie. W kontakcie z dziećmi odzyskuje ikrę, rozumiesz to, Simone? Mam powyżej uszu starców! Nie lubię ich, to ponuraki, w dodatku śmierdzą! Simone wzniosła oczy do nieba, mamrocąc: „No i znowu odplywa”. Muriel jednak dała znak, że nic nie szkodzi,

ona przywykła. W jej rodzinie były podobne przypadki.

Drugi zastrzyk.

Miała przed nim większą treść niż za pierwszym razem. To ją wytrąciło z równowagi. Nagle szczególnie się skupiła na samych przygotowaniach. Przypomniała sobie punkt po punkcie i w właściwej kolejności wszystkie nakazy higieny, i to używając właściwej terminologii i w ogóle. Jednakże bała się samego zastrzyku rzecz jasna. A jeśli tym razem jej się nie uda? Jeżeli wkluwając się, natrafi na nerw albo na naczynie krwionośne? Dla uspokojenia siebie i Hortense przy okazji zaczęła nucić.

A bezkonkurencyjna Hortense zaraz zgadła, o którą piosenkę chodzi. I zaczęła zawodzić:

*Gdyby na tarczy, co życia mierzy czaaaas,
wskazówki jakoś dało się zatrzymaaać,
zniknąłby strach dręczący ciągle naaas,
że nam wybije rozstania godzinaaa...*

Kiedy Muriel poszła, Simone usiadła na łóżku i w duecie dokończyły zwrotkę. Wymawiając toczono „r”, drżącymi głosami, z oczami wilgotnymi od łez.

*Gdy życie całe minie nam w miłooości...
Gdy nam upłynie bez cienia zazdrooości...
Odrzuć zmartwienie i nie myśl wcale, że
kiedyś niestety przyjdzie nam rozstać się.
Pełna nadziei ma być każda godzinaaa,
skoro wskazówek nie da się zatrzymać...*

Hortense pogładziła Simone po dłoni. Po czym jakby odżyła: usiadła oparta na poduszkach, wytarła nos w rękaw szlafroka i dziarsko zażądała dużego worka włóczki. Miała kłopot z wybraniem, która najlepiej nadawałaby się na szalik. Zdecydowała w końcu, że zrobi pstrokaty. Takie są modne, małej będzie w nim dobrze, nie? Jak myślisz, Simone? Potulna Simone przytaknęła, że istotnie, to dobry pomysł. Nabrała oczka na druty, aby ułatwić jej zadanie. Hortense dała radę przerobić trzy rządki i padła na robótkę zmożona takim wysiłkiem i tyloma emocjami.

46 Rzęchy

Koty najwyraźniej harowały całą noc i przedpołudnie, polując na myszy, ponieważ gdy Marceline po lunchu otworzyła drzwi przysłego mieszkania Muriel, leżały każdy na swoim krześle przy piecu, brzuszki miały zaokrąglone i żaden nie raczył nawet unieść łebka na powitanie. Zaczęła od zmycia podłogi w łazience, potem w kuchni, lecz zabierając się za pokój, spostrzegła, że stara tapeta odłazi całymi płatami od ściany. Straszna nędza. Pogadała z Ferdinandem i zgodzili się, że nie można tego tak zostawić, wszystko więc zerwali. Następnie Marceline przygotowała z chłopcami farbę: dwa kilo purée ziemniaczanego w proszku, dwa kilo kredy, trochę krochmalu, żeby wszystko się związało, i woda. Jeśli chodzi o kolor, myśleli o zielonym. Uzyskaliby barwnik po wygotowaniu liści estragonu, w dodatku o miłym zapachu, lecz o tej porze roku było to niemożliwe. Zdecydowali się zatem na cegłę wypaloną z gliny. Umieścili jedną w worku i młotkiem utłukli ją na proszek, który dodali do mieszanki. Farba zrobiła się bladoróżowa, Lutek uznał, że jest idealna. Zwłaszcza do pokoju dziewczyny...

Po malowaniu chłopcy pobiegli do stodoły pobawić się w chowanego. W ciemnym kącie trafili tam na dwa stare rowery ułożone pod sianem i pokryte ptasimi odchodami. Trudno się dziwić, skoro dokładnie nad nimi jaskółki uwiły sobie gniazda. Postawili rowery i stwierdzili, że są w sam raz dla nich, co ich zdumiało. Przechodzący akurat Ferdinand wyjaśnił im, że należały do ich ojca i wujka Lionela, kiedy byli mali. Lucuś zdębiał. Zerknął na Lutka, sprawdzając jego reakcję – brat był równie poruszony jak on, co go uspokoiło. Bo mimo wszystko trudno było uwierzyć, że ich tata był kiedyś mały. I w dodatku że miał brata, o którym nigdy dotąd nie słyszeli, to naprawdę było niesamowite. Widząc ich niedowierzające miny, Ferdinand znalazł jedno rozwiązanie: pokazać im fotografię. Przedstawiała dwóch małych chłopców na rowerach: jeden miał pyzate policzki i buzię wykrzywioną w uśmiechu, drugi, trochę większy i szczuplejszy, patrzył w bok, jakby go nudziło, że ktoś robi mu zdjęcie. Komentarz Ferdinanda: mniejszy z głupim uśmiechem to ich tata, kiedy miał siedem lat, a ten, który się boczy, to ich wujek Lionel, ośmioletni. Chłopcy nie poznali ojca, ma się rozumieć, toteż wcale nie poczuli się przekonani. Tyle że Lutek przeczytał na głos podpis pod spodem: „Roland i Lionel, Boże Narodzenie 1974”. Dokładnie obejrzał fotografię – rowery były tego samego koloru co te, które znaleźli. I zaczął dopuszczać możliwość, że w sumie ta historia to żadna bujda.

Zobaczywszy ich w swoim warsztacie, Guy ze śmiechem zapytał, co zamierzają zrobić z tymi starymi przerdzewiałymi rękami. Lucuś ostro zaprotestował: przede wszystkim to żadne ręce! Żebyś wiedział, to rowery taty i wujka Lionela, jak byli mali! Guy przyznał, że się pomylił, a Lucuś wyjaśnił mu z powagą, że właśnie podjął decyzję: postanowił, że nauczy się jeździć na prawdziwym rowerze. Trzykołówka jest dla maluchów. No i chce się uczyć na tym. W porządku. A Lutek? Jemu właściwie jest obojętne, ma superowy rower górski. Ale solidarnie poparł brata. Poza tym niegłupio by było mieć drugi rower tutaj, na wsi, taki, którego nie bałby się zniszczyć na błotnistych polnych drogach. Guy zatem zbadał dwa stare... pojazdy. Przywrócenie ich do stanu używalności będzie wymagało dużo pracy przy efekcie raczej przeciętnym. Rowery były ciężkie, bez przerutek, wszystkie części nadawały się do wymiany. Ale co tam, w nocy skończył odnawiać rower dla Muriel, miał teraz czas.

Na początek dał dzieciom maseczki ochronne i rękawice. Chłopcom się spodobała taka przebieranka. Guy chciał, żeby sami pociągnęli odrzewiaczem metalowe części, a nie wdychali przy tym oparów i nie pobrudzili się. Następnie pokazał im, jak zdjąć opony specjalną łyżką. Szukanie dziur w dętkach woleli przeprowadzić w kuchni, bo w warsztacie było zimno jak w psiarni. Napompowali dętki, po czym włożyli je do miski z wodą, a kiedy nacisnęli, pojawiły się bąbelki powietrza. Śmieszne, stwierdzili. Lucuś zaznaczył długopisem miejsca, gdzie były dziurki, aby zakleić je później łatkami.

Przypomnienie

Pod wieczór Lutek zaczął się niepokoić. Zastanawiał się, co zrobić, żeby sprawdzić, czy aktualna jest jego wyprawa z Guyem w niedzielę rano. Miał tylko osiem lat, ale już zdążył zaznać kilku dużych rozczarowań. Nie miał zaufania do dorosłych, z doświadczenia wiedząc, że są zdolni do wszystkiego. Do zmiany zdania bez uprzedzenia, do wycofania się z obietnicy, nie podając powodu, do kantowania, nabierania, wykorzystywania dzieci – niekoniecznie złośliwie, to prawda, ale tak, jakby to było coś normalnego. Bezkarne i bez cienia wyrzutów sumienia. Wolał zatem się zabezpieczyć, wybadać wujka dyskretnie, urobić go. „Wujku, czy jak byleś mały, już były budziki?” Albo: „Czy na wsi mieliście tylko koguty, które robiły kukuryku i budziły ludzi?”. Ale Guy szepnął mu na ucho: „Nie martw się, stary, przyjdę po ciebie o świcie. A jak coś powiem, dotrzymuję słowa, koniec, kropka”.

Nazajutrz rano Guy obudził Lutka zgodnie z obietnicą. Było jeszcze ciemno. Po cichutku zeszli na dół, ubrali się ciepło i wymknęli na dwór. Za rowerem Guya, opartym na nóżce, stał znaleziony w stodole ofajdany rower, który kiedyś należał do nieznanego brata ojca Lutka. Teraz był czysty i gotów do jazdy.

Pedałowali obok siebie, nie odzywając się słowem. Pęd zimnego powietrza wyciskał im łzy z oczu, zaczerwienił policzki, zmroził wargi.

Kiedy dotarli na miejsce, położyli rowery w rowie, obciągnęli kurtki, poprawili czapki, wytarli usmarkane nosy. Chcieli jako tako wyglądać. Następnie Guy dał znak Lutkowi, by szedł za nim po cichu. Ruszyli wzdłuż muru, aż dotarli do miejsca, gdzie Guy ukrył w trawie drabinę, którą przystawił teraz i jeden po drugim wspięli się na nią, by wejść na cmentarz.

Lutek poprosił, aby Guy poczekał na niego w pewnym oddaleniu. Świecąc sobie latarką, dokładnie zbadał grobowiec Gaby, lecz nie znalazł żadnej szczeliny, żadnej szpary w kamieniu. Ostatecznie poskładaną na ośmioro kartkę wcisnął do ziemi pod różą posadzoną przy grobie.

Oto treść nowego listu do Gaby (bez błędów ortograficznych, ma się rozumieć):

Kochana Ciociu Gaby,

piszę, żeby Ci powiedzieć, że co rano mocno myślę o swoich snach i wiem, że ani razu mnie nie odwiedziłaś. Smutno mi, że wolisz sny Lucusia i pływasz z nim w morzu razem z dużymi rybami. Przypominam, że to ja Cię prosiłem o te sny, to nie był pomysł Lucusia. W dodatku taki

sen bardzo by mi się podobał, bo uwielbiam pływać pod wodą na basenie, jestem najlepszy. Teraz mnie strasznie korci, by powiedzieć Lucusiowi, że jest głupi. Ale jeśli tak powiem, on się popłaczę i naskarzy mamie. Ryczy z byle powodu, co mnie wkurza. Już Ci pisałem w poprzednim liście, że nie przejmuję się brzydkimi słowami, stale ich używam. Może gdybyś przyszła do mnie we śnie, spróbowałbym więcej tak nie mówić. Byłoby to megatrudne. Ale mógłbym spróbować, gdybyś chciała.

Fajnie jest tam, gdzie teraz jesteś? Tutaj pogoda barowa (znaczy, że zimno). Niedługo Gwiazdka, mam nadzieję, że dostaniemy kupę prezentów. Może już wiesz, co tutaj słychać. Jeśli nie, napiszę Ci. Mireille i Roland niedługo się rozwodzą. Wujek Guy już się przyzwyczaił, że Cię nie ma, ale dalej nie śpi w nocy i bez przerwy naprawia rowery. Ferdinand, coś mi się zdaje, chciałby pocałować Marceline, ale nie może się zdecydować. No i jeszcze rzecz, która Cię nie ucieszy: Twoje drzewko cytrynowe uschło. Wujek Guy za długo go nie podlewał. No. Mam nadzieję, że niedługo przyjdiesz do mnie we śnie.

Podpisano: Ludovic,

Twój wnuczek, który Cię kocha mimo wszystko.

Po powrocie do domu Lutek poszedł na górę obudzić Lucusia. Zrobili sobie kanapki i dwa duże kubki czekolady, później zajrzeli do Hortense. Zaproponowali, żeby pograć w karty. Wybrała garibaldikę. Każdy z chłopców wygrał po dwie partyjki, co bardzo ją zirytowało. Wobec tego potem udawali, że nie widzą, gdy Hortense zaczęła oszukiwać. Uśmiech wrócił jej na twarz, a Simone dała chłopcom cukierków.

Później poszli na grzyby z Ferdinandem. Na kurtki musieli włożyć kamizelki fluorescencyjne, w razie gdyby się natknęli na myśliwych. To obowiązkowe, w tym sezonie jest dużo myśliwych, może być niebezpiecznie. Głośno rozmawiali i śpiewali w trakcie wędrówki przez las, aby ktoś ich nie wziął za bażanty albo dziki. Chociaż robili tyle hałasu, zobaczyli sarnę i dwa zające. Nie znaleźli natomiast ani jednego grzyba. Ferdinand wyrzekał, że ktoś musiał odkryć jego borowikowe miejsce i zdążył ich ubiec. Wrócili do domu jak niepyśni.

Po południu, ponieważ mocno padało, obejrzeni film. Zwykle Ferdinand bierze płyty DVD z wypożyczalni albo od znajomych, tę jednak kupił, bo film bardzo mu się podoba. Nosi tytuł *Oceany* i oczywiście pojawiają się w nim wieloryby i delfiny. Kiedy go oglądali, Lucus przypomniał sobie nagle, że w nocy miał znowu ten sam sen co wcześniej. Ten, w którym pływa z Gaby i dużymi rybami. Rozpoznał je na filmie, to one! Lutek się zdenerwował i zwyzywał go od głąbów. No naprawdę, wszyscy przecież wiedzą, że delfiny to nie są duże ryby, tylko ssaki, jak ludzie! Ferdinand go ucieszył – sam nie był tego taki pewien...

Następnie odwiedzili Marceline w jej pokoju. Otworzyli futerał z wiolonczelą, pociągnęli smyczkiem po strunach, ale wydobyło się z nich tylko niemile skrzypienie. Poprosili, aby coś im

zagrała, sami usadowili się na łóżku. Kiedy rozległy się pierwsze dźwięki, otwarli buzie z wrażenia. Melodia słodko brzmiała w uszach, wprawiała w dreszcz skórę na brzuchu, laskotała wszędzie, aż po czubki palców u nóg. Kiedy się skończyła, zażądali kolejnej. Marceline odmówiła, była zmęczona. Palce miała zbyt sztywne. Aby grać, powinna ćwiczyć codziennie, a od dawna tego nie robiła. Lucuś zainteresował się dlaczego, lecz nie zdążyła mu odpowiedzieć. Właśnie w tej chwili Korneliusz zapukał w szybę. Chłopcy rzucili się do okna, otworzyli je, zaczęli pieścić osiołka. A on kiwał głową na znak, że jest zadowolony.

48

Separacja

No. Lulki spędzili superowy weekend. Dlatego oczywiście w niedzielę wieczór, kiedy wrócili do domu, mieli twarde ładowanie. Mireille czekała na nich przed domem, miała im coś ważnego do zakomunikowania. Widząc jej minę, od razu wszystko zrozumieli. Między nią a Rolandem koniec, dno, mogiła. Postanowili się rozstać. W efekcie ona się przeprowadza z nimi oboma. W krótkich abugach. To znaczy natychmiast. Już zaczęła ładować rzeczy do samochodu, musząc jej pomóc z resztą. Nowina ta, choć nie była całkiem niespodziewana, trochę ich mimo wszystko zażyła. Guy, który ich odwiózł, także był zaskoczony. We trzech stali przed nią zbaraniałi, póki Lucus nie rozryczał się w głos. Przytuliła go na pocieszenie i szlochali sobie w duecie. W tym czasie Guy załadował torby do samochodu, a Lutek zajął do ojca w kuchni. Roland siedział w kącie na podłodze. Lutka aż brzuch rozboleł, kiedy go zobaczył porzuconego jak... dziurawy stary worek ziemniaków. Podszedł, wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać, ale z powodu ciężaru nie ruszył go nawet o milimetr, ba! padł na niego. Rozśmieszyło ich to obu. Siedzieli, trzymając się nawzajem w objęciach, póki nie przestali się śmiać. A nawet jeszcze chwilę potem.

Mireille musiała pertraktować.

Stary dom wujka Guya i cioci Gaby był niedaleko, kilka ulic dalej, nie będą musieli zmieniać szkoły, nie tracą kolegów, codziennie będą mogli odwiedzać ojca, jeśli tylko zechcą, nawet będą mogli u niego nocować w swoim pokoju, w którym nic się nie zmieni, krótko mówiąc, ta historia nie wpłynie jakoś mocno na ich życie. Uspokojeni poszli zabrać trochę zabawek, po czym wsiedli do samochodu. A Roland przed domem zrobił im pa, pa na pożegnanie.

Ululanie na smutno

Chłopcy z Mireille mieszkają w domu Guya i dobrze im tam. Szybko się pozbierali, pewne rzeczy nawet bardziej im się podobają. Jak to, że mogą sami chodzić do szkoły i wracać z niej. Mają jeszcze bliżej niż z dawnego domu z restauracją, raptem dwie ulice do przejścia. Mireille ustąpiła. Poza tym zgodziła się, żeby biegali po chleb do piekarni, co sprawia im wielką frajdę. Nie ma pojęcia, że za każdym razem kupują sobie tony cukierków, inaczej oczywiście by im zabroniła. Słodczyce fundują sobie z kieszonkowego, które daje im Roland. Ona nic o tym nie wie, to ich wspólny sekret. Zresztą i tak Roland z Mireille nie gadają ze sobą. Pracują nadal razem, bo nie mają wyboru. Ona dlatego, że nic innego nie potrafi robić, a on dlatego, że nie jest w stanie samodzielnie poprowadzić restauracji. Ale Mireille mówi, że to nie potrwa długo, ta sytuacja za bardzo jej ciąży. Marzy o tym, że znajdzie coś w całkiem innej branży. W jakiej? Tego jeszcze nie wie. W okolicy nie ma wielkiego wyboru. Toteż tymczasem dumę wiesza na haku i haruje w restauracji. Kiedy wie, że skończy późno, zabiera chłopców i zostawia ich na noc u ojca. Nie za często, nie cierpi bowiem wracać do pustego domu, to ją dołuje. Lubi sobie wypić, a to niedobrze, jeśli się zażywa antydepresanty. Po kilku kieliszkach na ogół staje przed dużym lustrem przy wejściu, przed tym, w którym może się widzieć cała, i tam płacze, mówiąc sobie, że nic jej się nie udało. Ma już dwadzieścia osiem lat, dwoje dzieci i niedługo będzie rozwódką. To koniec. Już nigdy nikogo nie spotka, jej życie uczuciowe jest skończone. Jest za stara, za głupia, a najgorsze, że ma sflaczały brzuch i obwisłe piersi. Potworność. Który facet mógłby pragnąć takiej laski?...

Dlatego właśnie bardzo nie lubi być sama wieczorem po pracy. Żeby uniknąć popijania i stawania przed lustrem, w którym może się widzieć cała. Winem zawsze ulula się na smutno. Ale z innymi alkoholami ma tak samo, próbowała. Skutek jest identyczny.

50 Solidaramol

Siostry Lumière postanowiły sprzedać swój dom. Simone miała dość zaglądania tam co tydzień, nie chciało jej się obchodzić go za każdym razem, sprawdzać, czy ktoś nie wylał okiennic i czy jakieś żyjątko nie zagnieździło się w szafach albo pod zlewem, nie życzyła sobie zbierania poczty i czytania listów z pogroźkami od bratanka. Przez to wszystko była kłębkim nerwów. Lepiej zakończyć sprawę raz na zawsze. Poza tym już się upewniły, że dobrze się czują na wsi, nie ma więc sensu trzymać domu, to tylko stwarza zbędne koszty. Simone uprzedzi listonosza. Odtąd wszystkie przesyłki ma dostarczać do domu Ferdinanda. Łącznie z tygodnikiem „Canard” co środę, prenumerują go... całe wieki?

Muriel powiedziała im o agencji nieruchomości. Bez żenady oznajmiła, że gość nie jest wrywny. Dla niej na przykład nic nie znalazł. Ewidentnie jednak sprzedaż motywuje go bardziej niż wynajem. W niecałe trzy dni już zdążył pokazać dom kilku osobom. Jedna para wygląda na szczególnie zainteresowaną, powiedział, ci ludzie już kilka razy go oglądali. Skupiali się na dawnym sklepie elektrycznym, właśnie tego rodzaju lokalu szukają – chcą w nim urządzić pracownię artystyczną. Trzeba tylko poczekać na ich ofertę. Staruszki się niecierpliwiają. Zwłaszcza Simone. Hortense w zasadzie ma to gdzieś.

Drobny bilans:

1. Mireille z chłopcami mieszka w domu Guya.
2. Daleko jeszcze do wyremontowania domu Marceline.
3. Siostry Lumière swój dom wystawiły na sprzedaż.

Pora załatwić pewne sprawy. I sporządzić rozliczenia. Oczywiście spada to na Guya. Inni jakoś nie mają głowy do planowania czy rysowania tabelki. A on to lubi, to jego bzik. Przygotował zestawienie wpływów i wydatków i zatytułował je Solidaramol. Bawi go wymyślanie nazw. Ta brzmi troszkę z polska, Marceline będzie zadowolona, to jej ojczyzna.

Starając się o jak największą sprawiedliwość, zaproponował, aby do wspólnej kasy każdy wkładał połowę miesięcznych dochodów. Wedle jego wyliczeń w zupełności wystarczy to na pokrycie kosztów prowadzenia domu. I jest kwotą znacznie mniejszą od tej, którą każde z nich wydawało, mieszkając u siebie, co bardzo ich dziwi, lecz jeszcze bardziej im się podoba. Jeśli chodzi o Ferdinanda, Guya, Simone i Hortense, sprawa jest prosta. W przypadku Marceline

inaczej podszedł do tej kwestii, ponieważ ona nie dostaje pensji ani emerytury czy renty. W sumie żaden problem, ponieważ jej udział odpowiada połowie jej plonów i przetworów: owoców, warzyw, kwiatów, jajek, miodu, konfitur, oleju orzechowego i tak dalej. Drugą połowę sprzedaje na rynku.

Po zliczeniu samych opłat za wodę, prąd, telefon, a także abonamentu za dekodery telewizyjny, podatku od nieruchomości, podatków lokalnych i ubezpieczenia różnica wyszła całkiem pokaźna. Przedtem każdy płacił to w swoim gospodarstwie, teraz wszyscy płacą tylko w jednym. Za jeden telefon, jeden podatek od nieruchomości, jedno ubezpieczenie... Oszczędności są pokaźne. Będą mogli odłożyć pieniądze, może kupić... Nie, to jeszcze za świeże, nie zdążyli się na razie zastanowić, co zrobią z całą tą kasą! Jakże to ekscytujące!

51

Zdaniem Muriel...

Muriel wprowadziła się do drugiego skrzydła domu. Rano i wieczorem przychodzi do Hortense, myje ją, kłuje, pielęgnuje. Kiedy nie pada deszcz, pomaga jej usiąść w fotelu na kółkach i jąda zaczerpnąć świeżego powietrza. Poza tym jeśli tylko ktoś potrzebuje jej pomocy, zawsze jest chętna. Ferdinand skaleczył się w rękę, rąbiąc drewno, a ona się uparła, żeby mu codziennie zmieniać opatrunek. Obiecał, że pozwoli jej zdjąć szwy, gdy nadejdzie pora. Muriel jest uszczęśliwiona. Teraz potrzebuje większej wiedzy na temat pobierania krwi. Ma skłonność do pośpiechu, bywa trochę niedelikatna i chce to zmienić. Stać się superprofesjonalistką i mieć subtelne gesty – oto jej cel. Nie chce być jak te czarownice, które opróżniały brzuch jej matki. Miały gdzieś, czy ją boli, kiedy wbijały grube igły, aby odciągnąć wodę. A jeśli się skarżyła, mówiły, że sama sobie wyhodowała marskość wątroby, że powinna była o tym pomyśleć, zanim się rozpiła! Muriel chce osiągnąć skuteczność połączoną z delikatnością, jest pewna, że to możliwe. Jeśli chodzi o pobieranie krwi, Guy zaproponował, żeby ćwiczyła na nim, jemu nie przeszkadza, nie boi się igieł i nie jest wrażliwy na ból.

Od strony praktycznej jest ekstra. Mieszkanie też super. Ma dużo przestrzeni, nie musi składać łóżka, ledwie otworzy oczy rano, aby się ubrać, ani zmywać naczyń w umywalce zaraz po jedzeniu, jeżeli chce się wysikać. Jest bardzo zadowolona. Jednego tylko jej brakuje: internetu. Strasznie to upierdliwe, kiedy chce poszukać materiałów do pracy domowej, wysłać mejle do kumpelek, poczatować w sieci czy choćby pograć w głupie gry. Żałuje, że tego nie ma. Reszta jest w porządku. Dziadki są raczej w porzo. Chociaż pomysł, żeby mieszkać razem, jest dość ekstremalny. Każdy tutaj ma charakterek, że ho, ho...

Hortense na przykład. Śmieszna babcia, a mimo wszystko czasem trudno znieść jej paskudną naturę. Z tymi jej skokami nastroju i lukami w pamięci naprawdę niekiedy wszystko idzie jak z kamienia. A jaka potrafi być wrażliwa na ból! Trzeba się nakombinować, by koło niej zrobić co należy. Chyba że uda się ją podpuścić, by śpiewała. Ha, to dopiero numer: jak zacznie śpiewać, przechodzi jej, pamięta wszystko, słowa i melodię, i uspokaja się, staje się łagodna i miła. Niesamowite. Jak tak dalej pójdzie, Muriel będzie musiała odbyć drugi staż w domu opieki, w którym jest jej prababcia, żeby poszerzyć swój repertuar piosenek. Inaczej tutaj będzie piekło!

Dalej Simone. Która nią rządzi tylko dlatego, że jest młodsza i jeszcze w formie. Wkurzająca.

A przy tym wszystko, co robi, robi dla Hortense, pobudki ma dobre, trudno jej tu cokolwiek zarzucić. Tak bardzo się boi, że ją straci, biedaczka. Kiedy ten dzień nadejdzie, ona też umrze, na bank, nic jej tu nie zatrzyma. Tak to jest, gdy przez tyle lat człowiek żyje przyklejony do drugiej osoby! Nie ma żadnego życia osobistego. Zdaniem Muriel to żalosne. W każdym razie o siebie jest spokojna, jej się to nie przytrafi, jest meganiezależna.

Następnie Guy. Przebiegły gość, ratuje rowerowe trupy i płodzi niepotrzebne rozpiski. Można by powiedzieć, że pielęgnuje swoją bezsenność jak ogródek. Z małymi rabatkami gardenii – które z uporem nazywa kameliami, to jeszcze jedna mania staruszka – i grządkami, na których sieje gabyfiolki, niezapominajki dla swojej niezapomnianej, kępkę boskiej mireille i duże kępy lulków, żeby buchnęły kolory... Nie, bez jaj, gościu jest fajny. I zarazem denerwujący z tymi swoimi bzikami. Ale Muriel strasznie lubi rower, który jej podarował. Jest jedyny w swoim rodzaju, nikomu nie wpadnie do łba, żeby go ukraść. Nawet jeśli jej się zdarzy, że zapomni założyć blokadę! Gwarancja stuprocentowa.

I oczywiście Ferdinand. Facet, który ma się za dyskretnego w tych swoich buciorach. Dobrze kryje wielką ranę, która mu przecina pierś. Nie, no, naprawdę, śmieszny jest! Robi z siebie takiego, który już niczego się nie spodziewa, statecznego sędziwego mędrca. Ale kuźwa, on ma dopiero siedemdziesiąt lat! Czy chyba bielmem mu zaszyły. Muriel uważa, że gdyby nie był taki głupi, przejrzałby i zobaczył, że jego życie wcale się jeszcze nie skończyło. Zobaczyłby...

Marceline. Najmłodszą z tej piątki, kobitkę, z którą swobodnie można pogadać. Pojmuje wszystko w pół słowa i lubi pożartować. Tyle że ciekawostka – pod powierzchownością niby to spokojną ukrywa coś jeszcze bardziej bolesnego niż inni. Udało jej się wtopić w tło mimo lekkiego obcego akcentu, wózka zaprzęzonego w osła i innych tego rodzaju rzeczy. Co nie zmienia faktu, że Muriel zawsze ma ochotę zapytać, dlaczego się tu zakopała, po co przyjechała do tej zapadłej dziury. Coś tu nie gra. Poza tym jest kompletnie stuknięta jak cała reszta. Ta jej historyjka z osłem, którego trzeba pytać, czy zawiezie gdzieś człowieka czy nie... Odlot.

Ferie świąteczne przychodzą w samą porę. Muriel wreszcie może dłużej pospać i poleniuchować po południu. Musi nadrobić niedobory snu. Przez resztę czasu pielęgnuje Hortense, powtarza materiał do szkoły, pomaga szykować posiłki. Nie ma czasu na głupoty. Poza tym Mireille zaproponowała jej pracę w restauracji: trzy wieczory i jeden lunch. Już wie, co sobie sprawi za zarobioną kasę. Ciuchy. Odkąd je regularnie, przytyła parę kilo i nie mieści się w żadnych spodniach.

Łupanie orzechów

Dopiero piąta po południu, a już jest ciemno. Lutek idzie równo z Korneliuszem z jedną ręką na jego szyi, a drugą na plecach Berty. Między nimi czuje się bezpiecznie. Może spokojnie puścić wodze wyobraźni. Został sam, jego rodziców uwięzili wrogowie, ale on z Korneliuszem i Bertą zdołali uciec, dlatego właśnie maszerują od wielu godzin, lepiej iść nocą, żeby nikt ich nie zobaczył, muszą jednak uważać, by nie hałasować, nie ma żadnego kasłania, kichania, szczekania, nawet puszczenia bąków, dla osiołka to trudna sztuka, lecz Korneliusz nie jest zwykłym osłem, wszystko pojmuje, dlatego zaciska pośladki, powstrzymuje pierdnięcia, bo dobrze zrozumiał, że to niebezpieczne, mogłoby obudzić tych złoczyńców, to by było straszne, złapałoby za strzelby i zaczęłyby do nich strzelać, żeby ich zabić, tacy są okrutni, no, już się teraz potwoornie zmęczyli, dowód: Bercie język wisi do samej ziemi, jak tak dalej pójdzie, może umrzeć z pragnienia, trzeba by znaleźć wodę, żeby ją uratować, ale nie ma już kranów z powodu wojny, wszystkie pozakręcali, to nic, znajdą rzekę, ale najpierw muszą odpocząć, tyle godzin marszu potrafi naprawdę zmęczyć, o, opuszczona stodoła, ukryją się w niej i prześpią na słomie, ale przed snem się najedzą, w brzuchach zaczyna im burczeć, tacy są głodni, ale fajnie, mają kupę żarcia, trzy duże wory orzechów na wózku, zrabowali je z domu jednej pani, umarła z zimna, dach się zawalił biedaczce, kiedy dotarli do niej, było za późno, nie mogli jej uratować...

Korneliusz przystaje przed wrotami stodoły i Marceline zdejmuje z wózka trzy duże wory orzechów. Wyprzęga osiołka, gładzi go po szyi, szepcząc mu na ucho: „Dzięki za pracę, Korneliuszu, i dobranoc, skarbie”. Korneliusz kiwa łbem, odwraca się do Lutka, popycha go lekko, ocierając się o niego, trąca pyskiem Bertę po drodze i wchodzi do swojego boksu.

Przy stole kuchennym Hortense z chłopcami tłuką orzechy młotkiem. Ferdinand, Guy, Marceline i Muriel przebierają je. Nie może zostać ani kawałek skorupki, to ważne. Kiedy skończą, Marceline zawiezie wszystko do młyna. Spodziewa się otrzymać jakieś dziesięć litrów oleju. Lutek liczy: aby otrzymać litr oleju, potrzeba dwa kilo orzechów bez skorupki, czyli około sześciu kilo orzechów w skorupkach. Wiedząc, że za jeden wieczór rozłupują ich... O kurczę,

w takim tempie zejdzie im do Gwiazdki!

Grają w „ani tak, ani nie”, rozbijając orzechy. Dzieci zadają pytania. Oczywiście kiedy przychodzi kolej Hortense, staruszka za każdym razem przegrywa. Co chłopców bardzo śmieszy. Ale ją zaczyna denerwować. Simone groźnie na nich zerka, grzebiąc w swoim stosie orzechów. Wolałyby, żeby zagrali w coś innego, zanim zabawa przerodzi się w awanturę.

– Muriel, jesteś zadowolona z nowego domu?

– Pewnie.

– Ferdinand, lubisz pić wino śliwkowe?

– Jasne.

– Wujku, czy w nocy długo śpisz?

– Nie bardzo.

– Marceline, czy uważasz, że Ferdinand jest miły?

– Nawet bardzo.

– Simone, czy jesteś trochę za stara?

– Hm... o wiele za stara.

– Hortense, czy przepadasz za tym, co upichcimy?

– A tak, jakżeby nie!

Dzieci zanoszą się śmiechem, Hortense się pieni.

– Głupia ta gra. A wy byście mogli zadawać trochę mądrzejsze pytania, nie? Coś mi się zdaje, że cieszycie się, jak przegrywam. Nie do wiary!

Laska w powtórce z rozrywki

Ferdinand wybrał się do restauracji. W odwiedziny do Rolanda, który już jakiś czas się nie odzywa, nie odbiera telefonów, nigdy nie oddzwania, nawet jeśli ma zostawioną wiadomość na sekretarce. Kiedy Ferdinand pyta Mireille, czy Roland ma się dobrze, odpowiada wymijająco: „Chyba tak, nie wiem, niech ojciec zadzwoni, sam ojcu powie”. To go martwi.

Popycha drzwi, rozlega się dźwięk dzwonka, pusto. W kuchni cisza. Staje u stóp schodów prowadzących do mieszkania, woła, bez odzewu. Postanawia się napić w oczekiwaniu, aż Roland wróci. Nie mógł iść daleko, nie zostawiłby przecież otwartych drzwi. Faktycznie, Roland siedzi w ogródku kawiarni naprzeciwko. Ferdinand szeroko otwiera oczy: ten dureń pali papierosa! Od lat go wnerwia, bo wypala jedną fajkę dziennie, a teraz kurzy papierosa! A popielniczka na stole jest pełna niedopałków! W dodatku koło popielniczki stoi kieliszek białego wina. Na pewno nędznego sikacza, bo z białych win tylko to można dostać w kawiarni naprzeciwko. Śmiechu warte. Ferdinand idzie przez plac do syna. Roland go nie widzi, zbyt jest pochłonięty wgapieniem się w młodą kobietę na wysokich obcasach, która zmierza w stronę stolika. Kiedy go mijają, potyka się naraz i przewraca. Roland rzuca się, aby pomóc jej wstać, lecz ona go posyła do wszystkich diabłów i odchodzi, klnąc jak szewc. Nie dotykaj mnie, spaślaku, bo dam ci w pysk!

Ferdinand siada obok niego.

– Ładna laska. Ale wiesz, jak za długo będziesz robił z siebie idiotę, w końcu doprowadzisz do nieszczęścia...

– Ha, laska jest ekstra! Ale co tu robisz, tatuś? Nie widziałem, kiedy przyszedłeś.

– Wpadłem się przywitać.

– To miłe.

– Tyle czasu nie odpowiadasz na telefony, że zacząłem się martwić.

– Miło, że się o mnie martwisz.

– Normalne, synu. – Odchrząkuje. – A w ogóle u ciebie w porządku?

– Tak, a co?

– A nic. Tak pytam. I co, widzę, że przerzuciłeś się na białe wino u konkurencji?

– Ano.

– Dobre?

– Paskudne.

– Też tak uważam.

Mimo to zamawiają po dwa kieliszki – w ramach dbałości o dobre stosunki sąsiedzkie – po czym rzuciwszy do właściciela „Cześć, Paulo, na razie”, wracają do restauracji. Roland idzie po butelkę białego chablis, zaprasza Ferdinanda, by usiadł przy stoliku, przynosi kieliszki. No, to wino jest dobre, aż żyć się chce, psiakrew!

Ferdinand dzieli się z synem częścią swojego planu: zamierza do testamentu dodać pewną klauzulę. Otóż gdyby coś mu się stało, chciałby, żeby Guy, Marceline, Simone i Hortense mogli spokojnie dalej mieszkać w domu – krótko mówiąc, chce im przyznać prawo użytkowania. To normalne, nie uważasz, Rolandzie? Roland uważa, że to normalne, i wyraża zgodę. I tak zresztą jest zdania, że swoją część spadku po śmierci Henriette już odebrał w postaci restauracji. A gospodarstwo – choć woli ojcu tego nie mówić, aby nie sprawić mu przykrości – ma w dupie. Za to z Lionelem może być problem, nie? Nie, Ferdinand już z nim o tym rozmawiał przez telefon i Australijczyk nie ma nic przeciwko. Ferdinand przeczuwał, że jest tak, jak Lionel uczciwie oświadczył: gospodarstwo ma w dupie. O, Lionel tak powiedział? Fak de farm, takich słów użył, a potem przetłumaczył. Świetnie, to mamy załatwione. Teraz mogą pogadać o czym innym.

Temat nie od razu się rozwija. Najpierw jest trochę wzdychania, pochrząkiwania... Wreszcie Roland pęka.

Nie jest łatwo, jak człowiek znajdzie się sam. Ano, to pewne jak amen w pacierzu, Ferdinand wie coś o tym. Budzisz się rano, nikogo. Kładziesz się wieczór, nikogo. I czasem się zastanawiasz, po co harować jak dziki osioł. Ano... Westchnienie. Cisza. Łyk wina. Kolejne westchnienie. Ferdinand uznaje, że to dobra chwila na rady. Klasyczne: dzieci, praca i wszystko, co się z tym wiąże. Roland gapi się w sufit. Pod koniec butelki Ferdinand zmienia ton, ożywia się, podnieca, podsuwa... odzyskanie! Ale Roland śmieje się szyderczo, kręci głową ze sceptyczną miną. No, skoro tutaj nie da rady, trzeba się zająć czymś innym, działać, nie siedzieć w zamknięciu, wyjść gdzieś wieczorem, na jakąś zabawę, do klubu nocnego, cholera, to nie koniec świata, oprócz Mireille są jeszcze inne kobiety! Roland wstaje, rzuca: „Mów za siebie, tatuś” i schodzi do piwniczki po drugą butelkę. Ferdinand nie widzi związku, mamrocze pod nosem: „Co za kretyn!”

Pod koniec drugiej butelki Rolandowi zaczyna burczeć w brzuchu. Zaprasza Ferdinanda na kolację. To dzień, kiedy lokal jest nieczynny, mogą robić, co im się podoba. A więc na przystawkę... otwiera lodówkę, zerka na półki... ślimaki w masle pokrzywowym pasują ci? Dalej pieczony udziec dzika marynowany w szampanie, podawany z borowikami z patelni? Tu Ferdinand ściąga usta.

– Skąd masz borowiki? – pyta nieufnie.

- Od kumpla – odpowiada Roland.
- To ktoś tutejszy?
- Nasz chłopak.
- Skurczybyk, na pewno to on odkrył moje borowikowe miejsce.

Spędzili razem bardzo miłe chwile. Co prawda ciut za mocno zakrapiane, za to uśmiali się jak rzadko i uronili parę łez, alkohol bowiem sprzyja wzruszeniom. Po zastanowieniu uświadomili sobie, że pierwszy raz w życiu spędzają cały wieczór razem, tylko we dwóch, bez nikogo więcej. Aż oniemieli. Jasny gwint! Pierwsze spotkanie w cztery oczy siedemdziesięcioletniego ojca i czterdziestopięcioletniego syna... Po tym przytłaczającym stwierdzeniu milczeli chwilę. Starając się zaprezentować podejście pozytywne, Roland rzucił banałem: lepiej późno niż wcale, Ferdinand zaś krzywiąc się, wzruszył ramionami. Jego zdaniem nie było co owijać w bawełnę. Zwyczajnie żalność brała, że stracili tyle czasu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jego syn wcale nie jest smętnym durniem. A do Rolanda dotarło, że jego ojciec nie jest tylko starym bałwanem.

Marceline opowiada

U noszę się lekko, zawsze tak mam tuż po recitalu, wrażenie, że moje stopy nie dotykają ziemi. To bardzo przyjemne. Chciałabym, by trwało, a przede wszystkim żebym nie wylądowała za szybko... Wracam do garderoby, siadam przed lustrem. Mój telefon komórkowy popiskuje, zostawiono mi wiadomość w trakcie koncertu. Nie znam numeru, postanawiam odsłuchać ją później. Najpierw zmyję makijaż i przebiorę się. Myślę, że od tej chwili wszystko zaczęło się kręcić w zwolnionym tempie. Chociaż nie, wiem, że to nieprawda, ale wrażenie pozostało. Pamięć niewątpliwie wszystko wypaczyła, rozciągnęła czas. No, biorę telefon, odsłuchuję wiadomość. Obcy głos prosi, żebym zadzwoniła pod podany numer. Naraz robi mi się strasznie zimno. Denerwuje mnie to. Przychodzi mi do głowy, że ktoś pewnie znowu zostawił otwarte drzwi służbowe, te, które wychodzą na ulicę na tyłach teatru. Ale nie, nie w tym rzecz... Wybieram numer, kilka razy się myślę, wreszcie ktoś oschle pyta mnie o nazwisko, każe poczekać, później łagodniejszy, lepiej postawiony kobiecy głos zaczyna: „Proszę pani, zdarzył się wypadek...”. Chciałabym nie usłyszeć ciągu dalszego, przerwać ten absurd, nie rozłączam się jednak, wstaję z krzesła, a głos wymawia imiona moich córek, krew w żyłach mi zastyga, kobieta mówi, że miały wypadek, osuwam się na kolana, ból rozrywa mi trzewia, głos próbuje zyskać na czasie, jęczę, krzyczę, kobieta kontynuuje, mówi, że uderzenie było potężne, na pewno nawet nie wiedziały, co się z nimi dzieje. Och, nie! Nie chcę tego słuchać! Nie chcę! Pani się myli! Kobieta mówi, że jej przykro... Proszę, nie, błagam. Proszę pozwolić, żebym się cofnęła, wszystko skasowała, nie dzwoniła pod ten numer. Gdybym się rozłączyła wcześniej, może nie... Chciałabym, żeby ten głos nie istniał, nigdy nie wypowiedział tych słów. Chciałabym... żeby to ta kobieta nie żyła!... Przepraszam... to głupie... ciągle tak samo wyprowadza mnie z równowagi... Przeszłabym się kawałek.

Ferdinand trzyma Marceline pod rękę. Jest ciemno i zimno. Dłuższą chwilę idą spacerkiem, nie odzywając się. Potem wracają do domu. Ferdinand nastawia wodę, zaparza ziółka. Siadają obok siebie przy piecu, zaraz przybiegają koty i moszczą im się na kolanach. Szamalka ma dość zaokrąglony brzuszek. Ferdinand naiwnie stwierdza, że śliczna łowczyni znowu musiała się najeść za dużo myszek. A Marceline nie może pohamować uśmiechu. Naprawdę uroczy i zabawny z pana człowiek, chciałaby powiedzieć. Prawie się jej udaje, ma te słowa na końcu

języka. Ale ostatecznie tam właśnie zostają.

Ferdinand wie już trochę więcej o córkach Marceline.

Że były piękne, że mogłyby góry przenosić. Chciały wszystko same robić, wszystkiego się uczyć. Wzięły się nawet za naprawę krzywego dachu domu, który kupiły! Nic dla nich nie było niemożliwe. Właśnie obydwie rozstały się niedawno z narzeczonymi – bliźnięta często robią to samo jednocześnie – miały razem zaczynać wszystko od nowa. Po czym na ich drodze stanął smutny młody człowiek. I choć nieumyślnie, zabrał je ze sobą. Miały dwadzieścia pięć lat, on dziewiętnaście. Marceline wyobraża sobie, co mu powiedziały, jak zwymyślały biedaka, kiedy we trójkę znaleźli się po tamtej stronie. Hej! Co znaczy ta rozpierducha? Co ty wyrabiasz? Nie mogłeś się naprac i siedzieć na dupie w chacie, kretynie? Laska cię rzuca, a ty zaraz kończysz ze sobą? Ta dziewucha to zero! Złamanego grosza nie była warta. Znalazłbyś sobie lepszą. Taką, z którą mógłbyś objechać dookoła cały świat, kumasz? A teraz co? Guzik. Gówno. A twoi starzy, widziałeś, do jakiego stanu ich doprowadziłeś? Masz świadomość, że odtąd do końca życia będą sądzili, że przez nich chlałeś na umór? Będą wierzyli, że nie dość cię kochali, że nie wiedzieli. Okropność. Bo ty dobrze wiesz, że robili co mogli. A popatrz na naszą staruszkę. Ona też się nigdy nie pozbiera po tym, jak nas straciła. Do dupy to wykombinowałeś. No dobra, fakt, wyszło ci tak niechcący. Życie to kurwa i każdy w końcu umiera, tak już jest. Ale mamy prawo uważać, że to cholernie wkurzające! No już, przestań się mazać. Jasne, że naszym staruszkom nie jest lekko i pewnie ładnych parę lat tak będzie, ale wiesz, jakoś poradzą sobie bez nas... Dobra, my się zmywamy. Jak się boisz sam, możesz się zabrać z nami... Tylko Berta wyszła z tego bez szwanku. Żandarmi zaopiekowali się nią do przyjazdu Marceline, która dotarła na miejsce dwa dni później. Wysiadła z pociągu tylko z małą walizeczką i wiolonczelą. Pierwszy raz tu była. Córki zaplanowały prace remontowe i zaprosiły ją, gdy zakończy tournée. To miała być niespodzianka. Marceline naszukała się, zanim znalazła ich dom. Osiołek i kot przez kilka dni były w nim same. Korneliusz zdołał otworzyć zagródkę i jadł, co znalazł w ogródku i koło domu. Ale Mo-że, kot Danusi, zwierzak salonowy, nie potrafił polować, toteż był w bardzo złym stanie. Dlatego chociaż Marceline w tamtej chwili pragnęła tylko pogrzyźć się w nicości, zniknąć, zapaść się pod ziemię, rozwiać w powietrzu, nie mogła tego zrobić. Berta, Mo-że i Korneliusz bardzo jej potrzebowali. Byli jej dziedzictwem, nie miała prawa ich zostawić. Została więc. Dla nich. I nigdy już nie wróciła do Polski. Na przeszłości postawiła krzyżyk. Niekiedy liczy czas, który jej pozostał. Ot tak, żeby orientować się mniej więcej. Wywiedziała się, jaka jest średnia długość życia kotów i psów, a także osłów. Wie zatem, że pies może żyć nawet osiemnaście lat, kot dwadzieścia pięć, a osioł czterdzieści. Pomęcz się więc. Przy okazji się dowiedziała, że kura i gęś mogą żyć osiemnaście lat, kruk pięćdziesiąt, karp siedemdziesiąt...

Czyhanie pod liceum

Guy i Ferdinand siedzą na ławce niedaleko wyjścia ze szkoły. Widzą stamtąd godzinę na zegarze i osoby, które wchodzą i wychodzą. Mają lekką treść. O wpół do piątej rozlega się dzwonek, drzwi się otwierają, uczniowie wybiegają na ulicę. Niedaleko od nich staje grupka młodzieży, która hałasuje, przekrzykuje się, potrąca, poszturchuje plecakami. Podchodzą do niej, Ferdinand odchrząkuje, przeprosza, że przeszkadza, ale chciałby zadać jedno pytanie. Wszyscy milkną równocześnie, zerkają na nich z ukosa. Speszony Ferdinand pyta, czy przypadkiem nie znają kogoś, kto szuka mieszkania. Chłopcy patrzą nieufnie. Co to za wapniaki, czego chcą, po co przyszli pod szkołę, co tu śmierdzi... W końcu jeden przypomina sobie, że widział ich w kawiarni wujka, to emeryci, którzy mieszkają na wsi. Uspokojeni chłopcy zaczynają się naradzać. A tak, Kim niedługo znajdzie się bez chaty! Wołają go. Podchodzi po chwili, powłócząc nogami. Czego?... Fakt, ludzie, u których wynajmuje, potrzebują tego pokoju, niedługo będzie musiał się wynieść. Bo co? Ci goście tutaj może coś dla niego mają. Super, a czynsz ile? Ferdinand i Guy proponują, żeby usiedli i spokojnie omówili sprawę.

Otóż istotnie mają pokój do wynajęcia, ale szukają kogoś, kto by się zgodził pracować kilka godzin tygodniowo w warzywniku. Sprytnie, kpiącym głosem zauważa chłopak, który przypadkiem jest uczniem liceum rolniczego. Tyle że woli ich przestrzec i uczciwie postawić sprawę: stare sposoby uprawiania ogródka to nie jego broszka. Jego rajcują uprawy bez chemii, inaczej nie wchodzi w to. Ferdinand i Guy spoglądają na siebie – to im akurat pasuje. No powiedzmy, mówi młody człowiek, ale ważniejsze, ile chcą za ten pokój. Bo on jest raczej splekany. Teraz ich kolej się roześmiać. Guy wyjaśnia, że mieszkanie, wikt i opierunek oferują właśnie za kilka godzin tygodniowo pracy w ogródku. Kim wybalusza na nich oczy. Gdyby to tylko od nich zależało, klepnęliby sprawę od ręki, lecz Kim musi najpierw pogadać ze swoją wychowawczynią. I ze współlokatorką. To nie będzie łatwe. Wychowawczynie to zgryźliwa stara wiedźma, która trzyma się sztywno zasad. Guy i Ferdinand dla zabawy przyczerniają obraz, lecz chłopak słucha bez mrugnięcia. Nie wydaje się wystraszony. A kogoś takiego właśnie szukają – człowieka, który nie ma chłodu w oczach. Podoba im się bez dwóch zdań. Z Marceline na pewno wszystko pójdzie gładko. Za to z Muriel niekoniecznie. Kim jest napalony. Chciałby jak najszybciej pogadać z wychowawczynią. Niewiele myśląc, postanawiają zabrać go z sobą.

Nie uprzedzili jej, ma się rozumieć. Marceline sądzi więc, że Kim to zainteresowany ogrodnictwem student, który w celach naukowych zwiedza gospodarstwo. Naturalnie pokazuje mu także swoje włości. Zimą w ogródku nie ma wiele, wszystko w zasadzie odpoczywa. Ale rosną pory, kapusta, rzepka, szpinak, szczaw, czarna rzodkiew. Wyjaśnia mu, w jaki sposób uprawia ziemię. Chłopak wygląda na znającego się na rzeczy, mówi o kompoście, płodozmianie, kwiatkach, które się sadzi między rzędami warzyw, aby zwalczać szkodniki. Na to Marceline wymienia gnojówkę z pokrzyw, wywar ze skrzypu, popiół drzewny. Bogaty w potas i przy okazji skuteczny na ślimaki. A wiesz, że ślimak może żyć sześć lat? Tak? No, no... A dżdżownica? Niektóre dożywają dziesięciu lat! Łał, odlot!

Z warzywnika wracają tak pochłonięci rozmową, że nie zatrzymując się, mijają ławkę, na której siedzą Guy i Ferdinand, i wchodzą do dawnej mleczarni. Marceline pokazuje Kimowi swoje pszczelarskie oprzyrządowanie, otwiera słoik miodu, daje mu do skosztowania. Chłopakowi smakuje, częstuje się jeszcze. Zdaniem Marceline jest przemiły, żądny wiedzy, ciekawy wszystkiego, zadaje rzeczowe pytania, naprawdę interesujący młody człowiek. Korneliusz, kolejny ciekawski, wsuwa łeb przez drzwi, by z bliska obejrzyć przybysza, obwącjuje go, ociera mu się o ramię, depcze po palcach. Nie on jeden zainteresował się Kimem. Od pierwszej chwili Berta nie odstępuje go na krok.

Znowu mijają ławkę, nie zatrzymując się, wchodzą do kuchni. Marceline wraca po chwili i oznajmia panom na ławce, że zaprosiła chłopaka na kolację. Ferdinand i Guy wieszają sobie. Ich plan zadziałał.

Kiedy Muriel wraca, idą do niej i wyjaśniają, co wykombinowali. Oczywiście złości się na nich. Sama miała tu święty spokój. Teraz zrobi się jej ciasniej, będzie musiała zmienić zwyczaje, składać swoje rzeczy, zmywać gary zostawione w zlewie, skończy się suszenie majtek i staników przy piecu. Wcale jej się to nie podoba. Ale panowie ją uspokajają – nic jeszcze nie zostało postanowione. Marceline o niczym przecież nie wie i może odrzucić propozycję. Muriel wdycha, wolałaby, żeby Marceline odmówiła. Wchodzi do kuchni z zaciętą miną i widzi Kima, chłopaka, który czasem pracuje z nią w restauracji. Lubi go, zabawny gościu. Kim dziwi się na jej widok, pyta ją, co tu robi, a Muriel zaprasza go, by obejrzał jej mieszkanie.

Kiedy siadają do stołu, Guy spogląda na Ferdinanda, przewracając oczami. Daje mu w ten sposób do zrozumienia, że pora pogadać z Marceline – teraz albo nigdy. Ferdinand nie może dłużej zwlekać. Prosi ją, by wyszła z nim na dwór, ma jej bowiem coś ważnego do powiedzenia. Zaintrygowana Marceline nie wyraża sprzeciwu. Ferdinand zaczyna od warzywnika, zauważa, że wszystko jest na jej głowie, mówi o tym, ile pracy będzie miała na wiosnę, zwłaszcza teraz, kiedy jest ich w domu sześcioro... Wszystko to brzmi jej jakoś nienaturalnie, przerywa mu, prosi, by jasno powiedział, do czego zmierza, zwłaszcza że opiekanka ze słodkich ziemniaków może

się przypalić, jeśli się nie pośpieszą. Ferdinand jeszcze chwilę krąży opłotkami, w końcu wyluszcza jej, na jaki pomysł wpadli z Guyem. Marceline ściąga usta zirytowana, że niczego nie spostrzegła. Ale nie zaprzecza, od jakiegoś czasu sen z powiek spędza jej myśl o tym, co ją czeka. Jasne, że z pomocnikiem wszystko pójdzie dużo lepiej. Idą obok siebie w milczeniu. Już pod drzwiami Marceline chce mu podziękować, odwraca się ku niemu, uśmiecha i... całuje go w policzek. W zasadzie chciała go pocałować w usta, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Następnym razem może. Mo-że się ośmieli. Nie, na pewno to zrobi następnym razem. Naprawdę śmieszne się robią te uniki. Jak u małałatów.

No.

I tak oto potoczyły się sprawy w dniu, kiedy Kim przybył do gospodarstwa Ferdinanda.

56 Szybki Kim

Kimowi tak pilno było do przenosin, że jeszcze tego wieczoru pertraktował z Muriel w sprawie przenocowania w kuchni na łóżku polowym, zanim pokój na piętrze zostanie wysprzątnany i odmalowany. Muriel się zgodziła. Chociaż początkowo nie miała pewności, czy to dobry pomysł. Dzielenie z kimś mieszkania oznaczało, że będzie musiała narzucać coś na siebie, idąc do toalety, chodzić na palcach, gdy w nocy przyjdzie jej ochota sprawdzić, co zostało w lodówce, nie zapalać światła, powstrzymywać się od puszczania bąków. Spodobało jej się życie w pojedynkę, na pewno będzie żałowała tej decyzji. Szybko jednak zmieniła zdanie. Bo naprawdę fajnie było gadać z kimś do trzeciej rano, uchachać się razem po pachy, uskutecznić bitwy na poduszki albo opowiadać o sobie, a nawet zwierzyć się z takiego czy innego sekretu. Nagle wszystko, co mogło nastęrczać problemy na poziomie organizacyjnym, okazało się łatwe do poukładania. Jeśli chodzi o łazienkę, ona lubiła brać prysznic wieczór, on wołał z rana. Ekstra. Ona często długo w noc nie mogła zasnąć, on raczej padał i zasypiał zaraz, Muriel więc miała na głowie dorzucanie w nocy do pieca. Świetnie. Ona długo się budziła, a on ledwie wstał, od razu był na chodzie, zaparzał kawę, robił kanapki i przychodził połaskotać ją w szyję. Genialnie. Niefajnie jechało się rowerem do szkoły, bo o tej porze roku było jeszcze ciemno, a teraz, we dwoje, taka przejażdżka sprawiała przyjemność. Super. On miał dziewczynę, ona była sama i planowała, że tak pozostanie, zwłaszcza od porażki w ostatnim związku, będą więc jak brat i siostra. Idealnie.

Szybki Kim. Przybył we wtorek wieczorem. We środę rano wysprzątał gruntownie swój przyszyły pokój, po południu przygotował farbę (według przepisu Marceline, na bazie purée ziemniaczanego w proszku) i wieczorem położył pierwszą warstwę na ścianach. Nazajutrz, w czwartek, po powrocie z zajęć pomalował drugi raz i w piątek wieczorem się wprowadził.

Mucha nie kuca. Było tylko jedno „ale”: brak internetu. Kim zaczął wyliczać korzyści, jakie daje dostęp do globalnej sieci. Cały świat, cała kultura, cała ludzkość są w zasięgu ręki. Nie można rezygnować z postępu! Głupotą jest nie korzystać z niego! On i Muriel nauczą ich serfować po necie, posługiwać się myszką, pomogą im wyszukiwać informacje, znajdować najróżniejsze ciekawe strony, o ogrodnictwie, mechanice, rowerach, delfinach i wielorybach, robotkach ręcznych, przędzeniu wełny, na każdy temat. Będą mogli zwiedzać muzea, nie

ruszając się z fotela, słuchać orkiestr filharmonicznych, podróżować po całym świecie, wejść do Tadż Mahal. Na pewno im się to spodoba.

Guy zasięgnął informacji. W stosunku do obecnych opłat niewiele drożej by wyszło, gdyby wzięli abonament „trzy w jednym”, internet, telewizja, telefon. Sprawdził także ceny komputerów. Dzięki poczynionym oszczędnościom stać by ich było na taki zakup. I dodał, że młodzież by się ucieszyła. Wszyscy naturalnie przegłosowali jego wniosek. A Muriel aż podskoczyła z radości.

Hortense jest niezwykle podekscytowana, chce się nauczyć serfować po lebie! Klikać myszką! Złożyć sobie profil na fejsie! Uwielbia swoich dwóch nowych znajomych, zwłaszcza tego młodzieńca, o, tego, jej zdaniem jest zabawny, interesujący i przystojny... ho, ho, jeszcze jak! Trochę przypomina Octave'a, jej jednodniowego męża, co, Simone? Buzię ma aniołka i ani chybi diabła za skórą, nie uważasz? Kiedy Hortense zgrywa dzierlatkę, Simone z westchnieniem wzrusza ramionami. Męczy ją to. W takich chwilach Hortense wierzy, że ma najwyżej dwadzieścia lat, nic by nie dało przypomnienie, że liczy sobie siedemdziesiąt pięć więcej. Toteż Simone wybiera najprostsze wyjście – nic nie mówi, czeka, aż jej przejdzie, i już.

Prace polowe, plany i informatyka

Marzec.

Prace w ogródku dopiero ruszają. Aby wyżywić siedem osób w gospodarstwie i jeszcze coś sprzedać na rynku, Marceline z Kimem długo się zastanawiali, dokonali obliczeń i doszli do wniosku, że muszą zwiększyć powierzchnię upraw. Zarekwirowali zatem warzywnik Ferdinanda. Nie miał nic przeciwko temu, po pracy w ogrodzie łupało go w krzyżu. Zaczęli przygotowywać grządki, na jednych rozrzucili osli nawóz z kompostownika, inne polali gnojówką. Kim wybrał sobie kącik na sadzonki truskawek i krzewy porzeczkowe. Przepada za nimi.

Już się zorientował, że Marceline mięsem raczej się nie interesuje. Dlatego pewnego wieczoru zagadnął Guya i Ferdinanda. Co by powiedzieli na stadko kurcząt? Zanim wyrazili swoje zdanie, dodał, że gotów jest się nim zajmować, to nie zajmie wiele czasu. A dzięki temu wszyscy od czasu do czasu będą mogli zjeść mięso dobrej jakości. Bez antybiotyków, bez hormonów wzrostu, bez GMO. Jakość gwarantowana. Panowie byli jak najbardziej za. W gruncie rzeczy nikt nie był przeciwko. Warzywa są smaczne, ale na dłuższą metę bez wkładki mięsnej mogą się znudzić. Pytanie tylko, jak wyżywić drób. Poszli obejrzeć kawałek pola za domem. Ten, którego Ferdinand nie wydzierżawił swojemu sąsiadowi Yvonowi. Leżało odłogiem, chwilowo tylko Korneliusz z niego korzystał. Kim zaproponował, że je obsieje, to będzie jego praktyka wymagana w szkole. Traktor jest w dobrym stanie, nauczy się go obsługiwać. Simone odpowiedziała, że kiedy była mała, karmili drób sieczką z pokrzyw wymieszaną ze zbożem i efekty były znakomite. Kiedy poruszyli temat uboju, Kim przyznał, że tym nie bardzo ma ochotę się zajmować. Guy natomiast nie miał nic przeciwko. Dobra, to się jeszcze zobaczy. Zwłaszcza że Kim znał jednego chłopaka, praktykanta u rzeźnika, najwyżej jego poprosi o pomoc, a w zamian da mu się parę sztuk drobiu. Przybili piątkę. Pozostało tylko zdobyć ziarno na siew i kurczęta.

Kiedy w domu zainstalowano komputer, Kim i Muriel pokazali starszym, jak go obsługiwać. Hortense ni w ząb nie zrozumiała zasad działania myszki, niemniej strasznie ją wszystko ciekawiło. Okazało się za to, że Guy ma talent. Odtąd większość bezsennych nocy spędzał na

serfowaniu po sieci, grzebaniu w internecie. Pewnego ranka przy śniadaniu rzucił pomysł, aby stworzyć własną stronę internetową. Uważał, że powinni się podzielić z innymi swoim doświadczeniem, opisać, jak mieszkają razem, przedstawić zalety i wady takiego rozwiązania i w ogóle. Kim zastrzegł: w tej sprawie on i Muriel im nie pomogą, bo w ogóle się na tym nie znają, to diablo skomplikowane. Ale nie ostudził zapału Guya. Zaczęli się zastanawiać, jak nazwać witrynę, i Guy zaproponował: solidaramol.com.

Nie za ładnie, niezbyt poetycko, ale nazwa mówiła, co miała powiedzieć, więc wszyscy się zgodzili. I Guy przystąpił do pracy.

Lekki przyptyw tęsknoty

Któregoś wieczoru po kolacji, gdy przysiedli na dworze – starsi na ławce, Hortense w swoim fotelu na kółkach, młodzież na taboretach – Kim po raz pierwszy, odkąd zamieszkał z nimi, zaczął mówić o swoich rodzicach. Mieszkają sześćdziesiąt kilometrów stąd, nie widział ich blisko pięć miesięcy. Przestali łożyć na jego utrzymanie. Od dawna nie przemęczał się nauką, mieli tego dosyć. Nie ma do nich żalu, na ich miejscu zrobiłby tak samo. Tęskni za nimi. Mógł pojechać do nich w ferie świąteczne, ale został, bo była robota w restauracji i chciał zarobić trochę kasy. Którą przepuścił na pierdoły. Teraz żałuje. Bo... jak się ludzie nie widują, w końcu o sobie zapominają.

Nikt tego nie skomentował, wszyscy tylko pokiwali głowami.

Jego młodsza siostra ma pięć lat, nazywa się Mai (wymówił: maj). To wietnamskie imię, znaczy: Kwiat Pomarańczy.

Jego matka ma na imię Ai Van (Ajwan), Lubiąca Chmury.

Rzecz jasna Hortense zapytała, co znaczy jego imię. Musiał odpowiedzieć.

Kim znaczy Złoto.

Hortense wpadła w zachwyty. Po czym spytała o imię jego ojca. André? No cóż, oczywiście nie tak poetyckie, mimo wszystko ładne.

Kiedy rozchodzili się, by udać się na spoczynek – z wyjątkiem Guya, który zamierzał jeszcze posiedzieć przy komputerze i popracować nad ich stroną – Ferdinand zaproponował Kimowi, by zadzwonili do jego rodziców i zaprosili ich na lunch w któryś dzień. Będzie bardzo miło, jeśli się poznają. No a Kim będzie mógł im pokazać, gdzie mieszka. Tak, zadzwoni do nich.

Nagrobne tablice Ferdinanda

– Cześć, tatuś.

– Cześć, synu.

– Wiesz, czemu dzwonię?

– A skąd mam wiedzieć? Nie jestem jasnovidzem.

– Ale wiesz, jaki dzisiaj dzień?

– No wiem, a co?

– A bo... – Rolandowi głos się załamuje. Facet szlocha cichutko.

– Co jest, Roland? Stało się coś?

– Dziś rocznica śmierci mamy, a ty nie pamiętasz.

– A, o to chodzi...

Ferdinand oddycha z ulgą. Już zaczynał sobie wyobrażać najgorsze rzeczy. Że chłopcy się pochorowali, że Mireille miała wypadek, że w restauracji wybuchł pożar... Zdecydowanie ten chłopak dramatyzuje. Henriette nie żyje od sześciu lat. Zdażył przywyknąć...

Musi być jednak wyrozumiały.

Dla Rolanda to nie najlepszy czas. Nie może się pozbierać po rozstaniu z Mireille. Z początku wydawało się, że dobrze to znosi. Zgrywał faceta, który filozoficznie podchodzi do sprawy. Życie nie jest spokojnie płynącą długą rzeką, która sama niesie, co to, to nie, trzeba się nauczyć wiosłować. Jakby na dowód tego zaczął rwać wszystko, co nosi spódnicę, szczególnie w obecności Mireille, rzecz jasna. Dawał z siebie maksimum. Dowalał się nawet do Muriel któregoś wieczoru, gdy pomagała w restauracji, o wszystkim opowiedziała po powrocie. Ma się rozumieć, dała mu popalić, później więc żałował, że w ogóle przyszło mu to do głowy. Starsi faceci nie są w jej typie, a spaślaki tym bardziej. Poza tym u Mireille zaszły zmiany. Wzięła się w garść, ma się dużo lepiej. Nie od razu tak się stało, ale prawie. Zaczęła od odstawienia antydepresantów, ograniczyła alkohol, potem ścięła włosy, zmieniła styl ubierania i zapisała się na zajęcia sportowe. Aby mieć swobodę, najpierw od czasu do czasu zostawiała dzieci u Rolanda. Potem na kilka dni w rzędu. Wielka zmiana się dokonała, kiedy Mireille wstąpiła do teatru amatorskiego. To był przełom. I właśnie wtedy Roland stracił grunt pod nogami. Szybki zjazd nastąpił, gdy dotarło do niego, że Mireille kogoś poznała. W dodatku w jej wieku. To go kompletnie wyprowadziło z równowagi. Z dnia na dzień włosy mu posiwiały. Ma czterdzieści pięć lat,

a wygląda na sześćdziesiątkę. Jak tak dalej pójdzie, dogoni ojca, glupek!

No.

A w ogóle pierwszy raz dzwoni z prośbą, żeby gdzieś z nim iść. Ferdinand nie może odmówić. Umawiają się na za godzinę.

Przed wyjściem Ferdinand zachodzi do swojego warsztatu. Od miesiący do niego nie zaglądał. Odkąd Gaby umarła. Dla niej chce wymyślić coś naprawdę ładnego. Coś, co się spodoba Guyowi, no i nie będzie wieśniackie. Ma czas. Nic go nie nagli. Przeciera szmatką tabliczkę Alfreda, która poniewiera się na stole. Już dawno ją skończył, trzeba by zajrzeć do jego rodziny, spytać, czy się podoba. Jeśli tak, można by razem zanieść ją na grób. I wypić za niego z kumplami w kawiarni przy placu. Z Momem, Marcelem, Raymondem, Pierrotem i resztą bandy.

Już ponad rok, jak odszedł, stary koń.

Alfred nazwiskiem Cholapin

Dobry kowal

Dobry kumpel

I ojciec

Marny mąż

Nie umarł z pragnienia.

Epitafium jest w porządku, oszczędne w słowach. Jacqueline raczej się nie oburzy, to ona wystąpiła o rozwód. A dzieci mogą dodać coś od siebie, specjalnie zostawił miejsce.

Znajduje inną, wyciera ją z kurzu, by przeczytać treść:

Dla Henriette, mojej żony

Zatruwałaś mi życie przez czterdzieści lat.

Spczywaj w pokoju.

Ta jego zdaniem jest zabawna. Ale odkłada ją do szuflady. Uznaje, że to nieodpowiednia chwila, aby ją zabrać, Roland nie byłby zadowolony. Synuś nie nabral wystarczającego dystansu. Szkoda, lecz tak to już jest.

60 Żurawie

Jeszcze jest bardzo zimno. Rankiem ziemię pokrywa biały szron. Ale powietrze i światło już się zmieniły. Wszystko ożywa, nabiera ikry, dni z wolna się wydłużają. I wracają żurawie. To dobry znak. Stojąca przy oknie Muriel opowiada Hortense, co widzi. Żurawie właśnie przelatują nad nimi, jest kilka dużych kluczy w kształcie litery V, wrzeszczą równocześnie, niektóre krążą nad domem, wygląda to, jakby się zgubiły, a nie, już w porządku, jeden wyszedł na czoło, inne fruną za nim. Hortense chciałaby to zobaczyć, lecz Muriel nie da rady sama dźwignąć jej z łóżka, dobrze o tym wie. Hortense szepcze: „Proszę, Muriel”. Muriel się waha, to zły pomysł, w dodatku kupa zawracania głowy, trzeba odłączyć wszystko: kroplówkę i tlen. Hortense patrzy błagalnym wzrokiem. Muriel podejmuje decyzję, a niech to, cholera, otwiera okno, woła Kima. We dwójkę sadzają Hortense w fotelu na kółkach, opatulają koldrą, naciągają jej wełnianą czapkę na głowę. Szybko, bo odleć! Kim przestrzega: „Niech się pani trzyma, będzie ostra jazda”. Gotowi, do startu, start! Biegiem pcha fotel przez korytarz, na dwóch kółkach okrąża stół kuchenny, ledwie mieści się w drzwiach, wyjeżdża na podwórko. Ach! Są! Setki żurawi! Hortense nigdy tyłu nie widziała. Mówi do nich: „Gdzieście byli przez cały ten czas? Czekalam na was...”. Fruwają nad nią. Krrru... Krrru... Krrru... Po policzkach Hortense spływa woda. Na pewno z powodu zimna. I zbyt jasnego nieba. Razi trochę oczy, trzeba je mrużyć. Pora wracać. Och, nie, jeszcze nie. Chciałaby poczekać, aż ostatnie znikną w oddali. Spóźnialskich trzeba zawsze zdopingować. Słabym głosem nuci w stronę nieba: „Nie martwcie się, śliczności, lećcie, lećcie, tamte są niedaleko, dogonicie je...”.

Simone udaje się po forszę

Guy wziął samochód, by zawieźć Simone do miasteczka na spotkanie z doradcą finansowym. Dwa tygodnie wcześniej podpisała u notariusza dokumenty sprzedaży domu. Wcale jej to nie ruszyło. Nie jest ani smutna, ani zadowolona. Za to zwałił jej się na głowę wielki problem: co razem z Hortense mogą zrobić z taką kasą? Doradca finansowy oczywiście miał mnóstwo propozycji. Ona jednak potrzebowała czasu na podjęcie decyzji. Pośpiech jest złym doradcą. Postanowiła, że całą sumę pobierze w gotówce i weźmie do domu. Doradca finansowy zrobił wielkie oczy. Najlepiej w banknotach o niedużym nominale. Oszołomiony bankowiec zdołał tylko wybąkać, że... to nie będzie łatwe, musi się wywiedzieć, co i jak, poza tym trzeba na to czasu. Ile tego czasu? Odparł, że dwa tygodnie. Simone na to, że nie szkodzi. I oto minęły dwa tygodnie, więc stawia się na spotkanie. A towarzyszy jej Guy. Doradca jest nader uprzejmy, pomaga jej usiąść, pyta o zdrowie i jak się miewa Hortense. Simone zaczyna coś podejrzewać. Bankowiec próbuje ją dobrze nastawić, proponuje: „Może kawkę?”. A owszem, poproszę, mówi, żeby go wkurzyć. Z trzema kostkami cukru, jeśli łaska. Po jego wyjściu Simone szeptem zauważa, że nie skakał tak koło nich, kiedy na ich konto wpływała tylko emerytura. Nie było rewerencji ani kawek. Raz jeden jedyny miały debet – nie zapomni tego do końca życia – i wtedy wcale nie był miły. Co to, to nie. A przecież nie musiał daleko szukać ich sklepu, w ogóle sprawa nie była warta uwagi. I co? Posunął się do tego, że straszył je komornikiem! Powiadomienie wysłał listem poleconym i tak dalej. Ależ najadły się wtedy strachu! Już widziały się obydwie w więzieniu, z wygolonymi głowami, w pasiaku i kajdanach na nogach. Guy podnosi brwi, Simone naprawdę ogląda za dużo seriali amerykańskich. Tak, tak, możesz sobie podnosić brwi, chłopcze, ale nie wyobrazasz sobie, co myśmy przeżywały. Obie z Hortense przez wiele nocy nie zmrúżyłyśmy oka. A teraz patrz tylko: uśmiechy, lansady, wygibasy. Ci ludzie nie mają za grosz honoru. Mówię ci, Guy, bankowcy i agenci ubezpieczeniowi to jedna banda, sami złodzieje! Co do tego Guy się raczej zgadza. Na razie jednak trudno się bez nich obejść, toteż wołałby ją przekonać, by nie zabierała tej forsy ze sobą w torbie, sądząc, że ukryje ją pod materacem. Zbyt ryzykowne. Ale Simone jest uparta. Kiedy coś postanowi... Chce się raz jeszcze za-sta-no-wić! I przegadać to z Hortense, jeśli biedaczka będzie miała do tego głowę. To wszystko.

Simone zamyka torbę, wstaje, wychodzi. No dobra, wracamy. Bankowiec zdrętwiały siedzi na

miejsu zapatrzony przed siebie, z nogami jak z waty.

Kiedy przyjeżdżają do domu, na środku podwórka widzą Hortense w fotelu na kółkach. Muriel i Kim, stojący po obu jej stronach, mają dość niepewne miny.

– Czy wyście poszaleli? Żeby zabierać ją na dwór w taki ziąb!...

– Chciała popatrzeć na żurawie...

– To, czego ona chce, niekoniecznie jest dla niej dobre, dobrze wiecie!

Hortense daje znak Simone, by podeszła, głos ma słabutki, może tylko szeptać.

– Widziałam je.

– Tak, ale...

– Piękne.

Simone wzdycha, całuje ją w czoło, po czym popycha fotel do domu. Kim i Muriel pomagają go wtoczyć do środka.

Tego wieczoru po kolacji, kiedy wszyscy zasiedli na zewnątrz na ławce i krzesłach, aby wypić kawę, Simone spokojnie oznajmiła, że Hortense niebawem ich opuści, teraz to już kwestia dni. Sama ją uprzedziła. Żurawie były znakiem, na który czekała. Chciała odejść z nimi, towarzyszyć im.

62

Szczerze mówiąc, niedosolony!

Lutek przysiada na brzegu łóżka, wbija palec w koldrę.

– Tata, śpisz?

– Mmm.

– Chcesz aspirynę?

– Mmmnie.

– Nie boli cię dziś głowa?

– Mmmnie... chyba nie...

– Aha.

– Gdzie twój brat?

– Zapomniałeś? Wczoraj wieczór chciał wrócić do mamy.

– A tak, prawda. Która godzina?

– Wpół do dziesiątej.

– O kurde! Czemu nie obudziłeś mnie wcześniej?

– Byłem zajęty.

– Co robiłeś?

– Takie coś.

– Jakie coś?

– W kuchni.

– Rany, mam nadzieję, że nie za bardzo nabałaganiłeś.

– Posprzątałem.

– Po czym?

– Po pracy.

– Lutek, o czym ty gadasz?

– Chodź, to zobaczysz.

– No, obyś nie narozrabiał!

Roland narzuca na siebie szlafrok, wsuwa stopy w kapcie i ciężko schodzi na dół. W połowie drogi pociąga nosem, ogląda się na Lutka.

– W każdym razie pachnie ładnie to twoje coś.

Lutek uśmiecha się blade. Ma lekką tremę.

W kuchni Roland odkrywa nakryty ścierką bochenek chleba o złotej chrupiącej skórce.

– Ty go upiekłeś?

– Tak.

– Sam?

– No.

– Niesamowite...

– Chcesz spróbować?

– Jeszcze jak!

Lutek odkrawa dwie kromki. Równocześnie się w nie wgrzyżają.

– Coś podobnego! Jest chrupiący, miękki, mięsz ma sprężysty, dobrze wyrośnięty, pachnący...

Gdzieś się tego nauczyłeś?

– Od kolegi mamy, jest piekarzem.

– Aaa...

Dla Rolanda to wstrząs, schyla się, udając, że podnosi z podłogi okruszek. Prostuje się zaraz skrzywiony, z ręką przyciśniętą do piersi po lewej stronie, z twarzą czerwoną. Odchrząkuje.

– No, ale mimo wszystko na coś muszę ci zwrócić uwagę, wiesz? Szczerze mówiąc, jest niedosolony. Szkoda, bo widzisz, Lutek, takich błędów przy chlebie się nie wybacza.

Lutek biegiem ucieka do swojego pokoju, rzuca się na łóżko, chowa głowę pod poduszką, aby zdusić krzyk... wstrętny cap! Ochłonawszy trochę, wyczuwa w pokoju czyjąś obecność, wystawia głowę spod poduszki, odwraca się gwałtownie. Nachyla się nad nim Roland z osłupiałą miną, rozczochranymi włosami, podpuchniętymi oczami i głupawym uśmiechem. Szepcze: „Przepraszam, Lutek, chleb wyszedł świetnie. Wstrętny cap ze mnie, w dodatku zazdrośny. Straszne...”.

Pomagając ojcu w przygotowaniach do obsługi gości na porze lunchu, Lutek opowiedział mu, jak upiekł chleb. Najpierw zrobił zakwas. Łatwizna. Potrzebna tylko woda i mąka, stawiasz w ciepłe i kiedy zaczną się robić bąbelki, codziennie dodajesz troszkę mąki i wody, żeby zakwas urósł. Jego zakwas miał już dwa tygodnie, przyniósł go trochę z domu, żeby upiec ten chleb. I wczoraj, kiedy Roland robił rachunki z Mireille, Lutek poszedł do kuchni i wziął: 8 deka zakwasu, 40 deka mąki, 350 mililitrów letniej wody, półtorej łyżeczki soli, wymieszał wszystko dokładnie i skradając się, zaniósł do swojego pokoju ciasto w misce, żeby przez całą noc rosło koło kaloryfera. O siódmej po cichutku zszedł na dół, wyrobił ciasto, zostawił znowu do wyrośnięcia, a sam w tym czasie odrabiał zadania. O dziewiątej wstawił chleb do pieca. I już. Chciałem ci zrobić niespodziankę, tato.

To do reszty wzruszyło Rolanda. W dowód swojego podziwu zjadł pół bochenka z serem,

popijając winem. Ma świetnego syna.

63

Długa noc (cz. 1)

Szamalka krąży po kuchni. Zwykle to jej ulubione miejsce, tutaj śpi, tu ma ciepło, tu jest pieszczona, a rano dostaje jeść. Chwilowo jednak jedzenie w ogóle jej nie obchodzi, nie jest głodna, pieszczoty też ma gdzieś. Szuka cichego kącika, żeby się położyć, ot co. A tu panuje za duży ruch. Wiecznie ktoś się kręci, czegoś szuka, w czymś grzebie. Tylko nocą zapada spokój. A i to nie zawsze. Przez Bertę. I przez jej sny o szalonych gonitwach za dziwnymi zwierzętami. Skomli wtedy ze strachu albo szczeka z podniecenia w zależności od tego, na co natrafi. To denerwujące. Szczególnie Mo-że się denerwuje. Ale on jest wyjątkowy. Niedawno o mało nie wydrapał Bercie ślepiów, kiedy skoczył jej na głowę i wbił pazury, do takiego stanu go doprowadziła. Nerwus z niego okropny, reaguje przesadnie, a w dodatku zazdrosny jest jak tygrys. Czyli kuchnia odpada, trzeba sprawdzić gdzie indziej. Szamalka wymyka się na korytarz, skręca w prawo, drzwi są uchylone, wchodzi do pokoju dwóch starsuszek. Spokojnie tu i ciepło. Natyka się na duży wór z kolorowymi kłębkami włóczki, przez sekundę sądzi, że dokładnie czegoś takiego potrzebuje. Ale zaraz zmienia zdanie, bo coś... coś tu wyczuwa... Już wie. Na łóżku po lewej przesunął się cień, któremu towarzyszył leciutki podmuch powietrza. Chłód. Może dusza Hortense ulatuje. Szamalka zavraca i truchcikiem opuszcza pokój.

Ostatecznie decyduje się ulokować za kuchenką na drewno u Kima i Muriel. Ta kuchnia jest spokojniejsza. Mo-że na pewno nie wpadnie na pomysł, aby tu jej szukać, a i Berta nie będzie jej wkurzać swoimi głupimi snami. Szamalka układa się na boku, serce jej bije szybciej, podnosi się, obraca, nie może znaleźć wygodnej pozycji, brzuch jej twardnieje, jest jak kamień, żrenice mocno się poszerzyły. Pierwszy raz tak ją boli. Jest niespokojna. Żyjątki, które dotąd się w niej wierzciły, teraz prawie się nie ruszają, są jakby uwięzione w imadle, napierają jej na boki. Ból nie pozwala oddychać. Szamalka zaczyna mruczeć, próbując oswoić strach.

O trzeciej Muriel wstaje, aby się wysikać. Jak zawsze w nocy nie spuszcza po sobie wody. W zasadzie na górze nic nie słychać, woli jednak dmuchać na zimne, nigdy nie wiadomo. Poza tym jest zdania, że należy uważać na wodę. Przestać ją tak trwonić. Wylewać bez powodu. W czasie mycia zębów, rąk czy naczyń. Och, to naprawdę masakra. Kuźwa, taka rozrzutność, w głowie się nie mieści! Muriel staje się coraz bardziej świadoma konieczności ochrony

środowiska, to coś nowego. Zgadza się z Kimem, że trzeba zacząć myśleć, nie pozwolić sobą dyrygować jak stadem baranów. Wszystko należałoby podważyć. Każdy powinien się stać kowalem własnego losu, wziąć za siebie odpowiedzialność, samodzielnie pozbywać się nieczystości po sobie, kurde! No. Ale ona jeszcze nie dojrzała do tego, żeby się zgodzić na suchą toaletę. Naprawdę wpienia ją załatwianie się do wiaderka. Jak kot salonowy do kuwety! Jednakże Kim mocno pracuje nad tym, aby ją przekonać. Ją i innych mieszkańców gospodarstwa. Chwilowo nikt się do tego nie pali z wyjątkiem Marceline, która już jest przekonana. Chciałby ich poznać z ludźmi, którzy weszli w ten system, żeby mogli się wywieść bezpośrednio, może na jakimś forum. Największe wątpliwości budzi w nich kwestia zapachów. No i czy używanie wiader jako toalet nie jest bardzo niewygodne, obrzydliwe, archaiczne? A szczerze mówiąc, czy kompost na bazie ludzkich nieczystości naprawdę nadaje się do nawożenia ziemi? Jest wolny od patogenów? Czy one giną w trakcie kompostowania? Kim podrzuci im link do jednego bloga, żeby mogli wymienić opinie ze specjalistami. Śmiesznie będzie patrzeć, jak staruszkowie czatują w sieci.

Po wyjściu z łazienki Muriel się waha, nie bardzo ma ochotę wracać od razu do łóżka, zagląda do lodówki, czy nie ma czegoś smacznego. Jest pusta. Za to stół przyciąga jej uwagę. O, czasopismo i tabliczka czekolady! Skąd to się wzięło? Niewiele się zastanawiając, Muriel siada na ławie, łamuje kawałek czekolady i rozpuszczając ją w ustach, kartkuje czasopismo. W pewnej chwili słyszy jakiś hałas. Ktoś chodzi na górze. Słychać kroki na schodach. Muriel podnosi wzrok, patrzy i widzi... najpierw gołe stopy, potem nogi, długi biały T-shirt i na końcu... dziewczęcą głowę. To jakaś nowa, nigdy dotąd jej nie widziała.

– Cześć.

– Cześć. – I wraca do przeglądania pisma. – Ubikacja za tamtymi drzwiami.

– Dziękuję.

– W nocy nie spuszcza wody, więc jeśli możesz...

– Ach, to nie ma tu suchych toalet?

– Jeszcze nie doszliśmy do tego.

Dziewczyna się krzywi. Po powrocie siada jak najbliżej pieca, by zagrazać stopy.

– Jestem Suzanne. A ty?

– Muriel.

Zapada cisza i wtedy rozlega się chrapliwe miauknięcie. Które przenika dziewczyny na wskroś. Spoglądają na siebie i razem się nachylają, by zajrzeć za piec.

– Co ty tu robisz, Szamalko?

64

Długa noc (cz. 2)

Muriel i Suzanne usiadły na podłodze przy Szamalce.

I przez resztę nocy głaskały ją, trzymały za łapkę, cichutko szeptały jej do uszka: „Spokojnie, kiciu, spokojnie... będzie dobrze, malutka... to trudne, ale dasz radę... No, musisz przeć... tak, jeszcze, jeszcze... dobrze, już prawie... no... masz ślicznego maluszka, brawo... och, będzie jeszcze jeden...”.

O świcie Szamalka wydała na świat ostatnie kocię.

Zostało trochę ponad godzinę do pory wstawania, by zdążyć na zajęcia, już nie warto było się kłaść, toteż Muriel i Suzanne zaparzyły kawę, zrobiły tosty i ucięły sobie pogawędkę. Najpierw na tapetę poszła szkoła: Suzanne studiowała grafikę, Muriel chodziła do szkoły pielęgniarstwie... Poważnie? Moja ciocia jest położną... Bez jaj! Ostatnią praktykę miałam na porodówce... A, to na pewno ją znasz. Taka blada, dość okrągła – znaczy mniej więcej jak ty – w okularach. Stuprocentowa dyslektyczka!... Nie, nie kojarzę... Poznam cię z nią, jest w porzo, zobaczysz... Przyda się taka znajomość, mam kupę pytań w związku ze sprawozdaniem z praktyki...

Później gadały o innych rzeczach. Z chłopakami szybko się rozprawiły: Suzanne wzniosła oczy do sufitu, ściągając usta, a Muriel ściągnęła usta, patrząc w podłogę. Wszystko jasne, ten temat mogły uznać za odfajkowany, przeszły zatem do kolejnych. Do muzyki, filmów, podróży, które im się marzyły, i wreszcie do samych marzeń. Polubiły się tak bardzo, że mogły rozmawiać o wszystkim bez skrępowania. Suzanne poruszyła sprawę wagi. Muriel wcale się o to nie obraziła. Przeciwnie, ucieszyła się, że może o tym pogadać. Wyznała, że od paru miesięcy – przypadkiem zbiegło się to z zimą, okresem, gdy warstwa tłuszczu chroni przed chłodem – bez przerwy jest głodna. Ale już się opamiętała, postanowiła przejść na dietę i robić ćwiczenia na mięśnie brzucha. Bo jak nie, to w lecie będzie mogła powiedzieć bikini „baj, baj”! Mówiła tak co prawda, ale w zasadzie za bardzo się nie przejmowała. Po primo: na pewno nie pojedzie w wakacje nad morze, nie stać jej. Po drugo: basen jej nie pasuje. Jest Bykiem. A jak wiadomo, Byki nie cierpią wody. Z tym Suzanne nie do końca się zgodziła. Bo właśnie ostatnio gdzieś czytała, że wbrew temu, co się uważa, Byki...

Kiedy zadzwonił budzik, Kim zdziwił się mocno. Najpierw tym, że jest sam w łóżku, potem widokiem obu dziewczyn, które na dole trajkotały, jakby się знаły od lat, i wreszcie odkryciem,

że Szamalka powiła czworo kociąt.

Dopiero po powrocie z zajęć tego dnia on i Muriel dowiedzieli się o Hortense.

Osobliwie to nimi wstrząsnęło. Szczególnie dla Muriel było przeżyciem. Zebrała się w sobie i weszła do pokoju, aby pożegnać Hortense, czuła, że dla Simone to ważne. Gdyby tylko od niej zależało, nie zrobiłaby tego, bo zwłoki robią na niej wrażenie. Ale nie została długo, ponieważ zaraz w głowie jej się zawróciło i o mało nie odplynęła. Guy z Ferdinandem podprowadzili ją do kanapy, aby poleżała chwilę. Kiedy wstała, czuła się lepiej, wołała jednak od razu iść spać, bez kolacji. Z wrażenia żołądek odmówił jej posłuszeństwa.

65

Jak można się było spodziewać...

...Simone niedługo po śmierci Hortense zaczęła tracić zainteresowanie otoczeniem. Guy jednak czułwał. Raz-dwa spostrzegł drobne wymowne szczegóły. Codziennie szła spać ciut wcześniej i spała ciut dłużej, nie dbała o fryzurę, bardzo rzadko wieczorem po kolacji siadała z innymi na ławce. Za to całymi godzinami w dzień mogła na niej siedzieć sama – bez ruchu, beczynnienie, wpatrzona w niebo i przepływające po nim chmury. A kiedy ktoś do niej przychodził, zrywała się i uciekała pod pretekstem czegoś pilnego do zrobienia. A najgorsze, że straciła apetyt. To było do niej niepodobne, normalnie bowiem była łakomczuchem. Tyle że teraz dla niej nic już nie było normalne. Jej druga połówka, bratowa, zgasła i Simone nie wiedziała, co począć ani czego się trzymać, a nawet czy jeszcze ma na to ochotę. Kiedy odpowiadała na czyjeś pytanie, urywała w pół zdania i wzruszała ramionami, szepcząc: „A jakie to ma znaczenie?”. Guy nie tak dawno przechodził przez to samo, doskonale pamiętał ten czas. Zaczął więc kombinować, co by tu zrobić, żeby Simone nie wpadła w jeszcze czarniejszą rozpacz. Nielatwe zadanie, była bowiem bardziej uparta niż on. I dużo starsza. Oj, będzie problem...

Gospodarstwo Yvona

Ferdinand puka do drzwi domu Mireille. Przywiózł chłopców po weekendzie. Otwiera nie ona, lecz Alain, syn Yvona. Dzieci rzucają mu się w ramiona. Zdziwiony Ferdinand szczypie go w policzek, stwierdza, że mocno urósł, odkąd ostatni raz się widzieli, poklepuje go po plecach. Speszony chłopak zaprasza gościa do środka. Właśnie pijemy aperitif z tatą, proszę dołączyć do nas. Dobrze się składa, Ferdinand zamierzał wpaść do Yvona, by o coś zapytać. Będą mogli pogadać. Ale sprzedza go Yvon w osobistej sprawie. Bierze go na świadka, mówiąc o synu. Chłopak postanowił pójść inną drogą niż oni. Tak to bywa, samo życie. No więc młody robi w branży piekarniczej. W sumie logiczne: ojciec produkuje zboże, syn wyrabia z niego chleb. Tyle że jemu samemu zaczyna być ciężko. Stawy biodrowe mu wysiadają, będzie musiał położyć się na stół, i to w nieodległym czasie. Ferdinand udaje specja, uspokaja go, operacja to nic takiego. On już kilka tygodni po wszczępieniu protezy kicał niczym królik. Był jak nowo narodzony. Tak, Yvon jednak mówi, że póki daje radę wsiąść na traktor, woli odsuwać to na później. Tak czy owak decyzję podjął: przechodzi na emeryturę. Nie od razu, rzecz jasna. Ale za jakiś rok czy dwa. Tymczasem chce nająć sobie pomocnika. Jeśli przy okazji młodemu pomoże to stanąć na nogi, tym lepiej. Zwłaszcza że jak będą się dobrze dogadywali, pomyśli o tym, by scedować na niego gospodarstwo i pole, tak będzie najlepiej dla wszystkich. Ferdinand słucha zdumiony. I zaraz zaczyna mówić o Kimie, miłym pracowitym chłopcu. Yvon mu przerywa. Zna Kima, właśnie o nim myślał. Tylko że Kim chce uprawiać ekologicznie! Ano, i słusznie, to przyszłość przecież. Ferdinand dziwi się coraz bardziej. Yvon wyznaje, że sam nie ma odwagi wchodzić w coś nowego, ale to nie powód, by młodym rzucać kłody pod nogi! Ferdinand się zastanawia, czy aby stary Yvon nie stroi sobie żartów. Choć nie wypił więcej niż zwykle. Mówi poważnie. Jego syn na potwierdzenie kiwa głową. Mireille obok niego także. Toteż Ferdinand, który zamierzał z nim pogadać i poprosić – poniekąd jako o przyszłość – o zwrot dzierżawionego mu pola, by Kim mógł je uprawiać, dosłownie baranieje. Stary Yvon ma dla chłopaka propozycję o niebo lepszą... Ha!

67

W sobotni wieczór przy pełni księżyca

Siedząc obok siebie na lawce, Ferdinand i Marceline liczą gwiazdy. A raczej próbują je policzyć. Ale to oczywiście niemożliwe, jest ich za dużo! Panuje chłód, Marceline przysuwa się bliżej. Uradowany i zarazem onieśmielony Ferdinand przymyka oczy. Kwadrans później Marceline przechyla głowę, opiera ją leciutko na jego ramieniu. Robi to po raz pierwszy. Ferdinanda przechodzi dreszcz. Ją także. Nie wykonują najłżejszego ruchu, ledwie oddychają. Ale czar pryska. Bo Kim w gaciach z trzaskiem otwiera drzwi – wzdrygają się – i podbiega do nich przerażony.

– Muriel zamknęła się w łazience, chyba jest chora, już godzinę tam beczy!

Zrywają się na równe nogi.

Marceline mówi przez drzwi:

– Co się dzieje, Muriel? Żle się czujesz?

– Boli...

– Otwórz drzwi.

– Nie mogę.

– Spróbuj, proszę.

– Nie mogę, w plecach strasznie mnie boli.

Kim przesuwa ostrzem noża wzdłuż framugi, udaje mu się podnieść haczyk, popycha drzwi. Muriel siedzi skulona w brodziku. Marceline przykuca, przytula ją, kołysze, pyta, gdzie ją boli. Rozdygotana Muriel chwyta jej dłoń, przykłada ją do swego brzucha. Jest twardy jak kamień. Marceline mimowolnie się cofa. Muriel wpada w przerażenie.

– Umrę, tak?

– Och, nie, skądże znowu. Ale nie rozumiem... Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– O czym miałam powiedzieć? No o czym?

Nowy skurcz wyrывa jej z gardła długi jęk, który staje się coraz głośniejszy, coraz głośniejszy, aż przechodzi w krzyk. Marceline ściska ją w objęciach. „Nie martw się, dziecko, będzie dobrze... Sprowadzimy położną albo lekarza, pomogą ci...” Muriel spogląda na nią oniemiała. W jej wzroku widać niedowierzanie. I do Marceline dociera, że dziewczyna dopiero teraz odkryła, co się dzieje.

Głaszcze ją po twarzy. „Biedna myszka...” Przywołuje Kima i Ferdinanda, razem przynoszą Muriel do pokoju, kładą na łóżku, Marceline podkłada jej poduszki pod plecy, wychodzi, prosi panów, aby ściągnęli kogoś, lekarza lub położną, ale raz-dwa! Wyglądają, jakby nie rozumieli, co mówi. Marceline błaga, żeby się pospieszyli, sprawa jest pilna. Niespokojni Kim i Ferdinand idą do drugiego skrzydła domu, by zadzwonić. W połowie drogi Kim przypomina sobie, że ciotka Suzanne jest położną! Rzuci się biegiem do swojego pokoju po komórkę. Jest pierwsza w nocy.

Marceline gładzi Muriel po głowie, szepcze jej kojące słowa do ucha: „Już dobrze, dziecinko, nie bój się... Kim zadzwonił, zaraz przyjedzie położna...”. Tyle że Muriel cierpi od wielu godzin, za długo, chciałaby, żeby ból już ustał. Natychmiast. Tyle się nakrzyczyła, że nie ma siły wymówić ani słowa więcej, może jedynie kręcić głową z prawa na lewo, wyłącznie to jest w stanie wyrazić. Nie. Nie. Nie.

A czas płynie. Następuje skurcz po skurczu. Każdy ją wyczerpuje coraz bardziej. Wreszcie jeden jest boleśniesz niż inne. Taki, że rozrywa ją od środka. Pojawia się czubek główki dziecka. Marceline wie, że nie wolno dłużej czekać. „Kochanie, pomożemy mu wyjść... posłuchaj... kiedy powiem, masz przeć, dobrze?... No, odetchnij głęboko... i teraz przyj, przyj... tak, dobrze... dobrze... jeszcze raz... przyj... jeszcze... jeszcze... już prawie jest... jeszcze raz... mocniej... no, główka wyszła, najtrudniejsze za tobą... i jeszcze raz... już po wszystkim, dałaś radę... Witaj na świecie, aniolku... Muriel, to dziewczynka...” Marceline jest wzruszona, zawija dziecko w prześcieradło, aby nie zmarzło, nachyla się, chcąc je dać Muriel w ramiona, lecz dziewczyna się odwraca. Nie chce go ani dotknąć, ani popatrzeć na nie. Marceline zbiera się na płacz, ale powstrzymuje łzy.

Jest druga w nocy. Guy i Kim stoją przy drodze na rozstaju. Każdy trzyma w ręce latarkę. Nadjeżdża położna samochodem, zaczynają wywijać latarkami, wskazując jej drogę do domu. Na podwórku Ferdinand przejmuje pałeczkę: otwiera drzwi przed położną, wprowadza ją do środka. Jest wesola, ruchy ma szybkie, precyzyjne. Marceline wzdycha z ulgą. Marie wyjaśnia, że przyjechała tak szybko, jak mogła, ale kiedy otrzymała telefon, była na porodówce. Dzieci często przychodzą na świat nocą przy pełni księżyca. I pod koniec tygodnia, tak już jest! Bada dziecko, przecina i zawiązuje pępowinę, następnie zajmuje się Muriel, sprawdza, czy łożysko odeszło, wypytuje o przebieg porodu, winszuje wszystkim, że tak dobrze się spisali. Ale zauważa, że coś jest nie tak, Muriel bowiem uparcie odwraca wzrok od dziecka, nawet kiedy płacze, nie obdarza go spojrzeniem. Marceline podchodzi wtedy do niej, głaszcze ją po dłoni, nachyla się i szeptem pyta, czy Muriel chce pogadać o tym, co się dzieje, czy też woli na razie jej wszystko zostawić. Muriel tak woli. Obydwie kobiety wychodzą z pokoju z dzieckiem. Muriel odwraca głowę do ściany i zaczyna cichutko płakać.

68 Niedziela

Simone, chociaż dużo wcześniej obudziło ją dziwne zamieszanie, dopiero o szóstej zdecydowała się sprawdzić, co się dzieje w kuchni. I zobaczyła: Marceline przygotowywała butelkę dla niemowlęcia, a Guy długim krokiem spacerował po kuchni z płaczącym niemowłkiem na rękach, starając się je uspokoić. Na ten widok krew zastygła jej w żyłach. Ze stanowczością na twarzy i zmarszczoną brwią podeszła do niego: „Naprawdę uważasz, że tak się obchodzi z dzieckiem? Trzęsiesz nim jak gruszką, nic dziwnego, że maluszek płacze!”. Guy poczuł się dotknięty. Ale zaraz sobie coś uświadomił: Simone wróciła między żywych! Pewna siebie usadowiła się w fotelu i wyciągnęła ręce, Guy oddał jej noworodka, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestał płakać. Zdenerwowany Guy wyszedł pod pretekstem czegoś pilnego do zrobienia. Dowiedziawszy się, że to dziecko Muriel, Simone się zeżliła. No dajcie spokój, bardzo nieładnie, że dziewczyna nic jej wcześniej nie powiedziała! Proszę się tylko postawić na moim miejscu, jak ja teraz wyglądam?... I Marceline wszystko jej wyjaśniła. A Simone natychmiast zrozumiała. Bo kiedyś z Hortense widziały w telewizji film na ten temat. Wywarł na nich wrażenie. I to takie, że zapamiętała, jak ten problem nazywają specjaliści. Czyli Muriel miała wyparcie ciąży, biedulka? Marceline pokiwała głową. No dobrze, i co teraz? Na to pytanie Marceline nie umiała odpowiedzieć. Ale w tej chwili dziecko jest głodne, a ona ma jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Dlatego umościła wygodnie w fotelu Simone z dzieckiem, wetknęła jej w rękę butelkę i zostawiła ją, by radziła sobie sama. Simone nakarmiła noworodka owiniętego w T-shirt z bawełny 100% – zdaniem Kima to bardzo ważne – i w niedokończony kolorowy szalik Hortense pełniący funkcję kołderki, następnie potrzyzymała go pionowo przytulonego do siebie, aby mu się odbiło. Pierwszy raz w życiu miała w ramionach tak małe dziecko. I widziała je z tak bliska. Mówiła do niego bez świadków... „Jakaś ty śliczna, żabusi... i jaka milusia... O tak, bardzoś milusia, kurczaczku... A jakie masz rączusie... takie delikatniutki... i paluszki jak pianistka... A nóżki... jak to możliwe, żeby mieć takie maciupęńkie, doskonale, przeurocze nóżki, no powiedz, jak to możliwe, księżniczko?...” Księżniczka ważyła pewnie niecałe trzy kilo. Nie była duża. Mimo to po godzinie Simone czuła, że ręce ma całe zdrętwiałe. Nic jednak nie powiedziała, wytrzymała bez ruchu, nie wzywając pomocy. Zanadto się bała, że obudzi aniołka. Albo że czar prysnie...

Kim sprawdził w internecie, że dyżurną aptekę otwierają o ósmej. Za piętnaście ósma Marceline wsiadła do samochodu Ferdinanda. Pudełko próbek zostawione w nocy przez Marie było jakimś ratunkiem, lecz na krótko. Należało kupić: mleko w proszku dla noworodków, smoczki do butelek, pieluszki dla noworodków, mokre chusteczki, sól fizjologiczną...

W warsztacie Guy wziął się do dzieła: chciał zrobić przenośną kołyskę. Łóżeczko łatwe do przestawiania w różne miejsca domu, niewywrotne. Pilnie. W stodole wygrzebał stary wózek, zdemontował go i zostawił tylko stelaż z kółkami, na którym postanowił osadzić... wiklinowy kosz z uszami na bieliznę zabrany z domowej pralni. Ferdinandowi niezbyt się to spodobało. Właśnie potrzebował tego kosza do przeniesienia prania wyjętego z pralki. Tak, ale łóżeczko ma priorytet. No dobrze już, dobrze. I Ferdinand wziął kosz bez uszu, co w sumie wychodziło na jedno. On tego ranka miał za zadanie znaleźć ciuszki dla dziecka. Poszedł na strych i odszukał pudło z niemowlęcymi ubrankami, które niegdyś nosili Ludovic i Lucien. Pudło wspomnień. Na potem. Kiedy będą dorośli. Mireille zostawiła je na strychu, kiedy się wyprowadzali. Zniósł zatem pudło na dół, wrzucił ubranka do pralki, a kiedy program się skończył, rozwiesił je przy piecu, aby wyschły: malusieńkie śpioszki, cieniutkie kaftaniki, czapeczki, skarpeteczki jak dla lalki...

Niedługo będą mogli ubrać maluszka i położyć go w kołysce. O ile Guy coś wymyśli, żeby kosz solidniej osadzić na stelażu. Na razie niezbyt był stabilny, za bardzo się chwiało zdaniem Ferdinanda, który zaproponował pomoc. Ale Guy burknął na to, żeby się odczepił, i Ferdinand odszedł, burcząc, że naprawdę nerwus z niego jak mało kto. Wszyscy tego dnia byli dość wybuchowi. Normalne, nie wyspali się przecież. Albo pełnia księżycy tak na nich wpływała...

W drugim skrzydle domu.

Okolo dziewiątej Kim przygotował śniadanie dla Muriel. Nie była głodna, ale chciała wstać. Zaproponował, że zaprowadzi ją do łazienki, oschle go jednak odtrąciła, wolała przytrzymywać się ścian i sprzętów, niż wesprzeć na jego ramieniu. Przybity Kim poszedł się przejść. Sprawdził, czy u kurcząt wszystko w porządku, przywitał się z Korneliuszem, który wychodził właśnie ze swojego boksu, i postanowił popracować w warzywniku. Naprawdę musiał odreagować.

Po powrocie z apteki Marceline zajrzała do Muriel. Dziewczyna siedziała przy piecu z Szamalką na kolanach i bawiła się z kociętami. Co wzbudziło niepokój w Marceline. Usiadła przy niej, pogadały o tym i owym. Ale Muriel nawet się nie zająknęła na temat dziecka. Marceline pomyślała, że trzeba się uzbroić w cierpliwość. Położna miała wpaść w ciągu dnia, wtedy o tym porozmawiają. Wszystko się ułoży.

Jeszcze przed południem przyszedł Guy, pchając przenośną kołyskę. Kim, Simone, Ferdinand i Marceline powinszowali mu pomysłu. Z całą pewnością kołyska była wyjątkowa. Naprawdę

bardzo poręczna, wygodna i stabilna zarazem. Brawo. Guy był uradowany.

Po długim zastanowieniu ostatecznie kołyskę z dzieckiem ustawili w bawialni przylegającej do pokoju Simone, która nie zaglądała do niej od odejścia Hortense. A pokój Marceline znajdował się dokładnie naprzeciwko. Nie wspominając o tym – wisienka na torcie – że było to pomieszczenie położone najbliżej drugiego mieszkania! Wystarczy, że przesuną mebel, który zastawia drzwi łączące obydwie skrzydła domu, a Muriel będzie mogła przychodzić do maleństwa, kiedy tylko zechce.

Przesunęli mebel.

Muriel jednak nie przyszła.

69

Nocny strażnik

Na wszelki wypadek Guy sporządził rozpiszkę dyżurów, organibobasa, i odgórnie siebie wyznaczył na nocne dyżury. Normalne, skoro cierpi na bezsenność. Ale nie tylko tym się kierował. Marceline była wyczerpana, Simone także, a ponieważ on i Ferdinand przesпали się w ciągu dnia, w naturalny sposób zmienili panie. I zaraz po kolacji obydwie poszły spać. W pierwszej części wieczoru działali we dwóch. Dziecko się obudziło około wpół do dziesiątej. Galopem przybiegli do niego. Pochylili się w skupieniu nad kołyską. Weźmiesz ją? Nie, ty bierz. Ale nie sądzisz, że... Ależ nie, no co ty... Ostatecznie Ferdinand wziął dziewczuszkę na ręce. I spacerował z nią wzdłuż i wszerz kuchni, póki butelka nie była gotowa. Guy skrupulatnie się zastosował do wskazówek pozostawionych przez Marceline, poszło mu znakomicie, niczego nie rozbił ani nie rozlał, temperatura mleka była idealna i dziecko nie czekało długo. Dopiero kilka minut później sprawy się pokomplikowały. Mianowicie po długiej bolesnej walce z dziecięcym brzuszka wydobyl się naraz dźwięk absolutnie nieproporcjonalny do jego rozmiarów, coś w rodzaju bulgotania w rurach podczas wypuszczania wody ze zlewu, i rozszedł się zapach, który dosłownie wykręcał nos. Panowie mocno się zaniepokoiili. Trzeba zmienić... pieluszkę. Ani Guy, ani Ferdinand nigdy tego nie robili. Guy dlatego, że nie miał dzieci, Ferdinand natomiast miał dwóch synów, lecz nigdy nie musiał tego robić, wszystkim bowiem zawsze zajmowała się jego żona. Tym razem wszakże byli sami. Musieli sobie poradzić. Zajął im to kwadrans. Wreszcie malutka zasnęła, a oni odetchnęli.

Zasiedli na kanapie w salonie. Nie włączyli telewizora, aby mieć pewność, że usłyszą każdy dźwięk z pokoju dziecka. A ponieważ księżyc w pełni wystarczająco rozjaśniał pomieszczenie, nie zapalili także światła. Długo milczeli, w końcu zaczęli rozmawiać szeptem.

– I jak?

– W porządku. A ty?

– Też.

– Yhm.

– Zastanawiałem się... nie żałujesz?

– Ani trochę.

– Na pewno?

- Na sto procent.
- Robi się tłum, co?
- No.
- Kto by pomyślał...
- W życiu.
- Za to jest ruch.
- Ano, jest ruch. I bardzo dobrze, coś się dzieje!
- Pfff! Przestań, nie rozśmieszaj mnie...
- Ciii... bo obudzisz małą.
- Już się zamykam.
- Ty... Ferdinand?...
- Co?
- A nie, nic.
- Zabawne, nie? Człowiekowi się zdaje, że już wszystko za nim, a potem bum!...
- No, boki można zrywać.
- Czujesz to?
- Yhm...

Koło północy zerwali się jak pchnięci sprężyną na pierwsze kwilenie. Tym razem poszło im raz-dwa. Butelka, zatkanie sobie nosa, zmiana pieluszki – wszystko w dziesięć minut, szybko i sprawnie. Jak zawodowcy. Potem Ferdinand poszedł spać. Guy lekko się spocił, gdy pierwszy raz przyszło mu zrobić wszystko samemu, ale strach zaraz minął. Powinnował sobie przenośnej kołyski, mógł zabrać dziecko ze sobą do kuchni, jedną ręką szykować butelkę, a drugą je kołysać. A później nastąpiła chwila magiczna. Usiadł mianowicie w fotelu i uświadomił sobie, że pierwszy raz w życiu karmi z butelki jednodniowego oseska. Mógł na niego patrzeć, przemawiać doń po cichu bez świadków. Byli tylko on i to dziecko... „Cześć, panienko... popatrz tylko, masz pierwszą dziennicę... jesteś na świecie dokładnie jeden dzień... A co tak nasłuchujesz, malutka?... No tak, wszystko nowe, tyle dźwięków... Bardzo jesteś milusia, wiesz?... A jakie masz rączusie... takie delikatniutkie... i paluszki jak pianistka... A nóżki... jak to możliwe, żeby mieć takie maciuperńkie, doskonałe, przeurocze nóżki, no powiedz, jak to możliwe, księżniczko?...”

70

Poniedziałek rano itd.

Poniedziałek rano.

Zaspany trochę Kim zszedł na dół, by zaparzyć sobie kawę i wziąć prysznic. Ale kawa już była gotowa, a prysznic zajęty. Miał dwadzieścia minut do wyjścia, uznał, że zdąży. Aby zyskać na czasie, skoczył na górę po plecak z książkami i ciuchy, po czym wrócił na dół. W łazience panowała już cisza, pomyślał, że Muriel się pięknie, suszy włosy, gapiąc się w lustro, albo nakłada krem na twarz. Nalał sobie tymczasem kawy, wypił ją na stojąco przy piecu. Dziesięć minut później Muriel wyszła z pokoju ubrana, uczesana i umalowana. Kim zdębiał.

– Co ty robisz?

– Raczej ja powinnam zapytać, co ty robisz. Widziałeś, która godzina? Jeszcze nie wzięłeś prysznicu?

– Myślałem, że...

– No ruchy, ruchy. Spóźnisz się.

Już wsiadłszy na rower, Kim się zawahał – w dużej kuchni paliło się światło. Muriel zdążyła kawalek odjechać, mimo to zsiadł, oparł rower o ścianę i zawrócił, by powiedzieć reszcie, że jadą do szkoły. Aby mieć pewność, że dobrze go zrozumieją, rzekł: „Ja i Muriel jedziemy do szkoły”. I zatrzasnęła drzwi. A Marceline i Simone zostały z otwartymi ustami.

Poniedziałek po południu.

Po dwóch godzinach pracy w ogródku Marceline wróciła do domu. Niepokoiliła się, że na zbyt długo zostawiła Simone samą z niemowlęciem. Ale okazało się, że wszystko jest w porządku. Simone była znakomicie zorganizowana, można by sądzić, że przez całe życie nic innego nie robiła. Butelki, pieluszki, pieszczoty, pielęgnacja – doskonale nad tym panowała. W dodatku kiedy malutka spała, nie oglądała telewizji i wcale jej tego nie brakowało! Miała co robić. Do wydziergania były kolorowe buciki, czapeczki, sweterki. Świetnie. Uspokojona co do niej Marceline udała się do swego pokoju. Aby rozważyć sytuację i oczywiście pomartwić się trochę. I jakoś tak wyszło, że zrobiła to, co od dawna sobie obiecywała, lecz stale brakowało jej czasu – wyjęła wiolonczelę z futerału. Aby ją przewietrzyć. Instrument potrzebował tego. A także nastrojenia. Co Marceline uczyniła. Oczywiście przy tej okazji naszała ją chęć, by poćwiczyć palce.

Zagrała kilka nut i zaraz potem spod smyczka popłynął kawałek melodii. Kiedy Marceline przerwała zaskoczona i odrobinę wzruszona, Simone wsunęła głowę przez uchylone drzwi. Przyszła z wieścią: malutka lubi muzykę! Od dłuższej chwili płakała, wijąc się jak piskorz – pewnie miała kolkę, biedactwo – i nagle ciach! Ledwie rozległy się pierwsze dźwięki, ucichła! Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki! To już wiadomo, Marceline, co powinna pani robić, dodała żartobliwie.

Muriel po powrocie ze szkoły zajrzała do nich. Wszystko sobie przemyślała: jeśli chcą zatrzymać dziecko, ona się zgadza. Bo nie chce go. Koniec, kropka. Walnęła prawdę prosto z mostu, wzbudzając poruszenie. Przez cały dzień rozprawiali, co należy zrobić, jaką przyjąć taktykę, i w jednym byli zgodni: Muriel potrzebuje czasu. Aby przywyknąć do myśli, że została matką, zmienić zdanie albo odkryć swoje dziecko, to się okaże. Odparli zatem, że tak, zatrzymają dziewczynkę. Co nie zmienia faktu, że Muriel powinna iść do merostwa i zgłosić jej narodziny, i to pilnie. OK, jutro rano przed szkołą zawiozą dziecko autem, bo musi być obecne. Czyli trzeba mu będzie wybrać imię... Powiedziała, że sami mają wybrać. W porządku, zastanowią się i coś jej zaproponują. Nie, woli, żeby sami zdecydowali. Ale nie chcieli odpuścić, ważne było, aby to ona... Jednakże Simone, która miała po dziurki w nosie używania określeń takich, jak dziecko, malutka, maleństwo, bobas, dzieciak, zdecydowała za wszystkich:

– A może by dać jej na imię Paulette?

Niepewne spojrzenia...

– Ładnie, prawda? No co, nie podoba wam się?

Wszystkich nagle bardzo zainteresowały kreski i łuki na ceracie.

– A co ty o tym myślisz, Muriel?

Muriel wzruszyła ramionami i wyszła.

W merostwie urzędnik zapytał, co ma wpisać, i Muriel powiedziała: Paulette. A na drugie Lucie. Imię po jej matce.

Wywodzi się z łaciny i oznacza światło.

Podziękowania

Wyrazy wdzięczności niech przyjmą:

Florence Sultan za wsparcie, cierpliwość i głos tak pięknie ochryply.

A także Adeline Vanot, Christelle Pestana, Patricia Roussel, Virginie Ebat i Hélène Kloeckner oczywiście.

Strona solidaramol.com (po francusku solidarvioc.com) istnieje naprawdę (chodzi o stronę, którą pod koniec niniejszej opowieści założyli Guy, Ferdinand, Marceline, Simone i Hortense).

Dziękuję Étienne'owi Kraeutlerowi za webmastering i Camille'owi Constantine'owi (musze CC) za grafikę i konserwację oprogramowania.

Stronę można odwiedzać, uzupełniać, komentować, krytykować (ale nie przesadzajcie mimo wszystko). Odnosi się do solidarności międzypokoleniowej. Między młodymi i ramolami, jak sama nazwa wskazuje.